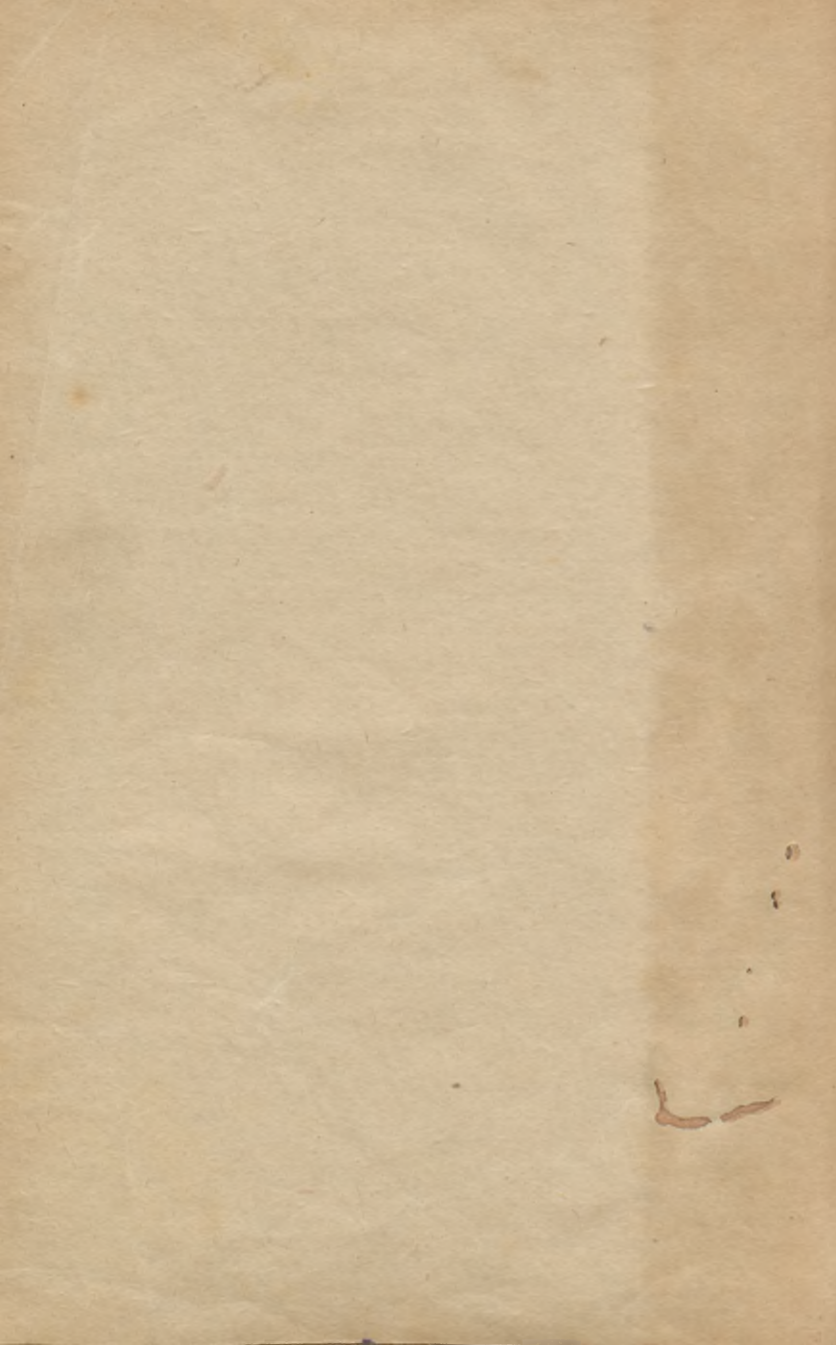


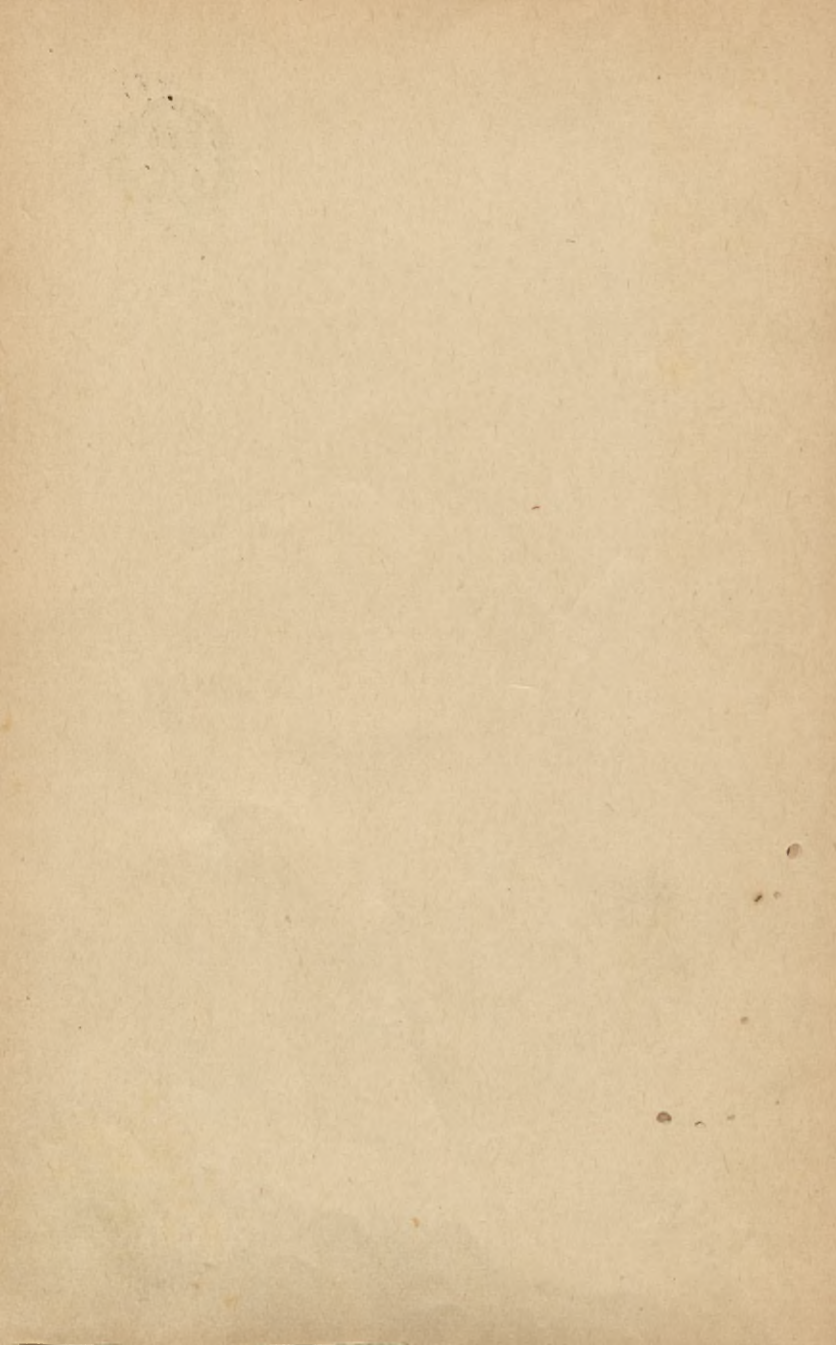
1288

8821









A. CZECHOW

PAWILON SZÓSTY



Z rosyjskiego przełożyła
M. GRABOWSKA

WARSZAWA — 1936

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”



100663

W szpitalnym dziedzińcu gnieździ się niewielka oficyna, otoczona całym lasem ostów, pokrzyw i dzikich konopi. Dach ma zardzewiały, komin do połowy zawalony, schody przed gankiem zbutwiałe i porośnięte trawą, zaś z otynkowania pozostał jeno ślad. Frontem oficynka zwrócona jest do szpitala, tylną fasadą wpatruje się w pole, od którego dzieli ją szary szpitalny, nabijany ćwiekami parkan. Owe ćwieki, skierowane ostrzem ku górze, i parkan, i sama oficynka mają ten specyficznie przygnębiający, przekłety wygląd, który posiadają u nas jedynie budynki szpitalne i więzienne.

O ile państwo nie lękają się oparzenia pokrzywą, to idźmy wąską ścieżką, prowadzącą do oficynki i zobaczmy, co się dzieje wewnątrz. Po uchyleniu pierwszych drzwi, wchodzimy do sieni. Tutaj wzdłuż ścian i pod piecem spiętrzone stosy szpitalnych rupieci. Materace, stare zdarte szlafroki, pantalony, koszule w błękitne paski, doszczętnie zniszczone obuwie, — wszystkie te łachmany stłoczone na kupę, przerzucane wielokrotnie, stochłane, gniją i zieją duszącym fetorem.

Na rupieciach, zawsze z fajeczką w zębach, leży stróż Nikita, stary dymisjonowany żołnierz ze zrudziałymi naszywkami. Ma szeroką, pijacką gębę, krzaczaste brwi, nadające twarzy wyraz stepowego owczarka, i

karmazynowy nos; nie jest wysoki, wygląda na szczupłego i zyłastego, lecz postawę ma wzbudzającą szacunek, zaś pięści na schwał. Należy do liczby tych prostaków statecznych i obowiązkowych, którzy ze wszystkiego na świecie kochają najbardziej ład i wobec tego są przekonani, że należy bić. Bije więc po twarzy, piersiach i plecach, w co trafi, i jest przekonany, że bez bicia nie byłoby tutaj porządku.

Dalej państwo wchodzi do dużego, obszernego pokoju, zajmującego poza sienią, całą oficynę. Ściany są tu pomalowane na kolor brudno-niebieski, sufit zakopcony, niczem w kurnej chacie, — widać, że w zimie dymią piece i musi być często naczadzone. Okna od strony zewnętrznej są oszpecone kratami. Podłoga szara, pełna zadr. Czuć kwaszoną kapustą, kopciem, pluskwami oraz amoniakiem, i odór ten w pierwszej chwili robi wrażenie, jakby się weszło do zwierzyńca.

W pokoju stoją łóżka przyśrubowane do podłogi. Na łóżkach siedzą i leżą ludzie w szpitalnych granatowych szlafrokach i, zgodnie ze staroświeckim zwyczajem, w szlafmycach. To warjaci.

Jest ich razem pięciu. Jeden tylko — pochodzenia szlacheckiego, reszta mieszczenie. Pierwszy od drzwi, wysoki szczupły mieszczanin o rudych połyskliwych wąsach i zapłakanych oczach, siedzi z podpartą głową i patrzy w jeden punkt. Smuci się w dzień i w nocy, kiwa głową, wzdycha i gorzko uśmiecha się; rzadko bierze udział w rozmowie, na pytania zaś zazwyczaj nie odpowiada. Je i pije machinalnie, wtedy kiedy dają. Męczący, szarpiący nim kaszel, wychudzenie i wypieki na twarzy nasuwają myśl, że człowiek ten ma początki gruźlicy.

Po nim idzie mały, żywy, ogromnie ruchliwy starsuszek o ostrej bródce i czarnych, skręconych, jak u murzyna włosach. W ciągu dnia spaceruje po pawilonie od okna do okna lub siedzi z podwiniętymi po turrecku nogami na swem posłaniu i bezustannie, niczem gil, pogwizduje, cichutko śpiewa i śmieje się. Wesołość dziecięcą i żywość usposobienia wykazuje również w nocy, gdy wstaje poto, by się pomodlić do Boga, czyli, by uderzyć się kilkakrotnie pięściami w pierś i podłubać palcem w drzwiach. To jest żyd — głupi Mosiek, który zwarzował ze dwadzieścia lat temu, kiedy spłonięła mu pracownia czapek.

Z pomiędzy wszystkich mieszkańców 6-go pawilonu, tylko jemu jednemu wolno wychodzić z oficyny, a nawet z dziedzińca szpitalnego na ulicę. Zdawna cie szy się już tym przywilejem, prawdopodobnie, jako stary wiarus szpitalny i jako spokojny, nieszkodliwy głuptak, błazen miasteczkowy, którego dawno już przyzwyczajono się widzieć na ulicach w otoczeniu chłopaków i psów. W szlafroczyńie, w śmiesznej szlafmocy i w pantoflach, czasem na bosaka, a nawet bez pantalonów włóczy się po ulicach, zatrzymując się przed bramami i sklepami i żebrze o kopiejczkę. Tu mu dadzą kwasu, tam chleba, gdzieindziej kopiejkę, więc powraca zazwyczaj do pawilonu syty i bogaty. Wszystko, co przynosi ze sobą, zabiera mu Nikita na swój własny użytek. Żołnierz czyni to brutalnie, ze złością, wywraca mu kieszenie i wzywa Boga na świadka, że już nigdy więcej nie puści żyda na ulicę i że najgorszą rzeczą na świecie jest dlań niestosowanie się do przepisów.

Mosiek lubi usługiwać. Podaje swym współtowarzyszom wodę, otula ich gdy śpią, obiecuje każdemu

przynieść z ulicy kopiejeczkę i uszyć nową czapkę; Mosiek też karmi łyżeczką swego sąsiada z lewej strony, który jest paralytykiem. Czyni tak Mosiek nie ze współczucia ani też z jakichkolwiek bądź innych pobudek humanitarnych, lecz naśladowując i mimowoli podając się swemu sąsiadowi z prawej strony, Gromowowi.

Iwan Dmitrycz Gromow, trzydziestotrzyletni szlachcic, ex komornik i sekretarz gubernialny, cierpi na manję prześladowczą. Albo leży na łóżku, zwinięty w kłębek, albo spaceruje z kąta w kąt, jakby w celach leczniczych, siedzi zaś nader rzadko. Jest zawsze podniecony, zdenerwowany, naelektryzowany podświadomością, nieokreślonym oczekiwaniem czegoś. Wystarczy najmniejszy szelest w sieni lub krzyk na dziedzińcu, by uniósł głowę i jął nasłuchiwać: czy aby nie po niego idą? Czy nie jego szukają. Zaś na twarzy jego w takiej chwili maluje się bezgraniczny niepokój i wstręt.

Podoba mi się jego szeroka, zawsze blada i udręczona twarz, o wydatnych kościach policzkowych. Twarz, odzwierciadlająca, niczem lustro, duszę umęczoną przez walkę i nieustanny lęk. Człowiek ten wykrzywia się dziwacznie i chorobliwie, lecz subtelne linje, wyrzeźbione na jego twarzy przez głębokie i szczerze cierpienie, są mądre i inteligentne, oczy zaś mają ciepły, zdrowy blask. Podoba mi się on sam, taki ugrzeczniony, usłużny i niezwykle delikatny w obcowaniu ze wszystkimi, prócz Nikity. Gdy ktoś upuszcza guziczek, czy łyżkę — zeskakuje natychmiast z łóżka i podnosi. Co rano pozdrawia swych towarzyszy na dzieńdobry, kładąc się do snu — życzy im dobrej nocy.

Prócz ciągłego podniecenia i wykrzywiania się, warjactwo jego przejawia się w sposób następujący:

od czasu do czasu, z wieczora, otula się szczerze swym szlafrokiem i dygocąc całym ciałem, szcękając zębami, rozpoczyna pośpieszny spacer z kąta w kąt oraz pomiędzy łózkami. Wygląda to tak, jakby podlegał silnemu atakowi febry. Z tego, że się raptownie zatrzymuje i spogląda na towarzyszy, widać, że chciałby powiedzieć coś ogromnie ważkiego lecz, najwidoczniej, zdając sobie sprawę, że zostanie niewysłuchany lub niezrozumiany, potrząsa ze zniecierpliwieniem głową i podejmuje nanowo swój marsz. Wkrótce jednak chęć mówienia przeważa nad wszystkimi rozumowaniami i Gromow puszcza wodze, mówi zapalczywie i namiętnie. Mowa ta jest bezładna, gorączkowa, niczem maligna, urywana i niezawsze zrozumiała, ale zarówno w słowach, jak w głosie przebija się jakieś niezwykle piękno. Gdy mówi — poznaje się w nim i warjata i człowieka. Trudno przelać na papier te szaleńcze przemówienia. Gromow mówi o podłości ludzkiej, o gwałcie, który pognębia prawdę, o pięknie życia, które kiedyś zapanuje na ziemi, o zakratowanych oknach, przypominających mu co chwila bezmyślność i okrucieństwo gwałcicieli. Splata się to w bezładne, niekształtne potpourri ze starych, lecz jeszcze niewyśpiewanych piosenek.

II.

Ze 12-15 lat temu, na pryncypalnej ulicy miasta, w domu własnym mieszkał urzędnik Gromow, człek stateczny i zamożny. Miał dwóch synów: Siergieja i Iwana. Będąc już studentem czwartego kursu, Siergiej

dostał galopujących suchot i umarł. Śmierć ta, zda się, zapoczątkowała szereg nieszczęść, które nagle jeły się sypać na rodzinę Gromowych. W tydzień po pogrzebie Siergieja, ojciec Gromow został oddany pod sąd za fałszerstwa i nadużycia, zaczem niezadługo zmarł w szpitalu więziennym na tyfus. Dom i wszystkie ruchomości zostały zlicytowane, zaś Iwan Dmitrycz i matka pozostali bez jakichkolwiek środków.

Przedtem, za życia ojca Iwan Dmitrycz, mieszkając w Petersburgu, gdzie uczęszczał na uniwersytet, otrzymywał od 60-u do 70-u rubli miesięcznie i nie miał pojęcia, co to nędza, obecnie zaś musiał krańcowo odmienić swój tryb życia. Musiał od rana do nocy udzielać groszowych lekcyj, podejmować się przepisywania i, mimo wszystko, przymierać głodem, gdyż cały swój zarobek wysyłał matce na utrzymanie. Tego rodzaju życia Iwan Dmitrycz nie zniósł; upadł na duchu, zdrowie jeło szwankować, rzucił więc uniwersytet i wrócił do domu. Tu, naskutek protekcji, otrzymał posadę nauczyciela w szkole powiatowej, lecz nie zaprzyjaźnił się z kolegami, nie spodobał się uczniom i wkrótce rzucił tę posadę. Matka umarła. Z pół roku wałęsał się bez pracy, żywiąc się jedynie chlebem i wodą, następnie został komornikiem. Stanowisko to zajmował aż do zwolnienia naskutek choroby.

Nigdy, nawet za młodych lat studenckich nie robił wrażenia zdrowego człowieka. Zawsze był blady, chudy, skłonny do przeziębień, mało jadał, marnie sypiał. Po jednym kieliszku już mu się kręciło w głowie i dostawał histerycznych ataków. Miał zawsze pęd do towarzystwa, lecz dzięki swej drażliwości i imaginacyjności nie zawiązywał z nikim bliższych stosunków i

przyjaciół nie posiadał. O obywatelach miasteczka odzywał się zawsze pogardliwie, utrzymując, iż ich brutalny obskurantyzm i ospałe, zwierzęce życie budzą w nim wstręt i obrzydzenie. Mówił tenorem, głośno, z przejęciem i nie inaczej, niż oburzając się i pomstując, lub też z zachwytem i zdumieniem — zawsze jednak szczerze. Bez względu na to o czym się rozpoczynało rozmowę, zawsze wracał do tego samego: że w miasteczku życie jest duszne i nudne, społeczeństwo nie ma żadnych wyższych zainteresowań, pędzi bezmyślne wyblakłe życie, urozmaicając je sobie gwałtami, ordynarną rozpustą i obłudą; łajdacy są syci i przyodziani, uczciwi zaś karmią się okruszynami; potrzebne są szkoły, gazeta o przyzwoitym kierunku, teatr, odczyty publiczne, skupisko sił inteligentnych; trzeba, żeby społeczeństwo poznało siebie i przeraziło się. W swych sądach o ludziach używał barw intensywne, białej i czarnej jedynie, nie uznając żadnych odcieni; ludzkość dzielił na uczciwych i łajdaków; pośredniości nie uznawał. O kobietach i o miłości mówił zawsze namiętnie i z zachwytem, zakochany jednak nie był ani razu.

Mimo krańcowości poglądów i nerwowości, lubiono jednak w mieście Gromowa i nazywano go za oczy pieśzcotliwie „Wania”. Wrodzona delikatność, usługowość, uczciwość, czystość moralna oraz wyszarżany surducik, wygląd chorobliwy i rodzinne nieszczęścia wzbudzały dobre, serdeczne i melancholijne uczucia; prócz tego zaś Gromow był wykształcony, odczytany, wiedział, zdaniem mieszkańców miasta, wszystko i był uważany za coś w rodzaju chodzącego słownika informacyjnego.

Czytał bardzo dużo. Siadywał przeważnie w klu-

bie. targając nerwowo bródkę i przerzucając dzienniki, oraz książki; z twarzy zaś znać, że nie czyta, lecz wprost łyka, zaledwie nadążając przeżuć jako tako. Należy przypuszczać, że czytanie było jednym z jego chorobliwych nawyków, bowiem z jednakową żarłocznością rzucał się na wszystko, co mu wpadało w ręce, nawet na zesłoroczne gazety i kalendarze. W domu zawsze czytał w pozycji leżącej.

III

Pewnego jesiennego poranku, nastawiwszy kołnierz u palta, Gromow człapał po blocku zaułków i dziedzińców, przemykając się do jakiegoś obywatela miasteczka po odbiór należności, zgodnie z nakazem egzekucyjnym. Był w ponurym nastroju, jak zwykle rano. W jednym z zaułków napotkał dwóch więźniów w kajdanach, w otoczeniu czterech konwojentów z karabinami. Przedtem Iwan Dmitrycz bardzo często spotykał więźniów i zawsze budziło to w nim uczucie litości i pewnego zażenowania, obecnie jednak spotkanie wywarło jakieś szczególne, dziwne wrażenie. Raptem, niewiadomo czemu, wydało mu się, że on również może być zakuty w kajdany i prowadzony w ten właśnie sposób po błocie do więzienia. Powracając, po bytności u owego obywatela do domu, spotkał koło poczty znajomego rewirowego, który przywitał się z nim i odprowadził kilka kroków po ulicy. Iwanowi Dmitryczowi wydało się to, niewiadomo czemu podejrzanę. W domu, w ciągu całego dnia nie wychodzili mu z głowy więźniowie i żołnierze z karabinami, zaś niewy-

tłumaczony niepokój w duszy przeszkadzał w czytaniu i skupieniu się. Wieczorem nie zapalił światła, w nocy nie spał i wciąż myślał o tem, że go mogą aresztować, zakuć w kajdany i zapakować do więzienia. Zdawał sobie sprawę, że nie zawinił niczem i mógłby ręczyć, że w przyszłości nie zabije, nie podpali i nie ukradnie; ale czyż to tak trudno popełnić zbrodnię niechcący, mimowoli i czyż nie jest możliwe fałszywe oskarżenie, sądowa omyłka wreszcie? Wszakże nie bez podstawy poucza wiekowe doświadczenie ludowe, by się kija żebraczego i lochu więziennego nie zarzekać. Zaś przy obecnej procedurze sądowej omyłka nader jest prawdopodobna i nie byłoby w tem nic nadzwyczajnego. Ludzie, pozostający w służbowym, oficjalnym stosunku do cierpień cudzych, dajmy na to sędziowie, policjanci, lekarze, z biegiem czasu, naskutek otrzaskania się, znieczulają się do tego stopnia, że nawet gdy pragną, nie potrafią ustosunkować się inaczej do swych klientów, niż formalistycznie; pod tym względem nie różnią się niczem od chłopca, zarzynającego na podwórku barana czy cielaka i nie dostrzegającego nawet krwi. Zaś przy formalistycznym bezdusznym stosunku do jednostki, by pozbawić niewinnego człowieka praw obywatelskich i by skazać go na katorgę, sędzia potrzebuje tylko jednego warunku: — czasu. Tylko czas jest potrzebny dla zachowania pewnych formalności, za które sędzia pobiera pensję i — kłamka zapada. Szukaj potem, człeku, sprawiedliwości i obrony w tej małej, brudnej mieścinie, o dwieście wiorst odległej od kolei! I czyż nie śmieszną rzeczą są rozważania o sprawiedliwości wówczas, gdy każdy gwałt zostaje powitany przez społeczeństwo, jako rozsądna i celowa ko-

nieczność, zaś każdy akt miłosierdzia, naprzykład wyrok uniewinniający, wywołuje wybuchy niezaspokojonego uczucia zemsty?

Rano Iwan Dmitrycz wstał z łóżka pełen wewnętrznego przerażenia, z zimnym potem na czole i całkowicie już przekonany, że w każdej chwili mogą go zaaresztować. Skoro wczorajsze ponure myśli tak długo go nie opuszczają — rozważał — to widocznie jest w nich kropla prawdopodobieństwa. Bo i czyż mogłyby powstać bez jakiegokolwiek przyczyny?

Policjant z wolna przeszedł się pod oknami: nie bez kozery. Oto dwaj ludzie zatrzymali się przed domem i milczą. Dlaczego milczą?

I dla Iwana Dmitrycza nastąpiły dni i noce wdreki. Każdy, kto przechodził pod oknami, lub wstępował na dziedziniec, wydawał mu się szpiegiem albo wywiadowcą. W południe zazwyczaj przejeżdżał przez ulice w parokonnej bryczce isprawnik; jeździł tak ze swego podmiejskiego majątku do urzędu policyjnego. Ale Iwanowi Dmitrowiczowi wydawało się teraz, że jedzie jakoś zbyt pospiesznie i że ma jakiś szczególny wyraz twarzy, najwidoczniej więc podąża, by zakomunikować, że w mieście stwierdzono obecność wielkiego zbrodniarza. Iwan Dmitrycz wzdrygał się na dźwięk dzwonka lub kołatania do bramy, męczył się niewypowiedzianie, gdy spotykał u swej gospodyni kogoś nieznanego; przy spotkaniu z policjantami lub żandarmami uśmiechał się i gwizdał, żeby się wydawało, że go to nic nie obchodzi. Nie zmrugał oczu w ciągu całutkich nocy, oczekując aresztowania, chrapał jednak rozgłośnie i wzdychał niby przez sen, żeby gospodyni myślała, że śpi: bo gdyby nie spał, to wszak

oznacza to, że go nękają wyrzuty sumienia — cóż za poszlaka! Fakty i zdrowa logika przekonywały go, że wszystkie te strachy, to głupota i zboczenie. Że areszt i więzienie, o ile te pojęcia traktuje się w szerszym znaczeniu, nie zawierają w sobie nic przerażającego — byleby tylko mieć czyste sumienie. Lecz im mądrzej i logiczniej rozumował, tem okrutniejszy i bardziej męczący stawał się niepokój wewnętrzny. Był jak ów pustelnik, który pragnął wyrąbać sobie polankę w dziewiczym lesie: im zawzięciej jednak ciął siekierą, tem gęstszy i mocniejszy wyrastał las. Wreszcie, widząc że to wszystko na nic się nie zda, przestał Iwan Dmitrycz rozumować i pogrążył się całkowicie w rozpacz i strachu.

Zaczął szukać samotności i unikać ludzi. Zajęcie jego już poprzednio wzbudzało w nim wstręt, obecnie zaś stało się nie do zniesienia. Obawiał się, że go w jakiś sposób podejda, że mu ktoś włoży nieznacznie do kieszeni łapówkę i następnie zdemaskuje, albo też Iwan Dmitrycz sam popełni niechcący w urzędowych papierach omyłkę, równoznaczną z fałszerstwem, albo też zgubi cudze pieniądze. Dziwne, że nigdy dawniej myśl jego nie była tak elastyczna i wynalazcza, jak obecnie, gdy co dnia wynajdywał tysiące najróżnorodniejszych powodów ku temu, by móc poważnie obawiać się utraty wolności i honoru. Zato znacznie obniżyło się zainteresowanie do świata zewnętrznego, w szczególności zaś do książek, a pamięć jęła nie dopisywać.

Wiosną, gdy stopniał śnieg, znaleziono w wąwozie opodal cmentarza dwa nawpół zgniłe trupy — starej kobiety i chłopca, z oznakami śmierci nienatural-

nej. W miasteczku o niczem więcej nie mówiono, tylko o tych trupach i o nieznanym zbrodniarzach. Iwan Dmitrycz, żeby nie myślano, że to on zabił, spacerował po ulicach i uśmiechał się, zaś przy spotkaniu ze znajomymi bladł, to znów czerwieniał i zaczynał dowodzić, że niema nikczemniejszej zbrodni ponad zabójstwo istot słabych i bezbronnych. Kłamstwo to jednak wkrótce go znużyło, doszedł więc po pewnym namyśle do przeświadczenia, że w danej sytuacji najlepiej będzie ukryć się w piwnicy gospodyni. Siedział w piwnicy przez cały dzień i przez noc i dzień następny, zmarzł potężnie i, doczekawszy się zmroku, chyłkiem, niczem złodziej przemknął się do swego pokoju. Do świtu stał pośrodku pokoju, nasłuchując bez ruchu. Rankiem, przed wschodem słońca przyszli do gospodyni zduni. Iwan Dmitrycz wiedział dobrze, że przyszli przerabiać piec w kuchni, ale strach podpowiedział mu, że to są policjanci, przebrani za zdunów. Wyszedł pokryjomu z mieszkania i opanowany przerażeniem, bez czapki i marynarki, jał uciekać wzdłuż ulicy. Z ujadaniem pędziły za nim psy, jakiś chłop wrzeszczał coś daleko w tyle, w uszach czuł świst powietrza. I wydało się Iwanowi Dmitrowiczowi, że wszystkie gwałty świata stłoczyły się poza jego plecami i pędzą za nim.

Zatrzymano go, odprowadzono do domu i posłano gospodynię po doktora. Doktor, Andriej Jefimycz, o którym będzie mowa poniżej, zalecił zimne okłady na głowę oraz laurowe krople, pokiwał smętnie głową i odszedł, powiedziawszy gospodyni, że już więcej tu nie przyjdzie, bowiem nie należy ludziom przeszkadzać w procesie warjowania. Ponieważ w domu nie było z

czego żyć ani leczyć się, więc Iwana Dmitrycza wkrótce odesłano do szpitala i umieszczono w pawilonie dla weneryków. Nie sypiał tam po nocach, kaprysił i denerwował chorych, wkrótce więc, naskutek rozporządzenia Andrieja Jefimycza, został przeniesiony do pawilonu Nr. 6.

Po upływie roku w mieście zupełnie zapomniano o Iwanie Dmitryczu, zaś książki jego, zwalone przez gospodynię w szopie na saniach, porozwlekali chłopacy.

IV.

Sąsiadem Iwana Dmitrycza z lewej strony jest, jak rzekłem, żyd Mosiek, zaś sąsiad z prawej strony — to opasły, kulisty prawie chłop, o tępej, najzupełniej bezmyślnej twarzy. Jest to nieruchawe, żarłoczne i niechlujne stworzenie, które dawno już zatraciło zdolność myślenia i odczuwania. Zieje odeń wciąż fetor ostry i duszący.

Nikita, który po nim sprząta, bije go okrutnie, z rozmachem, nie szczędząc swych pięści. I straszne jest nie to, że jest bity — do tego można się przyzwyczaić — lecz to, że owo przytępione bydlę nie odpowiada na bicie żadnym dźwiękiem, ani nawet wyrazem oczu, tylko zatacza się zlekka, niczem ciężka beczułka.

Piąty i ostatni mieszkaniec pawilonu szóstego — to mieszczanin ongiś pracujący na poczcie w charakterze sortownika, mały, szczupły blondyn, o dobrotliwej, lecz nieco filuternej twarzy. Wnosząc z rozumnych, spokojnych oczu, patrzących jasno i wesoło, jest to spryciarz, który posiada jakąś bardzo ważną i miłą tajem-

nicę. Pod poduszką i pod materacem ma coś takiego, czego nie pokazuje nikomu, nie ze strachu jednak, że mu mogą odebrać, czy skraść, tylko przez wstydlivość. Czasem staje przed oknem i obrócony plecami do współtowarzyszy, wkłada sobie coś na pierś i przypatruje się, przekrzywiając głowę; gdy się w takiej chwili ktoś zbliży do niego, peszy się i zrywa coś z piersi. Lecz tajemnicę jego odgadnąć łatwo.

— Niech mi pan powinszuje — zwraca się często do Iwana Dmitrycza: — Jestem podany do odznaczenia orderem Stanisława drugiego stopnia z gwiazdą. Drugi stopień z gwiazdą jest nadawany jedynie cudzoziemcom, ale dla mnie, nie wiem czemu, chcą zrobić wyjątek. — Uśmiecha się, wzruszając ze zdziwieniem ramionami. — Wyznaję, że się tego obsolutnie nie spodziewałem!

— Nic się nie znam na tem. — Ponuro oświadcza Iwan Dmitrycz.

— Ale wie pan, czego wcześniej czy później dopnę? — Ciągnie ex-sortownik, mrużąc filuternie oczy. — Bezwzględnie muszę otrzymać szwedzką "Gwiazdę Polarną". Ten order wart jest zabiegów. Białą krzyż i czarna wstęga. To jest nadzwyczaj ładne.

Prawdopodobnie nigdzie życie nie upływa tak jednostajnie, jak w tej oficynie. Zrana chorzy, prócz paralytyka i tłustego chłopca, myją się w sieni w dużym szafliku i wycierają się połamami szlafroków; potem piją z ołowianych kubków herbatę, którą przynosi z głównego budynku Nikita. Na każdego chorego przypada jeden kubek herbaty. W południe jedzą kapuśniak z kwaszonej kapusty i kaszę, wieczorem na kolację znowu kaszę, która pozostała z obiadu. W międzyczasie

leżą, śpią, wyglądają przez okna i włączają się z kąta w kąt. I tak co dnia. Nawet ex-sortownik mówi wciąż o tych samych orderach.

Nowych ludzi pawilon Nr. 6 widuje rzadko. Warjatów nowych doktor oddawna nie przyjmuje już, zaś amatorów, pragnących zwiedzać domy warjatów, mało jest na tym świecie. Raz na dwa miesiące bywa w pawilonie fryzjer Siemion Łazarycz. W jaki sposób strzyże warjatów i jak Nikita pomaga mu to robić, i w jaki popłoch popadają za każdym razem na widok pijanego, uśmiechniętego fryzjera chorzy — opowiadać nie będziemy.

Prócz fryzjera nikt nie zagląda do oficynki. Choć są skazani na codzienne oglądanie jedynie Nikity.

Coprawda, niedawno po szpitalu wionęła dziwna wieść.

Puszczono pogłoskę, jakoby doktor zaczął od pewnego czasu odwiedzać pawilon Nr. 6.

V.

Dziwna pogłoska!

Doktor Andriej Jefimycz Ragin — jest to człowiek niezwykły w swoim rodzaju. Powiadają, że we wczesnej młodości był ogromnie pobożny i przygotowywał się do kariery duchownej, oraz że po skończeniu w roku 1863-im gimnazjalnego kursu, miał zamiar wstąpić do akademji duchownej, lecz jakoby ojciec jego, doktor medycyny i chirurg, wysmiał go zjadliwie i oświadczył kategorycznie, że go przestanie uważać za swego syna, o ile ten pójdzie na popa. Ile w tem prawdy — nie

wiem, ale Andriej Jefimycz sam nieraz wyznawał, że nigdy nie czuł powołania do medycyny ani wogóle do żadnej wiedzy fachowej.

Bez względu na to jak tam było, po skończeniu fakultetu medycznego na popa nie wyświęcił się. Pobożności swej nigdzie nie podkreślał i na początku swej kariery lekarskiej również mało przypominał osobę duchowną, jak obecnie.

Wygląd posiada ordynarny, zgruba ciosany, gminy; twarz, broda, przyplaszczony włosy i mocna, niezgrabna budowa ciała, przypomina raczej karczmarza przy wielkiej drodze, obżartucha nieumiarkowanego i gwałtownego. Przy wybujałym wzroście i rozłożystych ramionach — olbrzymie ręce i nogi; jednym uderzeniem pięści, zda się mógłby uśmiercić. Lecz krok jest cichy, chód zaś ostrożny, skradający się; przy spotkaniu w wąskim korytarzu zawsze pierwszy zatrzymuje się, żeby ustąpić z drogi i nie basem, jak należało się spodziewać, lecz wysokim, łagodnym tenorkiem mówi: „przepraszam”. Na szyi ma niewielkie obrzmienie, które mu utrudnia noszenie sztywnych krochmalonych kołnierzyków, wobec czego zawsze chodzi w miękkiej płóciennej, lub perkalowej koszuli. Ubiera się wogóle nie po doktorsku. Jeden i ten sam garnitur nosi po dziesięć lat, nowe zaś ubrania, które zazwyczaj kupuje w żydowskim sklepie, odrazu wydają się na nim tak samo wygniecione i znoszone, jak stare; w jednej i tej samej marynarce przyjmuje chorych, siada do obiadu, składa wizyty; nie jest to jednak wynikiem skąpstwa, lecz całkowitej abnegacji.

Gdy Andriej Jefimycz zjechał do miasta dla objęcia posady, „Zakład dobroczynności“ znajdował się w

potwornym stanie. Na salach, korytarzach i szpitalnym dziedzińcu ciężko było odetchnąć ze smrodu. Posługacze, posługaczki i ich dzieci sypiały na salach wspólnie z chorymi. Uskarżano się, że żyć nie można z powodu karaluchów, pluskiew i myszy. Na oddziale chirurgicznym nie wygasła róża. W całym szpitalu były tylko dwa skalpele i ani jednego termometru, w wannach przechowywano kartofle. Intendent, gospodyni i felczer rabowali chorych, o starym zaś doktorze, poprzedniku Andrieja Jefimycza, opowiadano, że miał jakoby trudnić się potajemną sprzedażą spirytusu szpitalnego oraz że zorganizował sobie z posługaczek i z chorych kobiet cały harem. W mieście doskonale wiedziano o tych nieporządkach i nawet wyolbrzymiano je, lecz traktowano to spokojnie. Niektórzy usprawiedliwiali to tem, że przecież w szpitalu kurują się jedynie mieszczanie i chłopi, którzy nie mogą być niezadowoleni, boć wszakże w domu pędzą jeszcze mizerniejsze życie, niż w szpitalu; nie chodzi chyba o to, żeby ich karmić jarząbkami! Inni znów w charakterze usprawiedliwienia stwierdzali, że samo miasto bez pomocy ziemstwa nie może utrzymać przyzwoitego szpitala; Bogu niech będą dzięki, że chociaż taki marny istnieje. Młode zaś ziemstwo nie otwierało lecznicy ani w mieście, ani w pobliżu miasta, tłumacząc się tem, że miasto już ma swój szpital.

Po obejrzeniu szpitala, Andriej Jefimycz doszedł do wniosku, że jest to instytucja niemoralna i w najwyższym stopniu szkodliwa dla zdrowia mieszkańców. Według jego zdania, najmądrzejsza rzecz, którą należało uczynić, to wypuścić chorych w świat, szpital zaś zamknąć. Lecz zrozumiał, że jego wola tutaj nie wystar-

czy i że się to na nic nie zda, bo skoro się spędzi brudy fizyczne i moralne z jednego miejsca, to przeniosą się na miejsce inne. Trzeba czekać, aż się same ulotnią.

Prócz tego, skoro ludzie otworzyli szpital i znoszą go u siebie, to jest to dowodem, że ten szpital jest im potrzebny. Przesady, oraz cała ta życiowa ohyda i obrzydliwość jest potrzebna, ponieważ z biegiem czasu przestacza się ona w coś innego, celowego, tak, jak nawoz przestacza się w czarnoziem. Na ziemi niema nic tak dobrego, coby w swem zaczątku nie zawierało obrzydliwości.

Po objęciu posady, Andriej Jefimycz pozornie potraktował nieporządki szpitalne dość obojętnie. Poprosił jedynie posługaczy i posługaczki o nienocowanie na salach i wstawił dwie szafy z instrumentami. Intendent zaś, gospodyni, felczer oraz róża chirurgiczna pozostały na swoim miejscu.

Andriej Jefimycz ogromnie ceni rozum i uczciwość, ale na zorganizowanie wokół siebie rozumnego i uczciwego życia nie starcza mu charakteru ani wiary w przysługujące mu prawo. Rozkazywać, wymagać i zabraniać obsolutnie nie umie. Wygląda to tak, jakby ślubował sobie nigdy nie podnieść głosu i nie używać trybu rozkazującego. Powiedzieć „daj”, czy „przynies” jest mu trudno: kiedy chce jeść — chrząka niezdecydowanie i powiada do kucharki: „możebym tak wypić herbaty”... Albo: „możebym tak zjadł obiad”. Powiedzieć zaś intendentowi, żeby przestał kraść, albo go wypędzić, czy też zgoła skasować to pasorzytnicze stanowisko—to już całkowicie przewyższa jego siły. Gdy ktoś oszukuje Andrieja Jefimycza, albo mu pochlebia, albo podaje do podpisu zdecydowanie nieuczciwy rachunek — czer-

wieni się, niczem rak i czuje się, jak winowajca, lecz rachunek mimo to podpisuje; gdy chorzy uskarżają się na głód, lub na brutalność posługaczek — miesza się i mruczy w poczuciu winy:

— Dobrze, dobrze, rozpatrzę to później... Prawdopodobnie jakieś nieporozumienie.....

W pierwszym okresie Andriej Jefimycz pracował nam wyraz pilnie. Przyjmował codziennie od rana do obiadu, wykonywał operacje, a nawet trudnił się praktyką akuszeryjną. Panie mówiły, że jest uprzejmy i doskonale rozpoznaje choroby, szczególnie dziecięce i kobiece. Lecz z biegiem czasu praca najwidoczniej znudziła go swą jednostajnością i oczywistą bezużytecznością. Dzisiaj przyjęto 30 chorych, jutro zaś, patrzy człek, a tu zważyło się 35, pojutrze 40 i tak z dnia na dzień, z roku na rok; śmiertelność zaś w mieście nie zmniejsza się i chorzy nie przestają przychodzić. Załatwić przyzwolicie 40 chorych od poranka do obiadu jest rzeczą fizycznie niemożliwą, a zatem mimowoli wkraacza się w dziedzinę oszustwa. W roku sprawozdawczym przyjęto 12.000 chorych ambulatoryjnych, czyli że rozumując poprostu, oszukano 12.000 ludzi. Przyjmować zaś poważnie chorych na sale i obchodzić się z nimi zgodnie z prawami nauki również nie można, bowiem prawa istnieją, ale nauki brak; gdyby zaś puściło się kantem filozofję i pedantycznie przestrzegało praw, jak czynią inni lekarze, to do tego celu przedewszystkiem niezbędna jest czystość i wentylacja, nie zaś brud, — zdrowe pożywienie, nie kapuśniak na cuchnącej kwaszonej kapuście, — i uczciwi pomocnicy, nie złodzieje.

Zresztą pocóż przeszkadzać ludziom w umieraniu, o ile śmierć ma być normalnym i prawomocnym koń-

cem dla każdego? Cóż z tego, że jakiś handlarz czy urzędnik przeżyje nadetatowo 5 albo 10 lat? O ile zaś będzie się widziało cel medycyny w tem, że lekarstwa niosą ulgę cierpieniom, to mimowoli nasuwa się pytanie: nacóż ta ulga? Popierwsze, powiadają, że cierpienia wiedą człowieka do doskonałości, podrugie zaś, o ile ludzkość rzeczywiście nauczy się nieść ulgę cierpieniom swym przy pomocy pigułek i mikstur, to wówczas poniecha zupełnie religji i filozofji, w których dotychczas znajdowała nietylko schronienie od wszelkich klęsk, ale nawet szczęście. Puszkina przed śmiercią cierpiał straszliwie, biedaczysko Heine kilka lat leżał sparaliżowany; czemużby nie miał pochorować nieco jakiś Andriej Jefimycz, czy Matrena Sawiszna, których życie jest pozbawione treści, byłoby zaś zupełnie puste i przypominające życie ameby, gdyby nie cierpienia właśnie?

Przytłoczonemu przez takie rozumowania, Andriejowi Jefimyczowi opadły ręce; zaczął przychodzić do szpitala nie codziennie.

VI.

Życie jego szło takim trybem. Wstanie sobie zazwyczaj o ósmej rano, ubiera się i pije herbatę. Następnie zasiada w swym gabinecie do czytania, albo idzie do szpitala. W szpitalu, w wąskim ciemnym korytarzyku siedzą chorzy ambulatoryjni, oczekujący na oględziny. Koło nich, łomocąc butami po podłodze z cegły, przebiegają posługacze i posługaczki, snują się w szlafrokach wychudli pacjenci szpitalni, przynosi

się ciała zmarłych i naczynia z odchodami, płaczą dzieci, dmucha przeciągły wicher. Andriej Jefimycz wie, że dla malarycznych, suchotników i wogóle dla wrażliwych chorych tego rodzaju otoczenie jest męczące, ale cóż zrobić? W przychodni spotyka go felczer Siergiej Siergiejewicz, mały, tłusty człowieczek, o wygolonej, czysto umytej pulchnej twarzy, o miękkich, zaokrąglonych ruchach, przyodziany w nowy obszerny garnitur, i przypominający swym wyglądem raczej senatora niż felczera. Siergiej Siergiejewicz ma w mieście olbrzymią praktykę, nosi biały krawat i uważa siebie za bardziej biegłego w medycynie od dokora, który wcale nie ma praktyki. W kącie przychodni stoi na ołtarzyku duży obraz święty, przed nim ciężka lampa oliwna, obok katafalk w białym pokrowcu; na ścianach wiszą portrety archijerejów, fotografia klasztoru Świątógórskiego i wianki z uschłych bławatków. Siergiej Siergiejewicz jest religijny i przepada za dewocjonaljami. Jest fundatorem wymienionego świętego obrazu; w niedzielne wieczory z rozkazu Siergieja Siergiejewicza któryś z chorych odczytuje głośno w przychodni pieśni religijne, po czytaniu zaś, Siergiej Siergiejewicz sam obchodzi wszystkie sale i okadza je kadzidłem.

Chorych jest wielu, czasu zaś mało, więc sprawa ogranicza się do kilku zapytań i do wydania jakiegoś lekarstwa, w guście linimentum volatilae, czy rycyn. Andriej Jefimycz siedzi ze wspartą na dłoni twarzą, i machinalnie zadaje pytania. Siergiej Siergiejewicz również siedzi, zaciera rączki i od czasu do czasu wtrąca słówko.

— Chorujemy i udękę znosimy — orzeka —

bowiem, zbyt mało modłów do Miłosierdzia Boskiego zanosimy. O!

W czasie przyjęcia, Andriej Jefimycz nie dokonuje żadnych zabiegów lekarskich: dawno odzwyczaił się od tego, widok zaś krwi sprawia mu przykrość. Gdy musi otworzyć dziecku usta, by zajrzeć do gardła, a dziecko krzyczy i broni się rączkami, to Andriejowi Jefimyczowi kręci się w głowie od krzyku, na oczy zaś występują łzy. Pośpiesznie wypisuję receptę i macha rękami, żeby baba jaknajprędzej zabrała dzieciaka.

Nader prędko brzydnie mu podczas przyjęcia onieśmienie i głupota chorych, bliskość pobożnego Siergieja Siergiejewicza i własne pytania, zadawane od przeszło dwudziestu lat bez zmiany. Odchodzi więc po przyjęciu pięciu czy sześciu chorych. Pozostałych przyjmuje felczer bez Andrieja Jefimowicza.

W przyjemnem poczuciu, że dzięki Bogu, prywatnej praktyki już dawno nie posiada i że nikt mu teraz nie przeszkodzi, Andriej Jefimycz po powrocie do domu natychmiast zasiada w gabinecie przy biurku i zabiera się do czytania. Czytuje bardzo dużo i zawsze z wielkiem zadowoleniem. Połowę pensji wydaje na książki, z pośród zaś sześciu pokoi w jego mieszkaniu, trzy są zavalone książkami i starymi pismami. Najbardziej lubi dzieła historyczne i fizjologiczne; z zakresu medycyny prenumeruje tylko „Lekarza”, którego zawsze zaczyna od końca. Czytanie zawsze trwa po kilka godzin bez przerwy i nie męczy Andrieja Jefimowicza. Andriej Jefimycz czyta bez takiego pośpiechu i napięcia, jak to niegdyś Iwan Dmitrycz, lecz powoli, ze zrozumieniem, powracając częstokroć do ustępów, które mu się podobają, albo są nie dość

jasne. Obok książki zazwyczaj stoi karafka z wódką i wprost na suknie, bez talerza, leży solony ogórek, lub moczone jabłko. Co pół godziny, nie odrywając oczu od książki, doktor nalewa sobie kieliszek wódki, zacem nie patrząc, namacuje ogórek i odgryza kawaleczek.

O godzinie trzeciej zbliża się ostrożnie do kuchennych drzwi, chrząka i mówi:

— Darjusi, możebym tak zjadł obiad...

Po obiedzie dość marnym i nieestetycznym, Andrzej Jefimycz ze skrzyżowanemi na piersiach rękami spaceruje po pokoju i rozmyśla. Bije godzina czwarta, potem piąta, on zaś wciąż chodzi i myśli. Od czasu do czasu skrzypią kuchenne drzwi i ukazuje się czerwona, zaspana twarz Darjusi.

— A może już czas na piwo, Andrieju Jefimyczu? — Zapytuje troskliwie.

— Nie, jeszcze nie czas... — Odpowiada doktor. — Poczekam jeszcze... poczekam...

Pod wieczór zwykle przychodzi naczelnik poczty, Michaił Awerjanowicz, jedyny człowiek w całym mieście, którego towarzystwo nie jest dla Andrieja Jefimycza przykre. Michaił Awerjanowicz był ongiś bardzo bogatym ziemianinem i służył w kawalerji, lecz został zrujnowany i bieda zmusiła go na starość do objęcia stanowiska na poczcie. Michaił Awerjanowicz wygląda na zdrowego zucha, ma przepyszne siwe bokobrody, świetne maniery i donośny, miły głos. Jest dobry i uczciwy, lecz zapalczywy. Gdy na poczcie jakiś interesant protestuje, nie zgadza się, czy też wprost zaczyna rezonować, — wówczas Michaił Awerjanowicz purpurowieje, dygoce całym

ciałem i wykrzykuje grzmiącym głosem: „Milczeć!” To też urząd pocztowy oddawna uzyskał reputację instytucji, w której strach jest bywać. Michaił Awerjanowicz szanuje i kocha Andrieja Jefimycza za to, że jest wykształcony i posiada szlachetną duszę, resztę zaś obywateli traktuje zgóry, niczem swych podwładnych.

— Otóż jestem! — Oświadcza, wchodząc do Andrieja Jefimycza. — Witaj, mój kochany! Z pewnością obrzydłem już panu, he?

— Przeciwnie, cieszę się ogromnie, — odpowiada doktor. — Zawsze rad jestem panu.

Przyjaciele sadowią się na kanapie w gabinecie i jakiś czas palą w milczeniu.

— Darjusi, możebyśmy się tak napili piwa! — Powiada Andriej Jefimycz.

Pierwszą butelkę wypijają również w milczeniu: doktor jest zamyślony, zaś Michaił Awerjanowicz ma wygląd wesóły i ożywiony, jak człowiek, który mógłby coś bardzo ciekawego opowiedzieć. Rozpoczyna rozmowę zawsze doktor.

— Jaka szkoda — zagaja powoli i cichutko, kiwając przytem głową i nie patrząc w oczy współbiesiadnikowi (doktor nigdy nie patrzy w oczy) — jaka wielka szkoda, szanowny Michaile Awerjanowiczu, że w naszym mieście niema zupełnie ludzi, którzyby potrafili i lubili prowadzić mądrą i ciekawą pogawędkę. Brak ten daje się nam ogromnie we znaki. Nawet inteligencja nie wyrasta ponad zwykłą miernotę; poziom rozwoju jej, zapewniam pana, bynajmniej nie jest wyższy, niżeli u niższych warstw społeczeństwa.

— Najzupełniejsza racja. Zgadzam się.

— Sam pan wszak raczy wiedzieć — ciągnie doktor półgłosem i z przestankami — że na tym świecie wszystko jest nieciekawe i bezwartościowe z wyjątkiem wzniosłych, uduchowionych przejawów ludzkiego rozumu. Rozum kreśli jaskrawą granicę między zwierzęciem a człowiekiem, napomyka o boskości tego ostatniego, a nawet do pewnego stopnia zastępuje mu nieśmiertelność, która nie istnieje. Opierając się na powyższem, wnioskujemy, że jedynie rozum jest dostępnem dla nas źródłem radości. Że zaś nie widzimy i nie słyszymy wokół siebie rozumu, — więc jesteśmy pozbawieni radości. Mamy wprowadzić książki, lecz to nie może zgoła zastąpić żywego słowa i obcowania. Gdyby pan zezwolił na uczynienie niezbyt udatnego porównania, rzekłbym, iż książki — to nuty, rozmowa zaś — jest śpiewem.

— Najzupełniejsza racja.

Następuje milczenie. Z kuchni wychodzi Darjusia i w bezmyślnem zasmuceniu, podparłszy piąstką oblicze, zatrzymuje się we drzwiach, by posłuchać.

— Et! — wzdycha Michaił Awerjanowicz. — Bo też pan żąda rozumu od dzisiejszego pokolenia!

I rozpoczyna opowiadać, jakie to pędziło się dawniej zdrowe, wesołe i ciekawe życie, jaka mądra inteligencja istniała w Rosji i jak wzniośle pojmowała honor i przyjaźń. Pieniądzy użyczano bez weskli i hańbą było nie wyciągnąć pomocnej dłoni ku będącemu w potrzebie koledze. A jakie były marsze, przygody, potyczki, co za koledzy, co za kobiety! Albo Kaukaz — cóż za zdumiewający kraj! Albo żona pewnego dowódcy bataljonu, dziwna ko-

bieta, ubierała się w mundur oficerski i jechała sobie wieczorem w góry, sama bez przewodnika. Mówiono, że w aulach romansowała z jakimś - tam ksiązką.

— Matko Boska święta... — Wzdycha Darjusia.

— A jak pić potrafili! Jak jeść! A jakimi byli siarczystymi liberałami!

Andriej Jefimycz słucha i nie słyszy; rozmyśla o czemś i popija piwo.

— Śnią mi się często ludzie mądrzy i rozmowy z nimi — odzywa się raptem, przerywając Michaiłowi Awerjanowiczowi. — Ojciec mój dał mi doskonałe wykształcenie, lecz pod wpływem ideałów lat sześćdziesiątych zmusił mnie, bym został lekarzem. Przypuszczam, że gdybym go wówczas nie usłuchał — znajdowałbym się dzisiaj w centrum ruchu umysłowego. Byłbym, prawdopodobnie, członkiem któregoś fakultetu. Oczywiście, rozum również nie jest wieczny i niezmienny, ale pan już wie, czemu mam doń słabość. Życie jest dokuczliwą pułapką. Gdy człowiek myślący dochodzi do wieku męskiego i nabiera dojrzałej świadomości, wówczas mimowoli czuje się tak, jak w pułapce bez wyjścia. Bo też istotnie, wbrew woli swej został powołany jakimś zbiegiem okoliczności z niebytu do życia... Poco? Pragnie poznać sens i cel swego istnienia, lecz tego mu nie tłumaczą, albo też gadają jakieś banialuki; kołacze — nie otwierają mu; śmierć doń przychodzi — również wbrew jego woli. I oto, tak jak w więzieniu złączeni wspólnem nieszczęściem, ludzie lepiej się czują będąc razem, tak też w życiu nie dostrzega się pułapki wtedy, gdy ludzie, obdarzeni skłonnością do analizy i

uogólnień, mogą spotkać się i spędzić czas na wymianie dumnych, wolnych myśli. W danem znaczeniu rozum jest niezastąpioną radością.

— Najzupełniejsza racja.

Nie patrząc w oczy gościa, wolno i z pauzami Andriej Jefimycz ciągnie swe wywody o ludziach mądrych i o biesiadzie z nimi, zaś Michaił Awerjanowicz słucha uważnie i zgadza się: „Najzupełniejsza racja”.

— A pan nie wierzy w nieśmiertelność duszy? — Zapytuje nagle naczelnik poczty.

— Nie, szanowny Michaile Awerjanowiczu, nie wierzę i nie mam podstaw do wierzenia.

— Wyznam, że i ja mam wątpliwości. Choć jednak mam takie uczucie, jakbym nigdy nie miał umrzeć. Oj, myślę sobie, czas umierać, stary pierniku! W duszy zaś jakiś głosik mi nuci: nie wierz temu, nie umrzesz!...

O dziesiątej Michaił Awerjanowicz wychodzi. Ubierając się w przedpokoju w futro, powiada z westchnieniem:

— Jednak do jakiej dziury wpędził nas los! Najgorsze to, że tutaj też pewnie zamrzeć trzeba będzie. Ech!...

VII.

Po odprowadzeniu przyjaciela, Andriej Jefimycz siada przy biurku i znowu zaczyna czytać. Ciśszy wieczornej, następnie nocnej nie mać żaden dźwięk, czas, zda się zatrzymuje się i kamienieje nad książką wraz z doktorem. I wydaje się, że nie istnieje

je nic, prócz tej książki i lampy z zielonym kloszem. Ordynarną, chłopską twarz doktora rozpromienia zwolna uśmiech roztkliwienia i zachwytu wobec postępu rozumu ludzkiego. O, czemuż człowiek nie jest nieśmiertelny? — Myśli doktor. — Nacóż ośrodki mózgowe i zwoje, naco wzrok, mowa, samopoczucie, genjusz, skoro to wszystko jest skazane na wsiąknięcie w ziemię i, w końcu ostatecznym, na oziębienie wraz ze skorupą ziemską, następnie zaś, w ciągu milionów lat na bezcelowe wirowanie z ziemią dookoła słońca? By oziębic, a potem wirować nie trzeba było wcale wywoływać z niebytu człowieka o tak podniosłym, prawie boskim rozumie i następnie, jak na kpiny, przeistaczać go w glinę.

Przemiana materji! Cóż za tchórzostwo pocieszać się tym surogatem nieśmiertelności! Nieświadome procesy, zachodzące w przyrodzie stoją niżej nawet, niżeli głupota ludzka, bowiem głupota, mimo wszystko, zawiera świadomość i wolę, w procesach zaś niema absolutnie nic. Jedyne tchórz, posiadający więcej strachu przed śmiercią, niż godności, może pocieszać się tem, że ciało jego z czasem odżyje w trawie, w kamieniu, w żabie... Upatrywanie swej nieśmiertelności w przemianie materji jest takim samym dziwactwem, jak prorokowanie świetnej przyszłości futerałowi wówczas, gdy drogie skrzypce zostały strzaskane już i do niczego niezdatne.

Gdy bije zegar, Andriej Jefimycz odrzuca głowę na oparcie fotela i zamyka oczy, by porozmyślać chwilkę. Mimowoli, pod wpływem wzniosłych myśli, wyczytanych w książce, rzuca okiem na swoją przeszłość i teraźniejszość. Teraźniejszość zaś jest taka

sama, jak przeszłość. Andriej Jefimycz wie, że wówczas, gdy jego myśli wirują wraz z zamarłą ziemią dokła słońca — w wielkim budynku, obok mieszkania doktora, męczą się ludzie w chorobach i w brudzie fizycznym; możliwe, że któryś z nich nie śpi i walczy z insektami, ktoś inny zaraża się różą, lub jęczy z powodu zbyt ciasno nałożonego bandaża; możliwe, że chorzy grają w karty z posługaczami i piją wódkę. W roku sprawozdawczym oszukano 12.000 osób; całe prowadzenie szpitala, jak 20 lat temu, tak też obecnie, opiera się na złodziejstwie, niesnaskach, plotkach, pokrewieństwach, na ordynarnej szarlata-nerji, szpital zaś nadal jest instytucją niemoralną i w najwyższym stopniu szkodliwą dla zdrowia obywateli. Doktor wie, że w pawilonie Nr. 6 poza kratami Nikita tłucze chorych i że Mosiek codziennie włóczy się po mieście i żebrze.

Z drugiej strony, doktor znów wie doskonale, iż w ciągu ostatnich 25 lat w medycynie nastąpiły niewiarogodne zmiany. Gdy się kształcił na uniwersytecie, przypuszczał, że medycynę spotka niezadługo los alchemji i metafizyki, obecnie zaś, gdy zaczytuje się w nocy — medycyna wzrusza go i zdumiewa, a nawet wzbudza zachwyty. Istotnie, jakaż niespodziewana błyskawica, co za rewolucja! Dzięki antyseptyce są dokonywane operacje, których wielki Pirogow nie uważał za możliwe. nawet in spe. Pospolicci lekarze ziemstw decydują się na dokonywanie rezekcji stawu kolanowego. Na sto laparatomij tylko jedno zejście śmiertelne, kamica zaś nerkowa uważana jest za takie głupstwo, że się nawet o niej nie pisze. Syfilis jest leczony radykalnie. A teoria dziedziczności, hyp-

notyzm, odkrycia Pasteur'a i Koch'a, higjena i statystyka, a nasza rosyjska medycyna ziemstw? Psychjatrja z jej obecną klasyfikacją cierpień, metodami rozpoznawania i leczeniem — w porównaniu z tem, co było dawniej — to wprost Elbrus. Teraz warjatom nie leje się zimnej wody na głowę i nie ubiera się w kaftany bezpieczeństwa; obchodzą się z nimi po ludzku, a nawet, jak pisano w gazetach, urządzają dla nich przedstawienia i bale. Andriej Jefimycz wie, że przy obecnych poglądach i gustach taka ohyda, jak powilon Nr. 6 jest możliwa jedynie chyba w odległości 200 wiorst od toru kolejowego, w mieścinie, kędy burmistrz i wszyscy radni są nawpół analfabetami, uważającymi lekarza za wyrocznicę, w którą należy wierzyć bez jakiegokolwiek krytyki, gdyby nawet lał do ust ołów. W innej zaś miejscowości publiczność oraz gazety oddawna rozszarpałyby na strzępy tę maleńką Bastylję.

„Ale cóż? — Zapytuje siebie Andriej Jefimycz, otwierając oczy. — Cóż z tego? Jest antyseptyka, jest Koch, jest Pasteur, lecz istota rzeczy bynajmniej nie uległa zmianie. Liczba zachorowań i śmiertelności wciąż taka sama. Urządza się dla warjatów przedstawienia i bale, ale na swobodę nie wypuszcza się ich mimo wszystko. Czyli że wszystko to nonsens i mizerja, różnicy zaś pomiędzy najlepszą kliniką, a moim szpitalem w rzeczywistości niema żadnej.”

Lecz smutek i uczucie, przypominające zazdrość, przeszkadzają mu trwać w obojętności. Pewnie to skutek przemęczenia. Ociężała głowa pochyła się nad książką, doktor podkłada pod twarz dłoń, żeby było mięcej i myśli:

„Służę złej sprawie i biorę pensję od ludzi, których oszukuję; jestem nieuczciwy. Lecz wszakże ja sam jestem tylko niczem, jam tylko częstką koniecznego zła społecznego: wszyscy urzędnicy powiatowi są szkodliwi i darmo biorą pieniądze... Czyli że to, że jestem nieuczciwy nie moją jest winą, tylko obecnych czasów... Gdybym się urodził o dwieście lat później, byłbym inny.”

Kiedy bije trzecia godzina, doktor gasi lampę i idzie do sypialni. Spać mu się nie chce.

VIII.

Dwa lata temu ziemstwo w przystępie hojności uchwaliło w charakterze zapomogi coroczną wypłatę dwustu rubli. na powiększenie personelu lekarskiego w miejskim szpitalu aż do chwili otwarcia szpitala ziemskiego. Przysłany więc został do pomocy Andriejowi Jefimyczowi, zaangażowany przez miasto lekarz powiatowy, Jewgienij Fiodorowicz Chobotow. Jest to jeszcze bardzo młody człowiek — nie ma nawet trzydziestki — wysoki brunet o wystających kościach policzkowych i malutkich oczkach; przodkowie jego prawdopodobnie byli obcokrajowcami. Przybył do miasta bez grosza, z niewielkim jedynie kufrem i z młodą, nieładną kobietą, którą nazywa swoją kucharką. Kobieta ta ma dziecko przy piersi. Jewgienij Fiodorowicz nosi czapkę z daszkiem i długie buty, zimą przywdziewa „połuszubok”^{*)}). Nawiązał zażyłe

^{*)} Rodzaj kożucha. Przyp. tłum.

stosunki z felczerem Siergiejem Siergiejewiczem, oraz ze skarbnikiem, pozostałych zaś urzędników nazywa, niewiadomo czemu, arystokratami i boczy się na nich. W całym mieszkaniu posiada tylko jedną książkę: „Najnowsze recepty wiedeńskiej kliniki na rok 1881-y.” Gdy idzie do chorego, zawsze zabiera ze sobą tę książkę. W klubie wieczorami gra na bilardzie, ale kart nie lubi. Z satysfakcją używa w rozmowie takich wyrażeń, jak „zawracantes”, „awantura z chrzanem”, „nie zawracaj kontrafałdy” i t. p.

W szpitalu bywa dwa razy tygodniowo, robi obchód sal i przyjmuje chorych. Absolutny brak antyseptyki oraz cięte bańki oburzają go, lecz nowych porządków nie wprowadza, bojąc się urazić Andrieja Jefimycza. Uważa swego kolegę za starego łotra, podejrzewa, że Andriej Jefimicz posiada znaczne kapitały i w cichości ducha zazdrości mu.

Chętnie zgodziłby się na zajęcie jego miejsca.

IX.

Pewnego wiosennego wieczoru w końcu marca, gdy na ziemi nie było śniegu, zaś w szpitalnym ogrodzie śpiewał szpak, doktor wyszedł, by odprowadzić do furtki swego przyjaciela. Właśnie w tym czasie wszedł na dziedziniec żyd Mosiek, powracający z żebrów. Mosiek był bez czapki, w płytkich kaloszach na bosych stopach, w rękach trzymał niewielką torbę

z datkami.

— Daj kopiejczkę! — Zwrócił się do doktora, drżący z zimna i uśmiechnięty.

Andriej Jefimycz, który nie umiał nigdy odmawiać, dał mu dziesiątkę.

„Jakież to przykre. — Pomyślał, patrząc na jego bosa nogi o czerwonych, wychudłych łydkach. — Przecież jest wilgoć.”

I powodowany przez uczucie, przypominające i litość i obrzydzenie, podążył za żydem do pawilonu, poglądając kolejno na łysinę i na łydki Mośka. Nikita zerwał się ze stosu rupieci i wyprężył się przed wchodzącym doktorem.

— Dzieńdobry, Nikito, — rzekł uprzejmie Andriej Jefimycz. — Możeby tak temu żydowi dać buty, czy co, bo się jeszcze przeziębi.

— Rozkaz, panie doktorze. Zamelduję intendentowi.

— Prosiłbym bardzo. Poproś go w moim imieniu. Powiedz, że to ja prosiłem.

Drzwi z sieni do sali były otwarte. Leżący na łóżku Iwan Dmitrycz uniósł się nieco, opierając się na łokciu i z trwogą wsłuchiwał się w nieznany głos; aż raptem poznał doktora. Wstrząsnął nim gniew, zerwał się, z purpurową, wściekłą twarzą, z wytrzeszczonymi oczyma wybiegł na środek sali.

— Przyszedł doktór! — Wykrzyknął i roześmiał się. — Nareszcie! Panowie, gratuluję, doktór czyni nam zaszczyt swą wizytą! Gadzie przekłęty! — Wrzasnął i w zapamiętaniu, jakiego jeszcze nie widziano w pawilonie nigdy, tupnął nogą. — Zabić tego gada! Nie, zabić to mało! Zatopić w kloace!

Słyszając to, Andriej Jefimycz wysunął się z sieni do sali i zapytał łagodnie:

— Zaco?

— Zaco? — Krzyknął Iwan Dmitrycz, zbliżając się do doktora groźnie i kurczowo otulając się swym szlafrokiem. — Zaco? Złodzieju! — Wykrztusił ze wstrętem, składając wargi, jak do splunięcia. — Szarlatananie! Oprawco!

— Niech się pan uspokoi, — rzekł Andriej Jefimycz z uśmiechem winowajcy. — Zapewniam pana, że nigdy nic nie ukradłem, co do reszty zaś pan zapewne mocno przesadza. Widzę, że pan się na mnie gniewa. Proszę bardzo niech się pan uspokoi, o ile pan może i niech pan z zimną krwią wyzna: o co się pan na mnie gniewa?

— A zaco mnie pan tutaj trzyma?

— Za to, że pan jest chory.

— Tak, jestem chory. Lecz wszakże dziesiątki, setki warjatów spacerują na wolności, bowiem wasz obskurantyzm nie pozwala wam odróżnić ich od ludzi zdrowych. Czemuż więc ja i ci oto nieszczęśnicy musimy tu siedzieć, niczem kozły ofiarne? Pan, felczer, intendent i cała ta wasza szpitalna kanalja w znaczeniu moralnem stoi nieskończenie niżej od każdego z nas, czemuż my siedzimy, wy zaś nie? Gdzież logika?

— Znaczenie moralne ani logika nie mają tutaj nic do rzeczy. Wszystko zależy od przypadku. Siedzi ten, którego zamknięto, ten zaś, którego nie zamknięto — nie siedzi, oto wszystko. W tem, że ja jestem lekarzem, pan zaś chorym umysłowo, niema

ani moralności, ani logiki, jest tylko zwykły przypadek.

— Nie rozumiem tego nonsensu — rzekł stłumionym głosem Iwan Dmitrycz i siadł na swem łóżku.

Mosiek, którego Nikita krępował się rewidować w obecności doktora, rozłożył na swem pościeliu kromki chleba, papierki i kości i, wciąż jeszcze dygocząc z zimna, jał o czemś pośpiesznie i śpiewnie rozpowiadać po żydowsku. Prawdopodobnie wyobrażał sobie, że otworzył sklepik.

— Niech mnie pan wypuści, — powiedział Iwan Dmitrycz, a głos mu drgnął.

— Nie mogę.

— Ale czemu? Czemu?

— Temu, że to nie jest w mej mocy. Niech się pan zastanowi sam, co panu z tego przyjdzie, gdybym pana wypuścił? Niech pan idzie. Zatrzymają pana mieszkańcy, czy policja i sprowadzą spowrotem.

— Tak, tak, to prawda... — Wyrzekł Iwan Dmitrycz i potarł czoło. — To okropne! Więc cóż mam robić? Co?

Jego głos, jego młoda rozumna twarz z nerwowymi skurczami spodobały się Andriejowi Jefimyczowi. Zapragnął okazać serdeczność młodzieńcowi i uspokoić go. Siadł więc obok niego na łóżku, zastanowił się i rzekł:

— Pyta pan, co robić? W pańskiej sytuacji najlepiej byłoby uciec stąd. Lecz, na nieszczęście, to jest bezskuteczne. Zatrzymają pana. Społeczeństwo jest niewyciężone w wypadku, gdy zabezpiecza się przed przestępcami, przed chorymi umysłowo i wogóle przed ludźmi niewygodnymi. Pozostaje więc panu jedno:

zdobyć spokój w przeświadczeniu, że pański pobyt tutaj jest niezbędny.

— Nie jest nikomu potrzebny.

— Ponieważ istnieją więzienia i szpitale dla warjatów, więc ktoś musi w nich siedzieć. Nie pan — to ja, nie ja — to ktoś trzeci. Niech pan poczeka, gdy w dalekiej przyszłości zakończą swe istnienie więzienia i domy warjatów, to nie będzie wówczas ani okratowań w oknach, ani szlafroków. Okres taki, oczywiście, nastąpi wcześniej czy później.

Iwan Dmitrycz uśmiechnął się szyderczo.

— Pan sobie żartuje. — Rzekł mrużąc oczy. — Takich jegomościów, jak pan i pański pomocnik Nikita, przyszłość ani ziębi, ani grzeje, lecz może pan być pewny, łaskawy panie, że nadejdą lepsze czasy! Możliwe, że się wyrażam trywjalnie, może się pan śmiać, ale zabłyśnie jutrzeńka nowego życia, prawda zatryumfuje, los i do nas uśmiechnie się! Ja nie doczekam, zdechnę, lecz zato czyjeś tam prawnuki doczekają. Pozdrawiam ich z całej duszy i raduję się, raduję się za nich. Naprzód! Boże, wam dopomóż, przyjaciele!

Iwan Dmitrycz powstał z błyszczącymi oczyma i wyciągając ręce do okna, mówił głosem namiętnym.

— Zpoza tych krat wam błogosławię! Niech żyje prawda! Raduję się.

— Nie widzę specjalnej przyczyny do uciechy — odparł Andriej Jefimycz, któremu ruch Iwana Dmitrycza wydał się teatralny, lecz równocześnie ogromnie spodobał się. — Więzień, oraz domów warjatów nie będzie i, jak pan był łaskaw wyrazić się, prawda zatryumfuje, ale wszakże istota rzeczy nie zmieni się,

prawa przyrody zostaną wciąż takie same. Ludzie będą chorowali starzeli się i umierali taksamo, jak obecnie. Zeby nie wiem jaka wspaniała zorza opromieniała pańskie życie, to wkońcu jednak zabiją gwoźdźmi pańską trumnę i rzucają do dołu.

— A nieśmiertelność?

— Et, niech pan da spokój!

— Pan nie wierzy, ale ja wierzę. W Dostojewskim, czy Wolterze ktoś tam powiada, że gdyby Boga nie było, toby go ludzie wymyślili. Ja zaś wierzę głęboko, że o ile nawet niema nieśmiertelności, to wcześniej lub później stworzy ją wielki rozum człowieka.

— Dobrze powiedziane. — Wyrzekł Andriej Jefimycz z uśmiechem zadowolenia. — To dobrze, że pan wierzy. Z taką wiarą można cudownie żyć, będąc nawet żywcem zamurowanym. Pan odebrał jakieś wykształcenie?

— Tak, byłem na uniwersytecie, ale nie skończyłem.

— Jest pan myślącym i zastanawiającym się człowiekiem. W każdym otoczeniu może pan odnaleźć ukojenie w samym sobie. Swobodne i głębokie rozważanie, dążące do zrozumienia życia, oraz pełnia pogardy względem bezsensownej krzątaniny świeckiej—oto dwie szczęśliwości, ponad które większych nigdy człek nie znał. I pan może je osiągnąć, gdyby pan nawet pędził życie poza trzema kratami. Diogenes mieszkał w beczce, a jednak był szczęśliwszy od wszystkich królów na ziemi.

— Pański Diogenes był bałwan. — Posepnie odparł Iwan Dmitrycz. — Co mi pan tam gada o Diogenesie i o jakimś zrozumieniu? — Rozgniewał się

raptownie i powstał. — Ja kocham życie, kocham namiętnie! Mam manję prześladowczą, dręczy mnie bezustanny strach, lecz zdarzają się chwile, w których mnie opanowuje żądza życia i wtedy boję się, że zwaruję. Szalenie pragnę żyć, szalenie!

Przeszedł się w zdenerwowaniu po sali i rzekł, zniżając głos.

— Kiedy marzę, nawiedzają mnie majaki. Przycho-
dzą do mnie jacyś ludzie, słyszę głosy, muzykę i zdaje mi się, że spaceruję po jakichś lasach, po brzegu
morskim i pragnę namiętnie krzątaniny, gwaru... Niech
mi pan powie, cóż tam nowego? — Spytał — Cóż tam?

— Czy pan chce wiedzieć o mieście, czy wogóle?

— Niech mi pan spoczątku opowie o mieście, a po-
tem wogóle.

— No cóż? W mieście rozpaczliwe nudy... Niema
do kogo słówkiem się odezwać, ani posłuchać. Nowych
ludzi niema. Zresztą przyjechał niedawno młody le-
karz, Chobotow.

— Jeszcze za moich czasów przyjechał. Cóż, cham?

— Ano, niekulturalny człek. Dziwne to, uważa
pan... Sądząc ze wszystkiego, w stolicach naszych nie-
ma zastoju umysłowego, jest ruch, — czyli że powin-
ni tam też być ludzie do rzeczy, lecz niewiadomo cze-
mu za każdym razem przysyłają stamtąd do nas tak-
ie indywiduala, że aż się patrzeć nie chce. Nieszczęsne
miasto!

— Tak, nieszczęsne miasto! — Westchnął Iwan
Dmitrycz i roześmiał się. — No, a wogóle jak? Co
piszą w gazetach i czasopismach?

Na sali było już ciemno. Doktor wstał i na sto-
jąco jął rozpowiadać, co piszą zagranicą i w Rosji, i

jaki daje się obecnie zauważyć kierunek myślowy. Iwan Dmitrycz uważnie słuchał i zadawał pytania, lecz nagle, jakby przypomniał sobie coś potwornego, złapał się za głowę i położył się na posłaniu tyłem do doktora.

— Co panu jest? — Zapytał Andriej Jefimycz.

— Nie usłyszysz pan ode mnie ani słowa więcej!

— Krzyknął brutalnie. — Proszę mi dać spokój!!

— Dlaczego?

— Powiedziałem: proszę mi dać spokój! Kiego djabła?...

Andriej Jefimycz wzruszył ramionami, westchnął i wyszedł. Mijając sień, powiedział:

— Możeby tak sprzątnąć tutaj, Nikito... Okropnie ciężkie powietrze!

— Rozkaz panie doktorze.

„Jaki miły młodzieniec! — Myślał Andriej Jefimycz, wracając do swego mieszkania. — Przez cały czas, jak tutaj mieszkam, jest to, zdaje się, pierwszy, z którym można pogadać. Umie rozumować i interesuje się tem, czem należy”.

W czasie czytania i później, gdy układał się do snu, wciąż myślał o Iwanie Dmitryczu, następnego zaś dnia po przebudzeniu się rano, przypomniał sobie, że wczoraj poznał mądrego i ciekawego człowieka i postanowił odwiedzić go jeszcze raz przy pierwszej sposobności.

X.

Iwan Dmitrycz leżał w takiej samej pozycji, jak wczoraj: głowę ścisnął rękami, a nogi miał przykurczone.

— Witaj przyjacielu. — Odezwał się Andriej Jefimycz. — Nie śpi pan?

— Popierwsze, nie jestem pańskim przyjacielem — odparł Iwan Dmitrycz, kryjąc twarz w poduszce: podrugie zaś, niepotrzebnie pan zabiega: nie wydusi pan ze mnie ani jednego słówka.

— Dziwne... — Mruknął doktor z zażenowaniem. — Gawędziliśmy wczoraj tak przyjaźnie, aż tu pan raptem o coś się obraził i nagle przestał mówić... Prawdopodobnie wyraziłem się jakoś niestosownie, lub może wypowiedziałem myśl niezgodną z pańskimi przekonaniem...

— A właśnie, już panu uwierzyłem! — Rzekł Iwan Dmitrycz, unosząc się na posłaniu i patrząc na doktora z szyderstwem i trwogą; oczy miał zaczerwienione. — Może pan się udać na przespīgi i wybadywania w inne miejsce, tutaj nic pan nie ma do roboty. Jeszcze wczoraj zrozumiałem poco pan tu przychodził.

— Dziwaczna fantazja! — Uśmiechnął się doktor. — Więc pan przypuszcza, że jestem szpiegiem?

— Tak, przypuszczam... Szpieg, czy też lekarz, któremu polecono mnie zbadać — to jedno i to samo

— Ach, jakież z pana, przepraszam za wyrażenie... dziwak!

Doktor usiadł na stołku obok łóżka i pokiwał głową.

— Więc przypuśćmy, że pan ma rację — rzekł po chwili. — Przypuśćmy, że podstępnie łapię pana za słówka, by wydać pana policji. Pana zaaresztują i potem skazają. Lecz czyż w sądzie lub w więzieniu będzie panu gorzej, niż tutaj? A gdy nawet zesłano na osiedlenie, a nawet do katorgi, to czyż to jest gorsze od siedzenia w tej oficynie? Przypuszczam, że nie gorsze... Czegóż się pan boi?

Słowa te podziały widocznie na Iwana Dmitrycza. Usiadł spokojnie.

Była piąta po południu, czyli godzina, w której Andriej Jefimycz zwykł był spacerować po swych pokojach, Darjusia zaś zapytywała, czy nie czas na piwo. Na dworze było cicho i jasno.

— A ja wyszedłem sobie po obiedzie na przechadzkę, no i wstąpiłem, jak pan widzi — rzekł doktor. — Już zupełna wiosna.

— Jaki mamy miesiąc? Marzec? — Zapytał Iwan Dmitrycz.

— Tak, koniec marca.

— Na dworze błoto?

— Nie, nie dużo. W ogrodzie już są ścieżki.

— Dobrze byłoby teraz przejechać się bryczuszką gdzieś za miasto — mówił Iwan Dmitrycz, trąc swe zaczerwienione oczy, jakby się budził ze snu: — wrócić potem do domu, do ciepłego, przytulnego gabinetu i poradzić się przyzwoitego lekarza na ból

głowy... Oddawna już nie żyłem po ludzku. A tutaj jest ohydnie! Ohydnie nie do wytrzymania!

Po wczorajszym podnieceniu był bardzo wyczerpany i przygnębiony, mówił niechętnie. Palce mu drżały i z twarzy można było poznać, że go bardzo bolała głowa.

— Między ciepłym, przytulnym gabinetem, a tą salą niema żadnej różnicy — rzekł Andriej Jefimycz. Spokój i zadowolenie leżą nie poza człowiekiem, lecz w nim samym.

— Jakto?

— Człowiek przeciętny spodziewa się dobra lub zła z zewnątrz, czyli od bryczki, albo gabinetu, myślący zaś — od siebie samego.

— Niech pan się uda na głoszenie tej filozofji do Grecji, tam jest ciepło i pachnie pomarańczami, ale do tutejszego klimatu ta filozofja nie nadaje się. Z kim to ja mówiłem o Diogenesie? Z panem chyba?

— Tak, ze mną wczoraj.

— Diogenesowi nie był potrzebny gabinet, ani ciepły lokal; tam i tak gorąco. Leży sobie człek w beczce i zajada pomarańcze i oliwki. Gdyby go los jednak rzucił do Rosji, to nietylko w grudniu, w maju nawet wprosiłby się do pokoju. Pokręciłby mu mróz kości.

— Nie. Zimna, ani też wogóle jakiegokolwiek bólu można nie odczuwać. Marek Aureljusz powiedział: „Ból, jest to jaskrawe wyobrażenie sobie bólu: zdobądź się na wysiłek woli, by zmienić to wyobrażenie, odrzuć je, przestań się uskarżać, a ból zniknie”. To jest prawda. Mędrzec, lub poprostu człowiek my-

ślący i zastanawiający się różni się tem mianowicie, że gardzi cierpieniami; jest zawsze zadowolony i niczemu się nie dziwi.

— Widocznie jestem idjota, skoro cierpię, jestem niezadowolony i dziwię się podłości ludzkiej.

— To pan mówi niepotrzebnie. Gdy się pan częściej zacznie zastanawiać, to zrozumie pan, jak błahą rzeczą jest ta cała zewnętrzność, która nas denerwuje. Należy dążyć do zrozumienia życia, w zrozumieniu tem tkwi, prawdziwe szczęście.

— Zrozumienie... — Skrzywił się Iwan Dmitrycz. — Zewnętrzne, wewnętrzne... Pan wybaczy, ale ja tego nie rozumiem. Wiem jedynie — rzekł wstając i patrząc z gniewem na doktora — wiem, że Bóg stworzył mnie z gorącej krwi i nerwów, właśnie! Tkanka zaś organiczna, o ile zawiera zdolności życiowe, winna reagować na wszelkie bodźce. A ja reaguję! Na ból odpowiadam krzykiem, łzami, na podłość — oburzeniem, na ohydę — wstrętem. Według mnie, to właśnie nazywa się życiem. Im ustrój jest niższy, tem mniej jest uczulony i tem słabiej odpowiada na bodźce, im zaś jest wyższy, tem wrażliwszy i energiczniej reaguje na rzeczywistość. Jak można tego nie wiedzieć? Doktor — i nie wie takich głupstw! Żeby gardzić cierpieniem, być zawsze zadowolonym i niczemu się nie dziwić, należy dojść do takiego stanu, (Iwan Dmitrycz wskazał opasłego chłopca) lub też zahartować się w cierpieniu do takiego stopnia, by aż utracić wszelką nań wrażliwość, czyli przestać żyć. Niech pan daruje, nie jestem mędrce, ani filozo-

fem — ciągnął z rozdrażnieniem, — i nic a nic nie znam się na tem. Nie jestem w stanie rozumować.

— Przeciwnie, pan rozumuje świetnie.

— Stoicy, których pan parodjuje, byli to ludzie niezwykli, lecz nauka ich zatrzymała się w miejscu już dwa tysiące lat temu i nie będzie postępowała naprzód, bowiem jest niepraktyczna i nie życiowa. Miała powodzenie tylko u mniejszości, która spędza życie na studjowaniu i wsmakowywaniu się w rozmaite doktryny, większość zaś nie rozumiała jej. Nauka, głosząca obojętność dla bogactwa, dla wygod życiowych, pogardę względem cierpień i śmierci jest zupełnie niezrozumiała dla olbrzymiej większości, ponieważ owa większość nigdy nie zaznała ani bogactwa, ani życiowych wygod; gardzić zaś cierpieniami znaczyłoby dla niej gardzić samem życiem, bowiem cała istota człowieka składa się z wrażeń głodu, chłodu, krzywd, strat i hamletowskiego strachu wobec śmierci. W tych wrazeniach mieści się życie: może ono ciężyc, można je nienawidzić, lecz gardzić niem nie można. A więc powtarzam, filozofja stoików nigdy nie może mieć przyszłości przed sobą, zaś rozwija się progresywnie, jak pan to widzi, od początku wieku do dnia dzisiejszego jedynie walka, wrażliwość na ból, zdolność reagowania na podrażnienie...

Iwan Dmitrycz zgubił wątek myśli, zatrzymał się i tarł czoło w zdenerwowaniu.

— Chciałem powiedzieć coś ważnego, ale mi się poplątało — rzekł. — O czemże to mówiłem? Aha! Więc właśnie powiadam, któryś stoik zaprzedał się

w niewolę, by wykupić swego bliźniego. Czyli, że, uważa pan, widocznie ów stoik również reagował na podrażnienie, ponieważ do takiego podniosłego aktu, jakim jest unicestwienie siebie dla bliźniego, potrzeba zbuntowanej, litosnej duszy. W tem więzieniu zapomniałem wszystkiego, czego się kiedyś nauczyłem, bo mógłbym sobie jeszcze coś niecoś przypomnieć. Albo wziąć Chrystusa? Chrystus reagował na rzeczywistość płaczem, uśmiechem, smutkiem, gniewem, nawet tęsknotą; szedł na spotkanie cierpień bez uśmiechu i śmiercią nie gardził, lecz modlił się w Ogrójcu o oddalenie tej czary.

Iwan Dmitrycz roześmiał się i usiadł.

— Przypuśćmy, że spokój i zadowolenie znajdują się nie poza człowiekiem, lecz w nim samym — powiedział. — Przypuśćmy, że należy gardzić cierpieniami i nie dziwić się niczemu. Ale na jakiej podstawie pan to głosi? Jest pan mędrcelem? Filozofem?

— Nie, filozofem nie jestem, ale to winien głosić każdy, gdyż to jest rozsądne.

— Nie, ja chciałbym wiedzieć, czemu pan w sprawie „zrozumienia”, „pogardy dla cierpienia” etc., uważa się za kompetentnego? Czy cierpiał pan kiedykolwiek? Ma pan pojęcie o cierpieniach? Przepraszam: czy pana w dzieciństwie bito?

— Nie, rodzice moi żywili wstręt do kar cielesnych.

— Zaś mój ojciec prał mnie bezlitośnie. Ojciec mój był to porywczy, hemoroidalny urzędnik o długim nosie i pożółkłym karku. Lecz mówmy o panu. Przez całe życie nikt pana nie tknął palcem, nikt pa-

na nie straszył, nie poniewierał; zdrów jest pan, jak byk. Rósł pan sobie pod skrzydełkiem ojca i uczył się pan na jego rachunek, potem zaś odrazu złapał pan synekurę. Ponad dwadzieścia lat mieszkał pan sobie w bezpłatnem mieszkaniu z opalem, światłem i służącą, mając przytem prawo pracować jak i ile panu się podoba, bodajby nawet nie robić nic. Jest pan z natury człowiekiem leniwym, pulchnym, więc starał się pan ułożyć swe życie w ten sposób, by nic pana nie niepokoiło i nie ruszało z miejsca. Wszystkie sprawy zdał pan na felczera i na inne kanalje, sam zaś pan siedział w ciepelku i cichości, gromadził pan pieniądze, czytywał książeczki, fetował się pan rozmyślaniami o przeróżnych wzniosłych bzdurstwach, oraz (Iwan Dmitrycz spojrział na czerwony nos doktora) popijaniem. Jednem słowem, życia nie widział pan, nie zna go pan absolutnie, z rzeczywistością zaś poznał się pan jedynie teoretycznie. Gardzi pan cierpieniami i nie dziwi się pan niczemu dla bardzo prostej przyczyny: marność nad marnościami, wewnętrzne i zewnętrzne, pogarda życia, cierpienie i śmierci, zrozumienie, prawdziwe szczęście — wszystko to jest filozofją najbardziej odpowiednią dla rosyjskiego wankonia. Widzi pan, naprzykład, że chłop bije żonę. Z jakiej racji ma się pan w to wdawać? Niechaj bije, tak czy tak umrą oboje wcześniej lub później; w dodatku bijący hańbi zadawanemi razami nie tego, którego bije, tylko siebie samego. Upijać się jest głupio i nieprzyzwoicie, ale kto pije — umrze, i kto nie pije — umrze. Przyłazi baba, bo ją zęby boła... Więc co? Ból jest wyobrażeniem bólu, pozatem — bez chorób wszak nie uda się na tym świecie przeżyć, wszyscy

pomrzemy, więc idź se, babo, precz, nie przeszkadzaj mi myśleć i wódkę chlać. Młodzieniec prosi o radę, co ma robić, jak żyć. Inny zamysliłby się przed daniem odpowiedzi, tutaj już odpowiedź gotowa: dąż do zrozumienia, do prawdziwego szczęścia. A czym jest owo fantastyczne „prawdziwe szczęście”? Odpowiedzi brak, oczywiście. Nas trzymają tutaj za krata, gnoją, znęcają się, lecz jest to piękne i rozsadne, bowiem pomiędzy tym pawilonem a ciepłym przytulnym gabinetem nie ma żadnej różnicy. Wygodna filozofia: nie ma się nic do roboty, sumienie ma się czyste i człek się za mędrca uważa... Nie, dobrodzieju, to nie filozofja, nie sposób myślenia, nie szerokość poglądów, tylko lenistwo, fakiryzm, omamienie senne... Właśnie! — Znow się rozgniewał Iwan Dmitrycz. — Gardzi pan cierpieniami, a niech przycisną panu palec w drzwiach, to wrzśnie pan na całe gardło!

— No, a może nie wrzśnie! — Odparł Andriej Jefimycz z łagodnym uśmiechem.

— A jakże! Albo żeby pana sparaliżowało, czy też, dajmy na to, jakiś kiep i obwieś, korzystając ze swego stanowiska i rangi, znieważył pana publicznie, zaś pan wiedziałby, że mu to ujdzie bezkarnie — wtenczas to jużby pan zrozumiał, jak to jest gdy się kogoś do zrozumienia i do bezwzględного szczęścia odsyła.

— A to oryginalne! — Rzekł Andriej Jefimycz śmiejąc się z zadowoleniem i zacierając ręce. — Mile uderza mnie w pana skłonność do uogólnień, zaś moja charakterystyka, którą pan przed chwilą był łaskaw naszkicować, jest wprost olśniewająca. Wyznam, że gawęda z panem dostarcza mi olbrzymiej przyjemności.

Ha, wysłuchałem pana, obecnie pan raczy wysłuchać mnie...

XI.

Rozmowa ta ciągnęła się jeszcze koło godziny i, widać, wywarła na Andrieja Jefimyczu głębokie wrażenie. Zaczął przychodzić do oficynki codziennie. Bywał tam zrana i po obiedzie, często zaś wieczorny mrok zastawał go również przy gawędzie z Iwanem Dmitryczem. W początkowym okresie Iwan Dmitrycz boczył się, podejrzewał o złe zamiary i szczerze podkreślał swą nieprzychylność, następnie zaś przyzwyczaił się do doktora i swój brutalny sposób bycia zmienił na pobłażliwie - ironiczny.

Wkrótce potem rozeszła się po szpitalu pogłoska, że doktor Andriej Jefimycz zaczął odwiedzać pawilon Nr 6. Nikt, ani felczer, ani Nikita, ani posługaczki, nie mógł zrozumieć poco on tam chodzi, dlaczego przesiaduje całymi godzinami, o czym rozmawia i czemu nie wypisuje recept. Postępowanie jego wydawało się dziwne. Michaił Awerjanowicz często nie zastawał go w domu, co się dawniej nie zdarzało nigdy, Darjusia też była wytracona z równowagi, gdyż doktor pijał piwo już nie w czasie określonym, a niekiedy spóźniał się nawet na obiad.

Razu pewnego, a było to już w końcu czerwca, doktor Chobotow wstąpił w jakiejś sprawie do Andrieja Jefimycza; nie zastawszy go w domu, udał się na poszukiwanie na dziedziniec. Tam powiedziano mu, że stary doktor poszedł do umyślowo chorych. Chobo-

tow wszedł do oficyny, zatrzymał się w sieni i usłyszał następującą rozmowę:

— Nie zgodzimy się nigdy i panu nie uda się nawrócić mnie na swoją wiarę. — Mówił Iwan Dmitrycz z irytacją. — Rzeczywistości pan absolutnie nie zna, nie cierpiał pan nigdy, tylko niczem pijawka karmił się pan cudzem cierpieniem, ja zaś cierpiałem bez przerwy od dnia narodzin do dzisiaj. Dlatego mówię otwarcie: uważam, że stoję wyżej od pana i jestem kompetentniejszy we wszystkich kierunkach.. Pan mnie nie może uczyć.

— Wcale nie mam pretensji do nawracania pana na swoją wiarę — odparł Andriej Jefimycz cichutko i z żalem, że się go nie chce zrozumieć. — Nie o to chodzi, mój przyjacielu. Nie chodzi o to, że pan cierpiał, ja zaś nie. Cierpienia i radości — są to rzeczy znikome; dajmy im spokój. Chodzi zaś o to, że i ja i pan myślimy, że widzimy w sobie nawzajem ludzi zdolnych do myślenia i rozumowania i to czyni nas solidarnymi bez względu na różnicę naszych poglądów. Żeby pan wiedział, mój przyjacielu, do jakiego stopnia zbrzydła mi powszechna bezmyślność, beztalencie, tępota i z jaką radością każdorazowo gawędzę z panem. Pan jest człowiekiem mądrym, a ja się panem rozkoszuję.

Chobotow otworzył drzwi na cal i zajrzał na salę; Iwan Dmitrycz w szlafmocy oraz doktor Andriej Jefimycz siedzieli obok siebie na posłaniu. Warjat wykrzywił się, drgał i kurczowo otulał się szlafrokiem, doktor zaś siedział bez ruchu ze spuszczoną głową, twarz miał czerwoną, bezradnie smutną. Chobotow wzruszył ramionami, uśmiechnął się i spojrział

porozumiewawczo na Nikitę. Nikita również wzruszył ramionami.

Następnego dnia Chobotow przyszedł do oficynki z feiczerem. Obydwaj stali w sieni i podstuchiwali.

— Nasz stary zdaje się fijoła dostał! — Kzeki Chobotow, wychodząc z oficyny.

— Boże, zlituj się nad nami grzesznymi! — Westchnął pobożny Siergiej Siergiejewicz, starannie omijając kałuże, żeby nie zawałać swych wyglansowanych wspaniale butów. — Wyznaję, szanowny Jewgienij Fiodorowiczu, że już dawno spodziewałem się tego!

XII.

Po tem, co zaszło, Andriej Jefimycz zaczął dostrzegać wokół siebie jakąś tajemniczość. Chłopi, posługaczki i chorzy przy spotkaniu spoglądali nań pytająco, następnie zaś o czemś między sobą szeptali. Córeczka intendenta, Masza, którą doktor lubił spotykać w szpitalnym ogródku, uciekała teraz niewiadomo czemu, gdy się zbliżał, by ją pogłaskać po głowie. Naczelnik poczty, Michaił Awerjanowicz, słuchając go obecnie nie powtarzał już „Najzupełniejsza racja”, lecz z niezrozumiałem zmieszaniem mruczał „tak, tak, tak...” i przyglądał mu się w smutnej zadumie; z jakichś powodów zaczął doradzać swemu przyjacielowi, by zerwał z wódką i piwem, przytem jednak, jako człowiek delikatny, nie mówił prosto z mostu, tylko czynił aluzje, opowiadając bądź o pewnym dowódcy bataljonu, bajecznym człowieku, bądź o kapelanie, zuchu prawdziwym; który pił i rozchorował się, lecz

po zaprzestaniu picia trunków, wyzdrowiał zupełnie. Ze dwa czy trzy razy przychodził do Andrieja Jefimycza kolega Chobotow; Chobotow również radził zerwać ze spirytualjami i bez jakiegokolwiek widocznego powodu zalecał zażywanie bromu.

W sierpniu Andriej Jefimycz otrzymał od burmistrza list z prośbą, by był łaskaw pofatygować się w pewnej nader ważnej sprawie. Przyszedszy w oznaczonej godzinie do magistratu, zastał tam Andriej Jefimycz komendanta poborowego, etatowego intendenta szkoły powiatowej, członka rady miejskiej, Chobotowa i jeszcze jakiegoś zażywnego płowego jego-mościa, którego przedstawiono mu, jako lekarza. Lekarz ten o polskiem, trudnem do wymówienia nazwisku, mieszkał w odległości trzydziestu wiorst od miasta przy zakładzie hodowli koni, w mieście zaś był obecnie przejazdem.

— Jest tu zgłoszenie, wchodzące w zakres pański — zwrócił się członek rady do Andrieja Jefimycza, gdy już wszyscy przywitali się i siedzieli przy stole. — Właśnie Jewgienij Fiodorowicz twierdzi, że w aptece jest zbyt ciasno we frontowem skrzydle i że warto byłoby ją przenieść do którejś oficyny. Ano cóż, czemu nie, przenieść można, lecz sęk w tem, że oficyna będzie wymagała remontu.

— Tak, bez remontu nie można się obejść — odpowiedział Andriej Jefimycz po namyśle. — Gdyby naprzykład w bocznej oficynie urządzić aptekę, to przypuszczalnie, trzebaby było na to pięćset rubli minimum. Wydatek, który się nie opłaci.

Zamilkli na chwilę.

— Miałem już honor oświadczyć dziesięć lat te-

mu — ciągnął Andriej Jefimycz cichym głosem, — że ten szpital w obecnym jego stanie jest dla miasta luksusem, nie odpowiadającym środkiem, któremi miasto rozporządza. Był pobudowany w latach czterdziestych, ale wszak wówczas miasto miało inne środki. Miasto zbyt wiele wydaje na zbędne budowy i niepotrzebne urzędy. Myślę, że za te pieniądze możnaby przy innych porządkach utrzymać dwa szpitale.

— A więc bierzmy się do wprowadzania innych porządków! — Pośpiesznie rzekł członek rady.

— Miałem już honor oświadczyć: należy przekazać szpitalnictwo do kompetencji ziemstwa.

— Tak, odda się ziemstwu pieniądze, a ono ukradnie. — Roześmiał się płowy doktor.

— To już według zwyczaju. — Zgodził się członek rady i też roześmiał się.

Andriej Jefimycz rzucił przybite, przyćmione spojrzenie na płowego doktora i rzekł:

— Należy być sprawiedliwym.

Znowu zamilkli. Podano herbatę. Komendant poborowy, bardzo czemś zmieszany, dotknął poprzez stół dłoni Andrieja Jefimycza i powiedział:

— Zupełnie zapomniał pan o nas, doktorze. Zresztą, mnich przecież z pana: w karty pan nie gra, kobiet pan nie lubi. Nudzi się w naszym towarzystwie.

Wszyscy zaczęli mówić o tem, jak nudne jest życie porządnego człowieka w tem mieście. Ani teatru, ani muzyki, na ostatnim zaś wieczorku tanecznym w klubie było koło dwudziestu pań i tylko dwóch panów. Młodzież nie tańczy, tylko wciąż tłoczy się do bufetu, lub gra w karty. Andriej Jefimycz powoli, głosem zniżonym, nie patrząc na nikogo jął dowodzić, ja-

kie to smutne, jakie ogromnie smutne, że mieszkańcy tego miasta ekspansują swoją życiową energję, swoje serce i rozum na karty i plotki, nie umieją zaś wcale i nie chcą przepędzać czasu na zajmujących pogawędkach i czytaniu, nie chcą korzystać z przyjemności, jakie ofiarowuje intelekt. Jedynie intelekt jest rzeczą ciekawą i niezwykłą, wszystko pozostałe jest przyziemne i płytkie. Chobotow uważnie słuchał swego kolegi, aż raptem spytał:

— Andrieju Jefimyczu, którego to dzisiaj mamy?

Po uzyskaniu odpowiedzi, Chobotow wraz z pływym doktorem poczęli tonem egzaminatorów, zdających sobie sprawę ze swego braku umiejętności, wypytywać Andrieja Jefimycza jaki jest dzisiaj dzień tygodnia, ile jest dni w roku i czy prawda, że w pawilonie Nr. 6 przebywa nadzwyczajny prorok.

W odpowiedzi na ostatnie pytanie, Andriej Jefimycz zaczerwienił się i powiedział:

— Tak, to chory, ale interesujący człowiek.

Nie zadawano mu więcej żadnych pytań.

Gdy w przedpokoju wkładał palto, komendant poborowy położył doktorowi dłoń na ramieniu i rzekł z westchnieniem:

— Czas już, nam starym, na odpoczynek!

Po wyjściu z magistratu, Andriej Jefimycz zrozumiał, że to była komisja, wyznaczona do zbadania jego władz umysłowych. Przypomniał sobie pytania, które mu zadawano, zaczerwienił się i, niewiadomo czemu, poraz pierwszy w życiu uczuł teraz głęboką litość dla medycyny.

„Mój Boże — myślał, przypominając sobie w jaki sposób przed chwilą zbadali go lekarze. — Wszak-

że tak niedawno słuchali wykładów psychjatrji, składali egzaminy — skąd więc ten absolutny obskurantyzm? Pojęcia nie mają o psychjatrji!”

I poraz pierwszy w życiu czuł się obrażony i rozgniewany.

Tegoż dnia wieczorem przyszedł do niego Michaił Awerjanowicz. Zbliżył się do doktora bez powitania, ujął go za obydwie ręce i rzekł wzruszonym głosem:

— Drogi mój przyjacielu, niech mi pan udowodni, że pan wierzy w moją szczerą życzliwość i uważa mnie za swego przyjaciela... Przyjacielu mój! — I, przeszkadzając mówić Andriejowi Jefimyczowi, ciągnął ze zdenerwowaniem: — Kocham pana za pańską szlachetność ducha i za wykształcenie. Niechże mnie pan słucha, mój drogi. Prawidła nauki obowiązują lekarzy do ukrywania przed panem prawdy, lecz ja po wojskowemu rznę prosto z mostu: pan jest niezdrów! Przepraszam pana, mój drogi, ale to prawda, całe otoczenie już dawno to zauważyło. Mówił mi teraz doktor Jewgienij Pawłowicz, że dla poprawy pańskiego zdrowia niezbędnym jest odpoczynek i rozrywki. Najzupełniejsza racja! Doskonale! W najbliższych dniach biorę urlop i wyjeżdżam, by odetchnąć innym powietrzem. Niech mi pan udowodni że jest pan moim przyjacielem, jedźmy razem! Jedźmy, przypomnimy sobie dawne czasy.

— Czuję, że jestem zupełnie zdrów. — Powiedział Andriej Jefimycz po namyśle. — Jechać zaś nie jestem w stanie. Niech mi pan pozwoli w jakiś inny sposób zadokumentować moją przyjaźń.

Wyjeżdżać gdzieś, niewiadomo pogo, bez książek, bez Darjusi, bez piwa, zmienić kontrastowo cały

tryb życia, ustalony w ciągu 20 lat — myśl taka w pierwszej chwili wydała mu się dziką i fantastyczną. Lecz przypomniał sobie rozmowę w magistracie oraz ciężki nastrój, który go ogarnął w powrotnej drodze z magistratu do domu, i projekt wyjechania na krótki czas z miasta, w którem głupi ludzie uważają go za warjata, uśmiechnął mu się.

— A właściwie dokąd ma pan zamiar jechać? — Zapytał.

— Do Moskwy, do Petersburga, do Warszawy... W Warszawie spędziłem pięć najszczęśliwszych lat w mem życiu. Cóż to za zdumiewające miasto! Jedźmy, mój drogi!

XIII.

Po upływie tygodnia zaproponowano Andriejowi Jefimyczowi, by się udał na odpoczynek, czyli, by się podał do dymisji, którą to propozycję przyjął obojętnie. Po upływie zaś jeszcze jednego tygodnia, doktor wraz z Michaiłem Awerjanowiczem siedział już w pocztowym tarantasie i jechał do najbliższej stacji kolejowej. Dnie były chłodne, jasne, o błękitnych niebiosach i przejrzystych dalach. Dwieście wiorst do stacji przejechano przez dwie doby i dwa razy w drodze nocowano. Gdy na stacjach pocztowych podawano źle wymyte szklanki lub nie zaprzęgano zbyt długo koni, to Michaił Awerjanowicz purpurowiał, trząsł się z wściekłości i ryczał: „Milczeć! nie rezonować!” Siedząc zaś w tarantasie, nie przestawał ani na chwilę opowiadać o swych wycieczkach po Kaukazie i Kró-

lestwie Polskiem. Ile było przygód, co za spotkania! Rozprawiał głośno i robił przy tem takie zdumione oczy, że można było pomyśleć, że kłamał. Na dobitkę, opowiadając dmuchał w twarz Andriejowi Jefimyczowi i śmiał się prosto w ucho. To krępowało doktora i przeszkadzało mu w myśleniu i skupieniu się.

Koleją jechali ze względów oszczędnościowych trzecią klasą, w wagonie dla niepalących. Część publiczności była dość przyzwoita. Michaił Awerjanowicz wkrótce zapoznał się ze wszystkimi i spacerując od ławki do ławki, głośno oświadczał że nie należy jeździć temi ohydnyemi kolejami. Dookoła oszustwo! Bodaj to na wierzchovcu: człek w ciągu dnia odwali sto wiorst i czuje się świeżo i zdrowo. Nicurodzaj zaś mamy dzięki temu, że osuszono błota pińskie. Wogóle okropne nieporządki. Wpadał w zapał, mówił głośno i nie pozwalał mówić innym. Ta ciągła paplanina z głośnym śmiechem i wyrazistemi gestami naprzemian znużyła Andrieja Jefimycza.

„Który z nas dwóch jest warjatem? — Myślał z irytacją. — Czy ja, który się staram, by niczem nie niepokoić pasażerów, czy też ten egoista, co myśli, że jest najmądrzejszy i najbardziej interesujący ze wszystkich, wobec czego nikomu nie daje spokoju?”

W Moskwie Michaił Awerjanowicz ubrał się w wojskowy mundur bez szlifów i w spodnie z czerwonymi kantami. Po ulicy spacerował w czapce wojskowej i w płaszczu i żołnierze salutowali mu. Andriejowi Jefimyczowi wydawało się teraz, że człowiek ten z całej posiadanej ongiś wielkopańskości przeputał to, co było dobre, zatrzymując sobie jedynie jej ujemne cechy. Michaił Awerjanowicz lubił, żeby mu usługiwano na-

wet wtedy, gdy to było zupełnie zbyteczne. Zapalki leżały na stole przed nim, widział je, lecz krzyczał na służącego, żeby mu je podał; nie krępował się chodzić przy pokojówce w samej bieliźnie; kelnerom wszystkim bez wyjątku, nawet starym, mówił „ty”, w gniewie zaś tytułował ich bałwanami i idjotami. Było to, jak się zdawało Andriejowi Jefimyczowi, po wielkopańsku, lecz nieładnie.

Przedewszystkiem Michaił Awerjanowicz zaprowadził swego przyjaciela do obrazu Matki Boskiej Iwerskiej. Modlił się żarliwie, ze łzami, bił pokłony ziemne, a gdy skończył, westchnął głęboko i rzekł:

— Chociaż się nie wierzy, ale zawsze to jakoś spokojniej, gdy się człek pomodli. Niech pan ucałuje obraz, kochasiu.

Andriej Jefimycz zmieszał się i ucałował obraz, zaś Michaił Awerjanowicz wyciągnął wargi i kiwając głową, pomodlił się szeptem, a na oczy znów mu nawięły się łzy. Poszli następnie do Kremlu i obejrżeli tam „car - armatę” i „car - dzwon”, dotknęli nawet palcami, zachwycili się widokiem na Zamoskworieczje, zwiedzili świątynię Spasa (Zbawiciela) i muzeum Rumiancewa.

Obiad jedli u Tiestowa. Michaił Awerjanowicz długo wpatrywał się w menu, głaszcząc swe bokobrody, i rzekł tonem smakosza, który zwykł się czuć w restauracjach tak, jak w domu:

— Zobaczymy, czem wy nas dzisiaj nakarmicie, kochasiu!

XIV.

Doktór chodził, oglądał, jadł, pił, lecz opanowany był wciąż jednym uczuciem: irytował go Michaił Awerjanowicz. Pragnął wypocząć od przyjaciela, odejść od niego, schować się. Przyjaciel zaś uważał za swój obowiązek nie puszczać go ani na krok od siebie i dostarczać mu, jak można najwięcej, rozrywek. Gdy nie było nic do oglądania, wówczas bawił go rozmową.

W ciągu dwóch dni znosił to Andriej Jefimycz, na trzeci zaś dzień oświadczył swemu przyjacielowi, że jest chory i pragnie pozostać przez cały dzień w domu. Przyjaciel odparł, że w takim razie on pozostanie również. Istotnie, należy odpocząć, bo wkońcu nóg zabraknie. Andriej Jefimycz położył się na kanapie twarzą do oparcia i z zaciśniętymi zębami słuchał swego przyjaciela, który go najgoręcej przekonywał, że wcześniej czy później Francja bezwzględnie zwycięży Niemców, że w Moskwie jest pełno oszustów, i że na zasadzie zewnętrznego wyglądu konia nie należy wnioskować o jego zaletach. Doktor dostał szumu w uszach oraz palpitanji serca, lecz nie mógł się zdobyć z nadmiernej delikatności na zwrócenie się do przyjaciela z prośbą, by poszedł sobie albo zamilkł. Na szczęście Michaiłowi Awerjanowiczowi zbrzydło siedzenie w numerze hotelowym, więc po obiedzie poszedł na przechadzkę.

Zostawszy sam, Andriej Jefimycz pograżył się w uczuciu odpoczynku. Jakże miło leżeć bez ruchu na kanapie i zdawać sobie sprawę, że się jest samym w pokoju. Prawdziwe szczęście nie jest możliwe bez samotno-

ści. Upadły anioł zdradził Boga prawdopodobnie przez to, że zapragnął samotności, której aniołowie nie znają. Andriej Jefimycz miał chęć rozmyślać o tem, co widział i słyszał w ciągu ostatnich dni, lecz Michaił Awerjanowicz nie wychodził mu z głowy.

„Przecież jednak on wziął urlop i pojechał ze mną przez przyjaźń, przez szlachetność”. — Myślał doktor z irytacją. — Niema nic gorszego, niż ta przyjacielska kuratela. Przecież zdawałoby się, że to i dobry, i szlachetny i wesoły, a jednak nudny. Nieznośnie nudny. Tak, jak zdarzają się czasem ludzie, którzy zawsze wypowiadają same mądre i piękne słowa, ale mimo to wyczuwa się, że są małowartościowi”.

W ciągu dni następnych Andriej Jefimycz oświadczył, że jest chory i nie opuszczał pokoju. Leżał z twarzą zwróconą do oparcia kanapy i męczył się, gdy przyjaciel pragnął go rozerwać rozmową — odpoczywał zaś, gdy przyjaciel był nieobecny. Irytował się na siebie za to, że pojechał, oraz na przyjaciela, który z dniem każdym robił się bardziej rozmowny i pewny siebie; doktorowi w żaden sposób nie udawało się nastroić swych myśli na ton poważny i wzniosły.

„To rzeczywistość mi doskwiera, rzeczywistość, o której mówił Iwan Dmitrycz — myślał, gniewając się, iż jest tak drobiazgowy. — Zresztą furda... Przyjadę do domu i wszystko będzie po staremu...”

I w Petersburgu znów tak samo: całymi dniami nie wychodził z hotelu, leżał na kanapie, wstawał tylko poto, by się napić piwa.

Michaił Awerjanowicz wciąż przynaglał, żeby jechać do Warszawy.

— Pocóż ja tam pojedę, mój kochany? — Powtarzał

Andriej Jefimycz błagalnym głosem. — Niech pan jedzie sam, a mnie proszę pozwolić wrócić do domu! Proszę pana!

— Pod żadnym pozorem! — Protestował Michaił Awerjanowicz. — To jest zdumiewające miasto. Spędziłem w niem pięć najszcześniejszych lat mego życia!

Andriej Jefimycz nie miał dość siły woli, by postawić na swoim, przemógł się więc i pojechał do Warszawy. W Warszawie nie opuszczał swego numeru, leżał na kanapie i złościł się na siebie, na przyjaciela i na lokai, którzy uporczywie nie chcieli rozumieć rosyjskiej mowy, zaś Michaił Awerjanowicz, według zwyczaju, zdrowy, dziarski i wesoły włączył się po mieście od rana do wieczora i wyszukiwał swych dawnych znajomków. Kilkakrotnie nie nocował w domu. Po jednej, niewiadomo gdzie spędzonej nocy, wczesnym rankiem powrócił do domu wielce podniecony, czerwony i nieuczesany. Długo spacerował z kąta w kąt, mrużąc coś do siebie, wreszcie zatrzymał się i rzekł:

— Honor przedewszystkiem!

Jeszcze trochę pochodził, porwał się za głowę i wygłosił tragicznie:

— Tak, honor przedewszystkiem! Niechaj będzie przekłeta chwila, w której mi poraz pierwszy przyszło do głowy, by wyjechać do tego Babilonu! Drogi mój— zwrócił się do doktora — niech pan mną gardzi: zgrałem się! Niech mi pan da pięćset rubli!

Andriej Jefimycz odliczył pięćset rubli i w milczeniu dał je swemu przyjacielowi. Ów, wciąż jeszcze purpurowy ze wstydu i gniewu, wymamrotał jakąś bezsensowną, niepotrzebną przysięgę, włożył czapkę

i wyszedł. Po upływie jakichś dwóch godzin wrócił, padł na fotel, westchnął głośno i rzekł:

— Honor uratowany! Jedźmy przyjacielu! Ani chwili dłużej nie chcę pozostać w tem przekłętym mieście. Oszusty! Austrjackie szpiegi!

Był już listopad, kiedy przyjaciele powrócili do swego miasta i na ulicach leżał głęboki śnieg. Posadę Andrieja Jefimycza zajmował doktor Chobotow; mieszkał jeszcze w swem dawnem mieszkaniu, oczekując kiedy powróci Andriej Jefimycz i zwolni mieszkanie szpitalne. Brzydka kobieta, którą nazywał kucharką, mieszkała już w jednej z oficyn.

Po mieście kursowały nowe plotki szpitalne. Mówiono, że brzydka kobieta pokłóciła się z intendentem, i że ten jakoby czołgał się przed nią na kolanach, błagając o przebaczenie.

Andriej Jefimycz od pierwszego już dnia przyjazdu był zmuszony do szukania sobie mieszkania.

— Mój przyjacielu — zwrócił się doń z zakłopotaniem Michaił Awerjanowicz — przepraszam za niedyskretne zapytanie: jakimi środkami pan rozporządza?

Andriej Jefimycz w milczeniu przeliczył swe pieniądze i odpowiedział:

— Osiemdziesiąt sześć rubli.

— Nie o to pytam — wykrztusił zmieszany Michaił Awerjanowicz, nie rozumiejąc doktora. — Pytam, jakie pan posiada fundusze wogóle?

— Przecież mówię panu; osiemdziesiąt sześć rubli. Pozatem nie mam nic.

Michaił Awerjanowicz uważał doktora za człowieka uczciwego i szlachetnego, mimo to jednak przy-

puszczał, że doktor posiada przynajmniej ze dwadzieścia tysięcy kapitału. Obecnie zaś, dowiedziawszy się, że Andriej Jefimycz jest zrujnowany, że nie ma z czego żyć, rozplakał się raptownie i mocno uściskał swego przyjaciela.

XV.

Andriej Jefimycz zamieszkał w domku o trzech oknach, należącym do mieszczki Bielowej. W domku tym, poza kuchnią były tylko trzy pokoje. Dwa z oknami, wychodzącymi na ulicę, zajmował doktor, w pokoju trzecim i w kuchni mieściła się Darjusia i mieszczka z trojgiem dzieci. Czasem do gospodyni przychodził na noc kochanek, pijane chłopisko, awanturujące się przez całą noc. Darjusia i dzieci bały się go panicznie. Gdy zjawiał się i, zasiadłszy w kuchni, zaczynał wołać o wódkę, wszystkim robiło się bardzo ciasno, doktor zaś z litości brał do siebie płaczące dzieci, układał je do snu u siebie na podłodze i to sprawiało mu wielką przyjemność.

Wstawał, jak dawniej o ósmej i po herbacie zasiadał do czytania swych starych książek i czasopism. Czy to dlatego, że książki były stare, czy też dzięki zmianie otoczenia, czytanie nie pochłaniało go już tak, jak przedtem i nużyło. Żeby nie spędzać czasu w bezczynności, doktor układał szczegółowy katalog swoich książek i nalepiał na grzbietach karteczki; ta mechaniczna i żmudna praca wydawała mu się ciekawszą od czytania. Jednostajna, żmudna robota w jakiś niezrozumiały sposób usypiała jego umysł, o niczem nie my-

ślał i czas upływał mu szybko. Nawet siedzenie w kuchni i skrobanie wraz z Darjusią kartofli, lub wybieranie śmieci z kaszy greckiej wydawało mu się ciekawem. W soboty i niedziele chodził do cerkwi. Stojąc pod ścianą, z zamkniętymi powiekami wsłuchiwał się w śpiew i myślał o ojcu, o matce, o uniwersytecie, o wyznaniach; miał w sobie spokój i smętek; wychodząc zaś z cerkwi żałował, że nabożeństwo tak prędko skończyło się.

Dwa razy poszedł do szpitala do Iwana Dmitrycza, żeby z nim pogawędzić. Ale za pierwszym i drugim razem Iwan Dmitrycz był nadzwyczajnie podniecony i zły; prosił, by doktor dał mu spokój, gdyż dawno mu już zbrzydła czcza paplanina, i mówił, że błaga przeklętych i podłych ludzi za wszystkie swe cierpienia tylko o jedną nagrodę — o zamknięcie w odosobnionej celi. Czyżby nawet tego mu odmówiono? Gdy Andriej Jefimycz żegnał się z nim za pierwszą i drugą swą bytnością i życzył mu dobrej nocy, Iwan Dmitrycz odgryzał się i mówił:

— Do diabła!

I Andriej Jefimycz nie wiedział teraz, czy ma pójść poraz trzeci, czy nie. Ale bardzo chciał pójść.

Dawniej Andriej Jefimycz w porze poobiedniej spacerował po pokojach i rozmyślał; obecnie od obiadu aż do wieczornej herbaty leżał na kanapie, z twarzą zwróconą do oparcia i oddawał się poziomym myślom, których w żaden sposób nie mógł pokonać. Czuł się urażony, że za swą dwudziestoletnią pracę nie otrzyma ani emerytury, ani jednorazowego zasiłku. Wprawdzie nie pracował uczciwie, lecz wszakże emeryturę otrzymują wszyscy pracownicy bez względu na to, czy

są uczciwi, czy też nie. Spółczesna sprawiedliwość właśnie na tem polega, że wynagradza się przez wyższe stanowiska, ordery i emerytury nie za wartości moralne, czy zdolności, tylko wogóle za służbę, bez względu na to, jaką jest. Czemuż więc on jeden ma stanowić wyjątek? Pieniądzy nie miał zupełnie. Wstyd mu było przechodzić koło sklepu i patrzeć na swą gospodynię. Za piwo dług wynosi już 32 ruble. Mieszczce Bielowej również jest dłużny. Darjusia ukradkiem wyprzedaje stare ubrania i książki i kłamie przed gospodynią, że doktor wkrótce otrzyma moc pieniędzy.

Zły był na siebie za to, że wydał na podróż tysiąc rubli, które sobie zaoszczędził. Jakby się obecnie przydał ten tysiączek! Irytowało go, że ludzie nie dają mu spokoju. Chobotow uważał za swój obowiązek od czasu do czasu odwiedzić chorego kolegę. Wszystko w nim mierziło Andrieja Jefimycza: i syta gęba, i głupi, pobłażliwy ton, i słowo „kolega”, i długie buty; najohydniejsze zaś było to, że Chobotow miał sobie za obowiązek leczyć Andrieja Jefimycza i wyobrażał sobie, że istotnie leczy. Za każdą swą bytnością przynosił flaszeczkę bromu i pigułki rzewieniowe.

Michaił Awerjanowicz również uważał za swój obowiązek odwiedzanie i rozrywanie chorego przyjaciela. Za każdym razem, wchodząc z robioną wesołością do Andrieja Jefimycza, śmiał się sztucznie i zaczynał przekonywać, że doktor dzisiaj świetnie wygląda, i że chwała Bogu, wszystko idzie ku lepszemu, z tego zaś można było wnioskować, że stan swego przyjaciela uważa za beznadziejny. Nie spłacił jeszcze swego warszawskiego długu, gnębił go ciężki wstyd, gnębiła naprężona sytuacja, wobec czego wysilał się na

najgłośniejszy śmiech i najzabawniejsze opowiadania. Jego anegdoty i opowiadania wydawały się obecnie nieskończenie rozwlekłe i stanowiły udrękę i dla Andrieja Jefimycza i dla samego Michaiła Awerjanowicza.

W czasie jego wizyty Andriej Jefimycz kładł się zazwyczaj na kanapie, twarzą do ściany i słuchał z zacisniętymi zębami; w duszy zaś warstwami odkładał się osad i po każdej bytności przyjaciela doktor czuł, jak ten osad wzbiera wciąż wyżej i wyżej, jakby się zbliżał do gardła.

By stłumić poziome uczucia, doktor pośpiesznie zaczynał myśleć o tem, że zarówno on sam, jak i Chobotow i Michaił Awerjanowicz — wszyscy powinni wcześniej czy później zginąć, nie pozostawiając w przyrodzie nawet odbitki. O ile się sobie wyobrazi, że po upływie miljona lat przeleci w przestrzeni obok ziemi jakiś duch, to duch ten dostrzeże jedynie glinę i nagie wiszary. Wszystko — i kultura i prawa etyki — zaginie, nie poróśszy nawet łopianem. Cóż znaczy wstyd przed sklepikarzem, nicpoń Chobotow, ciężka przyjaźń Michaiła Awerjanowicza? Wszystko to głupstwo i drobnostka.

Ale te rozumowania nie pomagały już. Zaledwie doktor zdążył sobie wyobrazić kulę ziemską po upływie miljona lat, gdy już spoza nagięgo wiszaru ukazywał się Chobotow w długich butach, albo sztucznie roześmiany Michaił Awerjanowicz, nawet słychać było wstydlivy szept: „A dług warszawski, kochasiu, zwróć w najbliższych dniach... Bezwzględnie”.

XVI.

Pewnego razu w poobiedniej porze, gdy Andriej Jefimycz leżał na kanapie, przyszedł Michaił Awerjanowicz. Zdarzyło się, iż w tym samym czasie zjawił się również Chobotow z bromem. Andriej Jefimycz ociężale wstał, usiadł i oparł się obydwoma rękami o kanapę.

— A dzisiaj, kochasiu — zaczął Michaił Awerjanowicz — ma pan o wiele lepszą cerę, niż wczoraj. Zuch z pana! Jak Boga kocham, zuch!

— Czas, czas powracać do zdrowia, kolego — powiedział Chobotow, ziewając. — Chyba panu samemu zbrzydł już ten zawracantes.

— Bo też powrócimy do zdrowia! — Rzekł wesoło Michaił Awerjanowicz. — Ze sto lat jeszcze sobie żyjemy! A jakże!

— Sto nie sto, ale na dwadzieścia wystarczy. — Pocieszał Chobotow. — Furda, furda kolego, niech pan nie traci humoru... Dość tego zawracania kontrafałdy.

— Jeszcze pokażemy, na co nas stać! — Roześmiał się Michaił Awerjanowicz i poklepał przyjaciela po kolanie. — Jeszcze pokażemy! Jak Bóg da, to następnego lata machniemy się na Kaukaz konno i cały Kaukaz konno zwiedzimy—hop! hop! hop! Zaś po powrocie z Kaukazu ani się obejrzymy, jak na weselisku se populamy. — Michaił Awerjanowicz chytrze mrugnął okiem. — Ożenimy pana, kochasiu drogi... ożenimy...

Andriej Jefimycz nagle uczuł, że osad wzbiera i

podnosi się do gardła; serce zaczęło walić w szalonym tempie.

— To jest nikczemne! — Powiedział, wstając z pospiechem i odchodząc pod okno. — Czyż panowie nie rozumiecie, że wypowiadacie rzeczy nikczemne!

Chciał mówić uprzejmie i grzecznie, lecz pomimo swej woli raptem zacisnął pięści i podniósł je ponad głowę.

— Dajcie mi spokój! — Krzyknął obcym głosem, zaczerwieniony i drżący na całym ciele. — Precz! Obydwaj precz! Obydwaj!

Michaił Awerjanowicz oraz Chobotow powstali i wpatrywali się w niego zrazu ze zdumieniem, następnie z przestraczeniem.

— Obydwaj precz! — Krzyczał wciąż Andriej Jefimycz. — Bezmyślni ludzie! Głupi ludzie! Nie trzeba mi ani twej przyjaźni, ani twych lekarstw, bezmyślny człowieku! Nikczemność! ohyda!

Chobotow i Michaił Awerjanowicz, zamieniając zmieszane spojrzenia, cofnęli się ku drzwiom i wyszli do sieni. Andriej Jefimycz porwał butelkę z bromem i cisnął nią za nimi; buteleczka z brzękiem rozbiła się o próg.

— Wynoście się do diabła! — Wykrzyknął płaczącym głosem, wybiegając do sieni. — Do diabła!

Po wyjściu gości, Andriej Jefimycz, drżąc febrycznie położył się na kanapie i długo jeszcze powtarzał:

— Bezmyślni ludzie! Głupi ludzie!

Gdy się uspokoił, to przedewszystkiem przyszło mu na myśl, że biedak Michaił Awerjanowicz pewnie teraz odczuwa straszny wstyd, że jest mu ciężko na du-

szy i że to wszystko jest okropne. Nigdy dawniej nie w tym rodzaju nie zachodziło. Gdzież rozum i takt? Gdzie zrozumienie rzeczy i filozoficzna obojętność?

Doktór przez całą noc nie mógł zasnąć ze wstydu i złości na siebie. Rano zaś, koło godziny dziesiątej udał się na pocztę i przeprosił Michaiła Awerjanowicza.

— Nie będziemy myśleli o tem, co się stało — rzekł z westchnieniem rozczulony Michaił Awerjanowicz, mocno ściskając dłoń doktora. — Na pohybel temu, ktoby te sprawy wywłóczył. Lubawkin! — Krzyknął nagle tak głośno, że wszyscy urzędnicy i interesanci drgnęli. — Podaj krzesło. A ty poczekaj! — Krzyknął do baby, która przez kratkę dawała mu list polecony. — Widzisz przecie, że jestem zajęty? Nie będziemy przypominali sobie przeszłości — ciągnął serdecznie, zwracając się do Andrieja Jefimycza. — Niechże pan siada, proszę pana najuprzejmiej, mój drogi.

Przez chwilę w milczeniu głaskał swe kolana, następnie rzekł:

— Nawet mi nie powstało w głowie, bym się na pana miał obrazić. Choroba, to nie żart, rozumiem to. Pański atak przeraził wczoraj i mnie i doktora, i długośmy potem o panu rozmawiali. Mój drogi, dlaczego pan nie chce zająć się poważnie swoją chorobą? Czyż to tak można? Niech pan mi wybaczy szczerość przyjacielską — jał szeptać Michaił Awerjanowicz. — Pędzi pan życie w otoczeniu jaknajbardziej nieodpowiedniem: ciasno brud, żadnej pielęgnacji pan nie ma, na leczenie brak środków... Drogi mój przyjacielu, błagamy pana sercem całym wraz z doktorem, niech pan posłucha naszej rady: niech pan idzie do szpitala!

Jest tam zdrowe pożywienie, i pielęgnacja, i kuracja. Jewgienij Fiodorowicz, chociaż jest, mówiąc między nami mauvais-ton, ale zato zna się, można mu kompletnie zaufać. Dał mi słowo, że się panem zajmie.

Andrieja Jefimycza serdecznie wzruszyło współczucie i łzy, które nagle zalśniły na policzkach naczelnika poczty.

— Niech szanowny pan nie wierzy! — Szepnął, cisnąc dłoń do serca. — Niech im pan nie wierzy! To oszukaństwo! Choroba moja tkwi w tem, że w ciągu dwudziestu lat znalazłem w całym mieście jednego tylko mądrego człowieka, nadobitek warjata. Niema żadnej choroby, tylko poprostu dostałem się do jakiegoś zaczarowanego koła, z którego niema wyjścia. Wszystko mi jedno, jestem gotów na wszystko.

— Niech pan idzie do szpitala, mój drogi.

— Wszystko mi jedno, nawet na śmietnik.

— Dajże mi, kochasiu, słowo, że będzie pan we wszystkim słuchał Jewgienja Fiodorowicza.

— Zgoda, daję słowo. Ale powtarzam szanownemu panu, że dostałem się do zaczarowanego koła. Obecnie wszystko, nawet serdeczne współczucie mych przyjaciół, składa się na jedno — na mą zgubę. Ginę i mam odwagę zdawać sobie z tego sprawę.

— Kochasiu, pan wyzdrowieje.

— Naco się zda to mówić? — Powiedział Andriej Jefimycz z irytacją. — Rzadko który człowiek pod koniec swego życia nie doznaje tego, co ja obecnie. Gdy panu oświadczą że pan ma coś w guście chorych nerek, czy powiększonego serca, pan zaś zacznie leczyć się, albo gdy oświadczą, że pan jest warjatą, czy przestępcą, czyli jednym słowem, gdy ludzie raptem

zwróca na pana uwagę, to niech pan wie, że dostał się pan w zaczarowane koło, z którego już pan nie wyjdzie. Będzie pan czynił starania, żeby wyjść, — jeszcze bardziej się pan zabłąka. Wówczas niechaj pan się podda, bowiem już żaden wysiłek ludzki nie uratuje wtedy pana. Tak mi się wydaje.

Tymczasem przed kratą tłoczyła się publiczność. Żeby nie przeszkadzać, Andriej Jefimycz wstał i zaczął się żegnać. Michaił Awerjanowicz jeszcze raz wziął od niego słowo honoru i odprowadził doktora do wyjścia.

Tegoż dnia, przed wieczorem, do Andrieja Jefimycza nieoczekiwanie przyszedł Chobotow w swym „połuszubku” i długich butach i powiedział takim tonem, jakgdyby wczoraj nic nie zaszło:

— Mam do pana interesik, kolego. Przyszedłem poprosić pana: czy nie poszedłby pan ze mną na konsyljum, he?

Myśląc, że Chobotow chce go rozerwać spacerem, albo rzeczywiście dać mu zarobić, Andriej Jefimycz ubrał się i wyszedł z nim na ulicę. Cieszył się, że ma okazję do zglądzenia wczorajszej winy i do pogodzenia się, w duszy zaś czuł wdzięczność dla Chobotowa, który nawet nie zająknął się o wczorajszym i najwidoczniej oszczędzał doktora. Trudno było spodziewać się po tym niekulturalnym człowieku takiej delikatności.

— Gdzież jest pański chory? — Spytał Andriej Jefimycz.

— U mnie w szpitalu. Dawno już chciałem pokazać go panu... Bardzo ciekawy przypadek.

Weszli na dziedziniec szpitalny i, mijając frontowy budynek, skierowali się ku oficynie, w której mie-

ścili się warjaci. Szli wciąż, niewiadomo czemu, w milczeniu. Gdy weszli do oficyny, Nikita według zwyczaju zerwał się i wyprężył.

— Jeden z nich ma komplikacje ze strony płuc. — Powiedział półgłosem Chobotow, wchodząc z Andriejem Jefimyczem na salę. — Niech pan poczeka, zaraz wrócę. Idę po stetoskop.

I wyszedł.

XVII.

Zapadał już zmrok. Iwan Dmitrowicz leżał na swem posłaniu, z twarzą wtuloną w poduszki; paralytyk siedział bez ruchu, płakał pocichu i poruszał wargami. Opasły chłop i były sortownik spali. Było cicho.

Andriej Jefimycz siedział na łóżku Iwana Dmitrowicza i czekał. Ale upłynęło pół godziny i zamiast Chobotowa wszedł na salę Nikita, niosąc oburącz szlafrok, czyjaś bieliznę i pantofle.

— Niech wielmożny pan ubiera się — rzekł pocichu. — Oto pańskie łóżeczko, pan będzie łaskaw tutaj — dodał, wskazując puste, widać niedawno wniesione łóżko. — To nic, jak Bóg da, to pan wyzdrowieje.

Andriej Jefimycz zrozumiał wszystko, nie mówiąc ani słowa zbliżył się do łóżka, wskazanego mu przez Nikitę i usiadł; widząc, że Nikita stoi i czeka, rozebrał się do naga i uczył wstyd. Następnie włożył szpitalną odzież; kalessony były bardzo krótkie, koszula za długa, szlafrok zaś czuć było wędzoną rybą.

— Wyzdrowieje pan, jak Bóg da — powtórzył Ni-

kita. Zgarnął ubranie Andrieja Jefimycza, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

„Wszystko jedno... — myślał Andriej Jefimycz, wstydliwie otulając się szlafrokiem. Czuł, że w swem nowem ubraniu jest podobny do więźnia. — Wszystko jedno... Wszystko jedno czy frak, czy mundur, czy ten szlafrok...”

Ale co z zegarkiem? A notatnik, który leżał w bocznej kieszeni? A papierosy? Dokąd Nikita zaniósł ubranie? Przecież teraz może aż do samej śmierci nie uda mu się włożyć spodni, kamizelki, butów? Wszystko to jakieś dziwne i nawet niezrozumiałe w pierwszej chwili. Andriej Jefimycz wciąż jeszcze był pewny, że między domkiem mieszczki Bielowej, a pawilonem Nr. 6 niema żadnej różnicy, że wszystko na tym świecie to bzdura i marność nad marnościami, równocześnie jednak ręce mu drżały, nogi marzły i ogarniał lęk na myśl, że wkrótce Iwan Dmitrowicz wstanie i zauważy, że on jest w szlafroku. Andriej Jefimycz powstał, przeszedł się i znowu usiadł.

Oto tkwił tu z pół godziny, czy godzinę i już... czuł rozpaczliwą nudę; czyżby można było tu spędzić cały dzień, tydzień nawet lata, jak tamci ludzie? No bo przecież siedział już, przeszedł się i znowu usiadł; można pójść i wyrzucić przez okno i znowu przejść się z kąta w kąt. A co potem? Więc na podobieństwo bałwana siedzieć wciąż i rozmyślać? Nie, to chyba jest niemożliwe.

Andriej Jefimycz położył się, ale natychmiast wstał, otarł rękawem zimny pot z czoła i poczuł, że cała twarz zaczęła śmierdzieć wędzoną rybą. Przeszedł się znowu.

— To jakieś nieporozumienie... — Wyrzekł, roz-

kładając ręce bezradnie. — Trzeba wyjaśnić, to jest nieporozumienie...

W tym czasie obudził się Iwan Dmitrowicz. Usiadł i podparł twarz dłońmi. Splunął. Następnie leniwie spojrzął na doktora i widocznie w pierwszej chwili nie zrozumiał; wkrótce jednak jego zaspana twarz uczyniła się złą i szyderczą.

— Aha, więc i pana zapakowano tutaj, kochasiu! — Rzekł zachrypniętym ze snu głosem, mrużąc jedno oko. — Bardzo się cieszę. Wysysał pan z ludzi krew, a teraz z pana wyssą. Doskonale!

— To jakieś nieporozumienie... — Bąknął Andriej Jefimycz, przerażony słowami Iwana Dmitrycza; wzruszył ramionami i powtórzył: — nieporozumienie jakieś...

Iwan Dmitrycz znowu splunął i położył się.

— Przekłęte życie! — Mruczał. — A co jest najdotkliwsze, to to, że to życie kończy się nie nagrodą za cierpienia, nie apoteozą, jak to bywa w operze, tylko śmiercią; przyjdą chłopci i wywloką za ręce i nogi do piwnicy. Brr! Ale to nic... Zato na tamtym świecie będziemy mieli używanie... Będę z tamtego świata zjawiał się tutaj, jako cień, by straszyć te gadziny. Posiwieją przezemnie.

Wrócił Mosiek i spostrzegłszy doktora, wyciągnął rękę.

— Daj kopiejeczkę! — powiedział.

XVIII.

Andriej Jefimycz podszedł do okna i popatrzył w pole. Ściemniało się już, na horyzoncie zaś od prawej strony wschodził zimny, karmazynowy księżyc. Opodal szpitalnego parkanu, w odległości jakich stu sążni, nie więcej, stał wysoki biały dom, okolony murem. Było to więzienie.

„Oto rzeczywistość!” Pomyślał Andriej Jefimycz i ogarnął go strach.

Straszny był i księżyc, i więzienie i gwoździe na parkanie, i daleki płomień w fabryce mączki kostnej. Poza sobą usłyszał westchnienie, obejrzał się i zobaczył człowieka z błyszczącymi gwiazdami i orderami na piersi; człowiek uśmiechał się i chytrze mrugał okiem. To także wydało się straszne Andriejowi Jefimyczowi.

Starał się przekonać siebie, że zarówno w księżycu jak w więzieniu niema nic nadzwyczajnego, że ludzie zdrowi psychicznie również noszą ordery i że wszystko zczasem zgnije i zamieni się w glinę, lecz nagle owładnęła nim rozpacz, porwał obydwoma rękami kratę i z całej siły potrząsnął nią. Mocna krata nie ustąpiła.

Potem, żeby mniej odczuwać strach, zbliżył się do posłania Iwana Dmitrycza i usiadł.

— Upadłem na duchu, mój drogi. — Wymamrotałem, dygocąc i obcierając zimny pot. — Upadłem na duchu.

— To niech pan pofilozofuje! — Odparł szyderczo Iwan Dmitrycz.

— Mój Boże, mój Boże... Tak, tak... Pan kiedyś był łaskaw powiedzieć, że w Rosji niema filozofji, zato filozofują wszyscy, nawet miernota. Ale przecież przez to, że miernota filozofuje, nikomu nie dzieje się krzywda — powiedział Andriej Jefimycz takim tonem, jakby chciał rozplakać się i rozczulić. — Pocóż więc, mój drogi, ten szyderczy śmiech? Jakże ma nie filozofować owa miernota, skoro nie jest zaspokojona? Mądry, wykształcony, dumny, kochający wolność, stworzony na podobieństwo Boże, człowiek, nie ma innego wyjścia, jak zostać lekarzem w brudnym, głupim miasteczku, a potem przez całe życie bańki, pijawki, kataplazmy! Szarlatanerja, ograniczenie, nikczemność! O Boże mój!

— Głupstwa pan plecie. Skoro pana mierzył fach lekarza, to trzeba było iść na ministra.

— Nic, nic nie można. Słabiśmy, drogi mój... Byłem obojętny, rozumowałem w sposób dziarski i zdrowy, lecz wystarczyło, by życie dotknęło mnie brutalnie, a upadłem na duchu... prostracja.. Słabiśmy, nikczemni... Pan również, mój drogi. Jest pan mądry, szlachetny, z mlekiem matki wyssał pan szlachetne porywy, lecz zaledwie wstąpił pan w życie, jak już się pan znużył, zachorował... Słabiśmy, słabi!

Coś namolnego, prócz uczucia strachu i krzywdy dręczyło wciąż Andrieja Jefimycza od początku wieczora. Wreszcie zdał sobie sprawę, że chce napić się piwa i zapalić papierosa.

— Wyjdę stąd, mój drogi — powiedział. — Po-

wiem, żeby tu dano światło... Nie mogę tak... nie jestem w stanie...

Andriej Jefimycz poszedł ku drzwiom i otworzył je, lecz natychmiast zerwał się Nikita i odciął mu drogę.

— Dokąd pan? Nie wolno, nie wolno! — Powiedział. — Czas spać!

— Ależ ja tylko na chwilę, przejdę się po dziedzińcu! — Stropił się Andriej Jefimycz.

— Nie wolno, nie wolno, niema rozkazu. Sam pan wie.

Nikita zatrzasnął drzwi i oparł się o nie plecami.

— Ale gdybym wyszedł stąd, to co się komu przez to stanie? — Zapytał Andriej Jefimycz, wzsując ramionami. — Nie rozumiem! Nikito, ja muszę wyjść! — Powiedział drgającym głosem. — Ja potrzebuję!

— Niech pan nie wprowadza nieporządku, to nieładnie! — Odparł pouczająco Nikita.

— To djabli wiedzą, co takiego! — Wykrzyknął nagle Iwan Dmitrycz i zerwał się. — Jakie on ma prawo nie puszcząć? Jak oni śmieją trzymać nas tutaj? Kodeks prawny wyraźnie przewiduje, że nikt nie może być pozbawiony wolności bez sądu. To gwałt! Samowola!

— Oczywiście, samowola! — Powiedział Andriej Jefimycz, ośmielony krzykiem Iwana Dmitrycza. — Muszę i powinienem wyjść! On nie ma prawa! Puszczaj, powiadam ci!

— Słyszysz, głupie bydle? — Krzyknął Iwan Dmitrycz. — Otwieraj, bo drzwi wysadzę! Hyclu!

— Otwórz! — Krzyknął Andriej Jefimycz, drżąc całym ciałem. — Ja żądam!

— Pogadaj se jeszcze! — Odpowiedział za drzwiami Nikita. — Pogadaj!

— W ostateczności poproś tutaj Jewgienja Fiodorowicza! Powiedz, że ja go proszę, by był łaskaw... na chwilę!

— Pan doktor jutro sam przyjdzie.

— Nigdy nie wypuszczą nas! — Ciągnął tymczasem Iwan Dmitrycz. — Zgnoją nas tutaj! O, Boże, czyż istotnie niema na tamym świecie piekła i tym łotrom zostanie to darowane? Gdzież sprawiedliwość? Otwieraj łotrze, duszę się! — Wrzasnął zachrypniętym głosem i napał na drzwi. — Ja sobie głowę zmiażdżę! Zbrodniarze!

Nikita nagle otworzył drzwi, brutalnie dwiema rękami i kolaniem odepchnął Andrieja Jefimycza, następnie z rozmachem uderzył go pięścią w twarz. Andriejowi Jefimyczowi wydało się, że olbrzymia słona fala nakryła go aż po głowę i powlokła do łóżka; istotnie, w ustach miał słony posmak: prawdopodobnie z zębów broczyła krew. Jakby pragnąc wypłynąć, począł machać rękami i złapał się za czyjeś łóżko, ale w tej właśnie chwili uczuł, że Nikita dwa razy uderzył go w plecy.

Głośno krzyknął Iwan Dmitrycz. Widocznie jego bito też.

Potem wszystko ucichło. Mdła poświata miesięczna sączyła się przez kraty, na podłodze zaś leżał cień podobny do sieci. Było przerażająco. Andriej Jefimycz położył się i powstrzymał oddech; ze strachem czekał, że będzie uderzony jeszcze raz. Miał wrażenie, że ktoś

wziął sierp, wbił w niego i kilka razy zakręcił w piersi i w kiszkach. Z bólu ugryzł poduszkę i zacisnął zęby. I raptem z chaosu błysnęła mu w głowie straszna, nieznosna myśl, że taki właśnie ból musieli odczuwać z dnia na dzień w ciągu całych lat ci ludzie, podobni czarnym ceniom w tem księżycowem świetle. Jak się to mogło stać, że w ciągu zgorą dwudziestu lat nie wiedział i nie chciał wiedzieć o tem? Nie znał nie miał pojęcia o bólu, czyli że nie był winien, lecz sumienie taksamo nieubłagane i brutalne, jak Nikita, sprawiło, że zlodowaciał od karku aż do pięt. Zerwał się, chciał krzyknąć z całej siły i biec czempredzej, by zabić Nikitę, potem Chobotowa, intendenta i felczera, wreszcie siebie, ale z piersi nie wyszedł ani jeden dźwięk, a nogi odmówiły posłuszeństwa; dusząc się, szarpnął na piersi szlafrok, koszulę, rozerwał i bez czucia padł na łóżko.

XIX.

Rankiem następnego dnia bolała go głowa, szumiało w uszach, w całym zaś ciele czuł niemoc. Nie wstydził się przypomnieć sobie o wczorajszej słabości. Był wczoraj małoduszny. Bał się nawet księżycy, szczerze wypowiadał uczucia i myśli, co do których przedtem nie przypuszczał nawet, że się w nim mieszczą. Naprzykład, rozmyślania o niezaspokojonej miernocie. Ale teraz było mu wszystko jedno.

Nie jadł, nie pił, leżał bez ruchu i milczał.

„Wszystko mi jedno — myślał, gdy mu zadawa-

no pytania. — Nie będę odpowiadał.. Wszystko mi jedno.”

Po obiedzie przyszedł Michaił Awerjanowicz i przyniósł ćwiartkę herbaty i funt marmelady. Darjusia przyszła też i przez całą godzinę stała przy łóżku z bezmyślnie smutną twarzą. Odwiedził go również doktor Chobotow. Przyniósł buteleczkę bromu i rozkazał Nikicie, by wykadził czemkolwiek na sali.

Pod wieczór Andriej Jefimycz zmarł na apopleksję. Spoczątku uczuł wstrząsające dreszcze i mdłości; coś obrzydliwego emanowało, jak mu się zdawało z żołądka, rozlało się po całym ciele, weszło nawet w palce, w głowę i zalało oczy i uszy. W oczach mu pozienieniało. Andriej Jefimycz zrozumiał, że nastąpił kres i przypomniał sobie, że Iwan Dmitrycz, Michaił Awerjanowicz i miliony ludzi wierzą w nieśmiertelność. A nuż rzeczywiście istnieje. Ale nie pragnął nieśmiertelności i myślał o niej tylko przez chwilę. Stało jeleni, dziwnie pięknych i zgrabnych, o których czytał wczoraj, przemknęło obok niego; następnie baba wyciągnęła doń rękę z listem poleconym.. powiedział coś Michaił Awerjanowicz. Potem wszystko zginęło i Andriej Jefimycz stracił przytomność na wieki.

Przyszli chłopci, wzięli go za ręce i nogi i zanieśli do kaplicy. Leżał tam na stole z otwartymi oczami, a księżyc nocą oświetlał go. Rano przyszedł Siergiej Siergiejewicz, pobożnie pomodlił się do krucyfiks i zamknął oczy swemu byłemu zwierzchnikowi.

Po upływie dwóch dni pochowano Andrieja Jefimycza. Na pogrzebie był tylko Michaił Awerjanowicz i Darjusia.

POJEDYNEK

I.

Była ósma rano — godzina, w której zazwyczaj oficerowie, urzędnicy i wycieczkowicze po upalnej, dusznej nocy kąpali się w morzu, zaczęli zdążać na werandę na kawę czy herbatę. Łajewskij, młody 28 letni szczupły blondyn w pantoflach i w czapce ministerstwa skarbu, też przyszedł wykapać się. Na brzegu zastał już wielu znajomych, pomiędzy nimi zaś swego przyjaciela, lekarza wojskowego Samojlenkę.

Z wielkim ostrzyżonym łbem, bez szyi, karmazynowy nosał o krzaczastych czarnych brwiach i siwych bokobrodach, pofałdowany, opasyły, a jeszcze nadobitek przemawiający zachrypłym żołdackim basem, Samojlenko ów wywierał na każdym nowym przyjeźdźnym niemiłe wrażenie zarozumialca i krzykacza. Mijało jednak ze dwa - trzy dni od zawarcia znajomości i twarz Samojlenki zaczynała wydawać się niezwykle dobrotliwą, miłą, ładną nawet. Pomimo swej niezdarności i rubaszości, był to człowiek łagodny, bezgranicznie dobry, serdeczny i usłużny. Ze wszystkimi w mieście na ty, wszystkim pożyczał pieniądze, wszystkich leczył, swatał, godził, organizował majówki, na których przyrządzał szaszłyki i gotował bardzo smaczną zupę z główaczów, zawsze dla kogoś o coś starał się i zabiegał i zawsze cieszył się z czegoś. Według ogólnego zdania — był bez skazy i posiadał tylko dwie słabostki: popierwsze, wstydził się swej dobroci i usi-

łował zamaskować ją ponurem wejrzeniem oraz udaną rubasnością, podrugie zaś, lubił, aby felczerzy i żołnierze tytułowali go ekscelencją, chociaż był tylko radcą stanu.

— Odpowiedz mi na jedno pytanie — zaczął Łajewskij, kiedy obaj z Samojlenką aż po ramiona zanurzyli się w wodzie. — Przypuśćmy, żeś pokochał kobietę i żyjesz z nią; przypuśćmy, że żyłeś z nią zgórą dwa lata, a potem, jak to się zdarza, przestałeś kochać i zacząłeś wyczuwać, że jest ci obcą. Co zrobiłbyś w takim wypadku?

— Nic prostszego. Zmiataj siostrę, w cały świat — i skończone gadanie.

— Łatwo powiedzieć! A jeżeli nie ma gdzie podziać się? To kobieta samotna, nie posiada rodziny, grosza własnego nie ma, nie umie pracować...

— To cóż? Pięćset rubli jednorazowo, albo dwadzieścia pięć miesięcznie — i kropka. Nic prostszego.

— Przypuśćmy, że masz nawet te pięćset, i te dwadzieścia pięć miesięcznie, kobieta jednak, o której mówię jest inteligentna i dumna. Czyżbyś odważył się proponować jej pieniądze? I w jakiej formie?

Samojlenko chciał coś odpowiedzieć, lecz w tej chwili wielka fala przykryła obydwóch panów, zaczem uderzyła o brzeg i z łoskotem potoczyła się wtył po drobnych kamykach. Przyjaciele wyszli na brzeg i zaczęli ubierać się.

— Oczywiście, ciężko jest żyć z kobietą bez miłości. — Rzekł Samojlenko, wytrząsając piasek z buta. — Ale trza, Waniu, rozumować po ludzku. Żeby tak na mnie, tobym nawet poznać po sobie nie dał, żem się odkochał, tylko żyłbym z nią aż do śmierci.

Nagle zawstydził się swych słów; zaczął więc wycofywać się i dodał:

— Chociaż, jeżeli o mnie idzie, to mogłoby nawet wcale tych bab nie być. Pal je lichy!

Przyjaciele ubrali się i poszli na werandę. Tu Samojlenko był stałym gościem i miano dlań specjalne nakrycie. Co rana podawano mu na tacy filiżankę kawy, dużą kanciastą szklanę z wodą i lodem, oraz kieliszek konjaku; przedewszystkiem wypijał koniak, następnie gorącą kawę, następnie wodę z lodem i najwidoczniej było to bardzo smaczne, bowiem po wypiciu spojrzenie mu się rozaniałało, poczynał obie- ma rękami głaskać bokobrody i patrząc na morze, orzekał:

— Zdumiewająco wspaniały widok!

Po długiej nocy, spędzonej na smętnych i bezcelowych rozmyślaniach, co przeszkadzały zasnąć i zdawało się, wzmagaly duszność i mrok nocny, Łajewskij czuł się rozbity i osłabiony. Kapiel ani kawa nie pomogły mu.

— Ciągnijmy naszą rozmowę — powiedział. — Nie będę tał i wyznam ci szczerze, jak przyjacielowi: sprawy moje z Nadieżdą Fiodorowną źle się przedstawiają... bardzo źle! Przepraszam, że ci się zwierzam ze swoich tajemnic, ale muszę się wywnętrzyć.

Samojlenko, przeczuwając o czym będzie mowa, spuścił oczy i zaczął bębnić palcami po stole.

— Żyłem z nią dwa lata i przestałem kochać...
— Ciągnął Łajewskij. — Właściwie, dokładniej mówiąc, zrozumiałem, że nie było żadnej miłości... Te dwa lata — to kłamstwo.

Łajewskij miał zwyczaj w czasie rozmowy uważ-

nie oglądać swe różowe dłonie, obgryzać paznokcie, albo miętosić palcami mankiety. Teraz również robił to wszystko.

— Wiem doskonale, że nie możesz mi pomóc — mówił. — Ale opowiadam ci to dlatego, że dla takiego, jak ja, pechowca i niepotrzebnego człowieka, jedyny ratunek jest w wygadaniu się. Ja muszę uogólniać każdy swój postępek, muszę znajdować wytłumaczenie i usprawiedliwienie swego bezsensownego życia w czyichkolwiek teorjach, w typach z literatury, w tem naprzykład, że my, szlachta, degenerujemy się i t. d... Ubiegłej nocy, naprzykład, pocieszałem się tem, że wciąż myślałem, jaką rację ma Tołstoj, jakąż bezlitosną ma rację! I robiło mi się dzięki temu lżej, Doprawdy, bratku, to wielki pisarz! Co tu gadać.

Samojlenko, który nigdy nie czytał Tołstoja, a codziennie miał zamiar zabrać się do czytania, zawstydził się i bąknął.

— Tak, wszyscy autorzy malują z wyobraźni, a on wprost z natury...

— Mój Boże — westchnął Łajewskij — do jakiego stopnia jesteśmy wykoszlawieni przez cywilizację! Pokochałem mężatkę; ona mnie również... Na początku były pocałunki, ciche wieczory i przysięgi, i Spencer, i ideały, i wspólne zainteresowania... Co za blaga! Uciekliśmy w istocie od męża, lecz łgaliśmy sobie, że uciekamy od pustki naszego inteligenckiego życia. Przyszłość zarysowywała nam się w ten sposób: zrazu na Kaukazie, póki nie zapoznamy się z terenem i ludźmi, przywdzieję mundur i wstąpię na służbę. Następnie, obierzemy sobie wśród bezmiarów

kawałek ziemi, będziemy pracowali w pocie czoła, założymy winnicę, pola i t. p. Gdybyś ty był na mojem miejscu, czy też ten twój zoolog von Koren, to-byście prawdopodobnie przeżyli z Nadieżdą Fiodorową ze trzydzieści lat i zostawilibyście swym spadkobiercom wspaniałą winnicę i z tysiąc dziesięcin kukurydzy, ja zaś poczułem się bankrutem już w pierwszym dniu. W mieście nieznośny upał, nuda, brak ludzi, a jak się wyjdzie w pole, to ma się wrażenie, że spod każdego krzaka i kamienia wyzierają skorpjonny i żmije, za polem zaś góry i pustynia. Obcy ludzie, obca przyroda, nędzna kultura — wszystko to, bracie, nie tak łatwo, jak spacerować w futrze po Newskim z Nadieżdą Fiodorową pod rękę i marzyć o ciepłych krajach. Tu trzeba walczyć na śmierć, nie na życie, a cóż ze mnie za bojownik? Nędzny neuras-tenik z rękami nienawykłemi do pracy... Pierwszego już dnia zrozumiałem, że pomysły moje co do pracowitego życia i winnicy na djabła się zdały. Co się tyczy miłości, to muszę ci oświadczyć, że pozycie z kobietą, która przeczytała Spencera i poszła za tobą na kraj świata jest równie nieciekawe, jak z pierwszą lepszą Kasią, czy Marysią. Taksamo czuć ją żelazkiem, pudrem i lekarstwami, tesame papiloty co rano i tosamo oszukiwanie siebie...

— Bez żelazka nie da rady w gospodarstwie. — Odparł Samojlenko, czerwieniąc się naskutek tego, że Łajewskij tak szczerze mówi z nim o znajomej pani. — Tyś, Waniu, dziś w złym humorze, stwierdzam to. Nadieżda Fiodorowna to cudowna kobieta, wykształcona, ty — człek kolosalnego umysłu... Wprawdzie nie macie ślubu — ciągnął, oglądając się na sąsied-

nie stoliki — ale przecież to nie wasza wina i w dodatku.. należy wyzbyć się przesądów i stać na poziomie poglądów współczesnych. Ja sam jestem za wolnym związkiem, tak... Jednak, według mnie, skoro raz złączyliście się, to powinniście trwać w tem do śmierci.

— Bez miłości?

— Zaraz ci wytłumaczę — odparł Samojlenko. — Osiem lat temu mieliśmy tu staruszka agenta, kolosalnego umysłu człeka. Więc tak sobie mawiał: w pożyciu rodzinnem główna rzecz, to cierpliwość. Uważasz, Waniu, nie miłość, tylko cierpliwość. Miłość nie może długo trwać. Ze dwa lata spędziłeś w miłości, teraz twoje życie rodzinne weszło w taki okres, w którym, aby zachować równowagę, żeby tak rzec, musisz puścić w ruch całą swoją cierpliwość...

— Ty wierzysz swemu staruszkowi — agentowi, ale dla mnie jego rada jest nonsensem. Staruszek twój mógł uprawiać obłudę, mógł ćwiczyć się w cnotcie cierpliwości i przytem patrzeć na człowieka niekochanego, jak na obiekt, niezbędny do tych ćwiczeń; ja jednak nie stoczyłem się jeszcze tak nisko. Gdyby mi przyszła chętka do zaprawiania się w cierpliwość, to kupiłbym sobie hantle gimnastyczne, albo narowistego konia, ale człowieka zostawiłbym w spokoju.

Samojlenko zażądał białego wina z lodem. Gdy wychylili szklanki, Łajewskij zapytał nagle:

— Powiedz mi, proszę, co to jest rozmiękczenie mózgu?

— Jakby ci to wytłumaczyć... taka choroba, kiedy mózg robi się miększy... jakgdyby rozrzedzał się.

— Uleczalne?

— Tak, o ile choroba nie jest zadawniona. Zimne natryski, wezykatorja... To i owo do wewnątrz.

— Acha... Więc uważasz, jaka to ta moja sytuacja. Życ z nią nie jestem w stanie: to ponad moje siły. Kiedy jestem z tobą, to i filozofuję sobie i uśmiecham się, ale w domu wpadam w całkowite przygnębienie. Jest mi tak przeraźliwie, że gdyby mi, dajmy na to, powiedziano, że będę zmuszony żyć z nią bodaj jeszcze przez miesiąc, to chyba palnąłbym sobie w łeb. A jednak rozejść się nie można. Jest samotna, nie umie pracować, pieniędzy nie mamy ani ona, ani ja... Gdzież się podzieje? Do kogo pójdzie? Nic nie da się wykombinować... Powiedz-że, co robić...

— M-tak... — Mruknął Samojlenko, nie wiedząc co odpowiedzieć. — A ona cię kocha?

— No, kocha o tyle, o ile w jej wieku i przy jej temperamencie potrzebny jest mężczyzna. Byłoby jej ze mną taksamo ciężko rozstać się, jak z pudrem, albo z papilotami. Jestem nieodzowną składową częścią jej buduaru.

Samojlenko zmieszał się.

— Tyś, Waniu, dziś nie w humorze — powiedział. — Pewnie nie spałeś.

— Tak, marnie spałem... Wogóle źle się czuję. W głowie pustka, serce mi dolega, jakieś osłabienie... Trzeba uciekać!

— Dokąd?

— Tam na północ. Do sosen, do grzybów, do ludzi, do myśli... Dałbym pół życia, żeby teraz gdzieś w Tulskiej czy Moskiewskiej gubernji wykapać się w rzeczulce, uważasz, potem powłóczyć się ze trzy go-

dziny z najmizerniejszym bodaj studenciną i gadać, gadać. A jak pachnie sianem! Pamiętasz? A wieczorami, kiedy się spaceruje po ogrodzie, dolatują z domu dźwięki fortepianu, słychać jak dudni pociąg...

Łajewskij roześmiał się z ukontentowaniem, w oczach zakręciły mu się łzy i żeby je ukryć, nie wstając z krzesła, sięgnął do sąsiedniego stolika po zapalki.

— Od osiemnastu lat nie byłem już w Rosji — rzekł Samojlenko. — Zapomniałem już, jak tam jest. Według mnie, niema wspanialszego nad Kaukaz kraju.

— Jest obraz Wereszczagina: na dnie potwornie głębokiej studni leżą w udręce skazańcy. Otóż taką właśnie studnią wydaje mi się twój wspaniały Kaukaz. Gdyby mi zaproponowano jedno z dwojga: zostać kominiarzem w Petersburgu, albo też tutejszym księciem, to wybrałbym los kominiarza.

Łajewskij zamyślił się. Patrząc na jego zgarbioną postać, na oczy, utkwione w jeden punkt, na bladą spoconą twarz i zapadnięte skronie, na poobgryzane paznokcie i na pantofel, który zwieszając się z pięty, ukazywał źle zacerowaną pończochę, Samojlenko nappełnił się litością; to też prawdopodobnie dlatego, że Łajewskij przypomniał mu bezbronne dziecko, zapytał:

— Czy twoja matka żyje?

— Tak, aleśmy się poróżnili. Nie mogła mi wybaczyć tego związku.

Samojlenko lubił swego przyjaciela. Uważał go za dobrego kompana, studenta, brata-Łatę, z którym można i popić, i pożarować, i pogadać od serca. To, co było w Łajewskim zrozumiałe dla Samojlenki — to wcale mu się nie podobało. Łajewskij pił dużo i nie

w porę, grał w karty, gardził swą pracą, żył nad stan, używał często w rozmowie nieprzyzwoitych zwrotów, spacerował po ulicy w pantoflach i kłócił się przy świadkach z Nadieżdą Fiodorowną — i to nie podobało się Samojlence. To znów zaś, że Łajewskij był kiedyś tam na wydziale filozoficznym, abonował obecnie dwa grube czasopisma, mówił często tak mądrze, że zaledwie tylko niektórzy go rozumieli, że żył z kobietą inteligentną — tego wszystkiego Samojlenko nie rozumiał, i to mu się podobało, więc uważał Łajewskiego za coś wyższego od siebie i szanował go.

— Jeszcze jedna okoliczność. — Rzucił Łajewskij, potrząsając głową. — Ale to tylko między nami. Narazie ukrywam to przed Nadieżdą Fiodorowną, nie wygadaj się przy niej. Onegdaj otrzymałem list, że mąż jej umarł na rozmiękczenie mózgu.

— Wieczny odpoczynek... — Westchnął Samojlenko. — Dlaczegoż kryjesz to przed nią?

— Pokazać jej ten list, to znaczyłoby: proszę uprzejmie przed ołtarz. A przedtem należy wyjaśnić nasze stosunki. Gdy ona przekona się, że nie możemy już dłużej żyć ze sobą, to pokażę ten list. Wówczas nie będzie to niebezpieczne.

— Wiesz co, Waniu? — Powiedział Samojlenko, a twarz jego przybrała nagle smutny i błagalny wyraz, jakby miał zamiar poprosić o coś bardzo słodkiego i bał się, że go spotka odmowa. — Ożeń się, kochasiu!

— POCO?

— Spełnij swój obowiązek wobec tej cudownej kobiety! Mąż jej umarł, więc sama Opatrzność wskazuje ci, co masz robić!

— Ależ zrozum, dziwaku, że to niemożliwe. Ożenić się bez miłości, to taki sam podły i niegodny człowieka postępek, jak odprawianie mszy przez niedowiarka.

— Ale to jest twoim obowiązkiem!

— Czemuż to ma być moim obowiązkiem? — Zapytał z rozdrażnieniem Łajewskij.

— Boś ty zabrał ją od męża i wziąłeś na swoją odpowiedzialność.

— Kiedyż mówię ci wyraźnie: nie kocham!

— Więc skoro niema miłości, to szanuj, pobłażaj.

— Szanuj, pobłażaj... — Przedrzeźniał Łajewskij. — Jakby była przeoryszą... Kiepski z ciebie psycholog i fizjolog, jeżeli myślisz, że w pożyciu z kobietą można daleko zajechać na samym tylko szacunku i pobłażaniu. Kobiecie przede wszystkim potrzebna jest sypialnia.

— Waniu, Waniu... — Zawstydział się Samojlenko.

— Z ciebie stary dzieciuch, teoretyk, ze mnie zaś młody starzec i praktyk, więc się nigdy nie zrozumimy. Skończmy lepiej rozmowę. Mustafa — zwołał na kelnera — ile się należy.

— Nie, nie.. — Przeraził się doktor i złapał Łajewskiego za rękę. — Ja płacę. To ja stalowałem. Proszę zapisać na mnie! — Krzyknął do Mustafy.

Przyjaciele wstali i w milczeniu wyszli na wybrzeże. Przy wejściu na bulwar stanęli i uścisnęli sobie na pożegnanie ręce.

— Rozpieszczeniście nazbyt, panowie! — Westchnął Samojlenko. — Los ci zesłał kobietę młodą, ładną, wykształconą, a ty się wymawiasz. A mnie, żeby

tak Bóg ofiarował bodaj z krzywym bokiem staruszkę, byle serdeczną a łagodną, cieszyłbym się i to jeszcze jak! Siedziałbym sobie z nią w swojej winnicy i...

Samojlenko połapał się i dodał.

— Niechajby mi tam ta stara jędza samowar nastawiała.

Po rozstaniu się z Łajewskim pomaszerował wzdłuż bulwaru. Kiedy tak — okazały, majestatyczny, z surowością na obliczu, w swym białośnieżnym kitlu i doskonale wyczyszczonych butach, z wyprężoną pierśią, na której widniał order św. Włodzimierza ze wstęgą — kroczył przez bulwar, to podobał się sobie ogromnie i miał wrażenie, że cały świat przygląda mu się z przyjemnością. Trzymając sztywno głowę, popatrywał na boki i stwierdzał, że bulwar jest jaknajlepiej urządzony, że młode cyprysy, eukaliptusy i brzydkie anemiczne palmy się bardzo ładne i w przyszłości będą rzucały obfity cień, że czerkiesi, to lud uczciwy i gościnny. „Dziwne, że Kaukaz nie podoba się Łajewskiemu — rozmyślał — bardzo dziwne”. Spotkał pięciu żołnierzy z karabinami, którzy mu salutowali. Z prawej strony bulwaru, na chodniku wyminęła go żona pewnego urzędnika z synem - gimnazystą.

— Dzieńdobry, Marjo Konstantinowno! — Wykrzyknął Samojlenko z miłym uśmiechem. — Kapała się pani. Cha - cha - cha... Szacunek dla Nikodima Aleksandrowicza!

I podążył dalej, wciąż uśmiechając się mile, lecz spostrzegłszy idącego naprzeciw felczera wojskowego, zachmurzył się nagle, zatrzymał go i zapytał.

— Jest ktokolwiek w lazarecie?

— Niema nikogo, wasza akscelencjo.

— Hę?

— Nikogo niema, wasza ekscelencjo.

— Dobrze, idź...

Kołysząc się majestatycznie, skierował się do kiosku z lemoniadą, w którym za ladą siedziała stara opasła żydówka, podająca się za gruzinkę, i zawołał tak głośno, jakby komenderował pułkiem:

— Uprzejmie proszę o szklanke wody sodowej!

II.

Niechęć Łajewskiego do Nadieždy Fiodorowny ujawniała się głównie w tem, że wszystko, cokolwiek-bądź mówiła, czy robiła, wydawało mu się kłamstwem, albo czemś podobnem do kłamstwa; wszystko zaś, co czytał wrogiego o kobietach i miłości, zdawało mu się, jak nie można lepiej, zastosowane do niego, Nadieždy Fiodorowny i jej męża. Gdy powrócił do domu, ona, już ubrana i uczesana, siedziała z zatroskanem obliczem przy oknie, piła kawę i przewracała kartki zeszytu grubego czasopisma; a on pomyślał, że picie kawy, to znów nie takie wiekopomne wydarzenie, by z tego powodu warto było przybierać wyraz zatroskania i że niepotrzebnie straciła czas na modne uczesanie, bowiem podobać się tu niema komu i niema poco. W zeszycie również dostrzegł blagę. Pomyślał, że Nadieжда Fiodorowna ubiera się i robi fryzurę jedynie poto, żeby się wydać ładną, czyta zaś dlatego, żeby uchodzić za mądrą.

— Czy nic się nie stanie, gdybym się dziś wykapała?— Spytała.

— Cóż? Wykapiesz się, czy nie, to nie wywoła to chyba trzęsienia ziemi, przypuszczam...

— Nie, ja pytam się dlatego, że może doktor będzie się gniewał.

— To zapytaj doktora. Ja nie jestem doktor.

Tym razem Łajewskiemu najbardziej nie podobała się biała obnażona szyja Nadieжды Fiodorowny i loczki nad karkiem, więc przypomniał sobie, że Annę Kareninę, kiedy przestała kochać męża, przedewszystkiem zaczęły razić jego uszy, i pomyślał „jakie to prawdziwe! Jakie prawdziwe!” Czując wciąż osłabienie i pustkę w mózgu, zawrócił do gabinetu, położył się na kanapie i przykrył twarz chustką, żeby muchy nie dokuczały. Ociężałe, rozwlekłe myśli wciąż o jednym w kółko przeciągały pod czaszką, niby długi obóz w czas jesiennej szarugi, i Łajewskij zapadł w stan senności i przygnębienia. Zdawało mu się, że zawinił wobec Nadieжды Fiodorowny i wobec jej męża, i że mąż umarł przez niego. Zdawało mu się, że zawinił wobec swego życia, które zmarnował, wobec świata wzniosłych idei, wiedzy i pracy, a istnienie tego cudownego świata wydawało mu się możliwe i realne nie tu, na wybrzeżu, kędy wałęsają się głodni turcy i leniwi abchazczycy, lecz tam, na północy, gdzie jest opera, teatry, gazety i wszystkie przejawy pracy umysłowej. Uczciwym, mądrym, wzniosłym i czystym można być tylko tam, ale nie tutaj. Winił siebie o to, że brak mu ideałów i myśli przewodniej w życiu, mimo że dzisiaj dorozumiewał się mgliście, co to znaczy. Przed dwoma laty, kiedy zakochał się w Nadieжды Fiodorownie,

wydawało mu się, że wystarczy tylko połączyć się z nią i wyjechać razem na Kaukaz, a już to go uratuje od pospolitości i pustki życia, podobnie teraz był przekonany, że wystarczy porzucić Nadieżdę Fiodorownę i wyjechać do Petersburga, a już osiągnie wszystko, na czem mu zależy.

— Uciekać! — Wymamrotał, zrywając się i obgryzając paznokcie. — Uciekać!

Wyobraźnia kreśliła mu obraz, jak wsiada na okręt, jak zasiada do śniadania, popija zimne piwo, rozmawia na pomoście z paniami, potem w Sewastopolu przesiada się do pociągu i jedzie. Witaj swobodo! Stacje migają jedna za drugą, powietrze robi się coraz chłodniejsze i ostrzejsze, oto brzozy, jodły, oto Kursk, Moskwa... W bufetach stacyjnych kapuśniak, baranina z kaszą, jesiotr, piwo, jednym słowem, nie żadna Azja, tylko Rosja, prawdziwa Rosja. Pasażerowie w pociągu rozmawiają o handlu, o nowych śpiewakach, o francusko-rosyjskiej przyjaźni; wszędzie wyczuwa się tętniące, kulturalne, inteligentne życie... Prędeż, prędeż! Oto, nareszcie, Newskij, Bolszaja Morskaja, a oto Kowieński zaułek, gdzie ongiś mieszkało się ze studentami, oto kochane, szare niebo, mżący deszczyk, przemoknięci dorożkarze...

— Proszę pana! — Zawołał ktoś z sąsiedniego pokoju. — Czy pan jest w domu?

— Tu jestem! — Odpowiedział Łajewskij. — O co chodzi?

— Papiery!

Łajewskij wstał leniwie, kręciło mu się w głowie. Ziewając i człapiąc pantoflami, przeszedł do sąsiedniego pokoju. Na ulicy, pod otwartym oknem stał je-

den z jego młodych współpracowników i rozkładał na parapecie urzędowe papiery.

— Zaraz, kochasiu. — Rzucił łagodnie Łajewskij i udał się na poszukiwanie kałamarza. Po chwili wrócił do okna, nie czytając podpisał papiery i powiedział: — Gorąco!

— Tak jest. Czy pan dziś przyjdzie?

— Wątpię... źle się jakoś czuję. Niech pan powie, kochasiu, Szeszkowskiemu, że po obiedzie wstąpię do niego.

Urzędnik poszedł. Łajewskij znów położył się w swoim pokoju na kanapie i zaczął rozmyślać

— A więc, należy zważyć wszystkie okoliczności i przeprowadzić kalkulację. Zanim wyjadę stąd, powinienem uregulować długi. Jestem winien około dwóch tysięcy rubli. Pieniądzy nie mam... To, ma się rozumieć, nie ma wielkiej wagi; część zapłacę jakoś tam teraz, część zaś przyślę później z Petersburga. Najważniejsze, to Nadieżda Fiodorowna... Przedewszystkiem trzeba wyświecić nasz stosunek... Tak.

Po jakimś czasie Łajewskij zaczął rozmyślać: czy nie byłoby warto naradzić się z Samojlenką?

„Pójść można — kombinował — ale jaka stąd będzie korzyść? Znów będę mu plótł od rzeczy o bu-duarze, o kobietach, o tem, co jest uczciwe, albo nie-uczciwe. Cóż tu, do ciężkiego djabła, może być za ga-danie o uczciwości, czy nieuczciwości, kiedy coprędzej należy ratować własne życie, kiedy ja się duszę w tej podłej niewoli i sam siebie morduję?... Trzebaż wre-szcie zrozumieć, że kontynuowanie takiego życia, jak moje, to nikczemność i okrucieństwo, wobec których wszystko pozostałe staje się drobiazgiem i sprawą bez

znaczenia. Uciekać! — Szeptął, siadając na posłaniu.
— Uciekać!”

Rozścielające się, niczem pustynia, morskie wybrzeże, zabójczy upał i monotonja zamglonych fioletowych gór, wiekuiście jednakowych i milczących, wiekuiście samotnych, doprowadzała go do rozpacz y, jak mu się zdawało, usypiała i okradała go. Możliwe, przecież, myślał, że jest bardzo mądrym, utalentowanym, niezwykle uczciwym człowiekiem; możliwe, że gdyby go ze wszystkich stron nie osaczało morze i góry, to wyrobiłby się na doskonałego działacza ziemstwa, na państwowca, mówcę, publicystę, boiownika idei. Kto wie! Skoro tak, to czyż nie idjotyzmem staje się wszelkie rozważanie o uczciwości i nieuczciwości, gdy uzdolniony i pożyteczny człek, dajmy na to muzyk, albo malarz, aby uciec z niewoli podkopuje mury swego więzienia i oszukuje dozorców? W sytuacji takiego człowieka wszystko jest uczciwe.

O godzinie drugiej Łajewskij i Nadieżda Fiodorowna siedli do obiadu. Kiedy kucharka podała zupę ryżową z pomidorami, Łajewskij odezwał się:

— Dzień w dzień to samo. Czemużby, naprzykład, nie ugotować kapuśniaku?

— Niema kapusty.

— Dziwne. I u Samoijenki podają kapuśniak, i u Marji Konstantinówny kapuśniak, ja tylko jeden z niewiadomej racji jestem zmuszony do połykania tej mdłej lury. Przecież tak nie można, ptaszyno.

Jak to się zdarza wśród olbrzymiej większości małżeństw, przedtem ani jeden obiad Łajewskiego i Nadieżdy Fiodorowny nie mijał bez kaprysów i scen; od chwili jednak, gdy Łajewskij doszedł do prze-

świadczenia, że już nie kocha, zaczął starać się ustępować we wszystkim Nadzieździe Fiodorownie, rozmawiał z nią łagodnie i uprzejmie, nazywał ptaszyną.

— Ta zupa przypomina mi w smaku lukrecję. — Ciągnął z uśmiechem; czynił wysiłki, żeby wydawać się uprzejmym, nie wytrzymał jednak i dodał: — Nikt w domu nie dba o gospodarstwo... Skoro ty jesteś aż tak chora, czy zaabsorbowana lekturą, to owszem, ja sam zajmę się naszą kuchnią.

Dawniej odpowiedziałyby mu: „to zajmij się”, albo „widzę, że chcesz ze mnie zrobić kucharkę”, ale teraz tylko spojrzała nieśmiało i zaczerwieniła się.

— No, jakże się czujesz dzisiaj? — Zapytał uprzejmie.

— Dziś nienajgorzej. Takie tylko niewielkie osłabienie.

— Trzeba dbać o siebie, ptaszyno. Strasznie się boję o ciebie.

Nadzieźda Fiodorowna była na coś tam chora. Samojlenko twierdził, że to malarja i zalecał chininę; inny zaś lekarz, doktor Ustimowicz, wysoki, chuderlawy odludek, co całymi dniami siedział w domu, a wieczorami z założonemi wtył rękoma i z laską wyciągniętą wzdłuż pleców, zwolna przechadzał się po wybrzeżu i kaszlał, uważał, że Nadzieźda Fiodorowna ma cierpienie ginekologiczne i zalecał kompresy rozgrzewające. Dawniej, gdy Łajewskij był zakochany, choroba Nadzieźdy Fiodorowny wzbudzała w nim litość i strach, obecnie nawet w chorobie dopatrywał się kłamstwa. Żółta ospała twarz, opieszale spojrzenie i ziewanie, które napadało ją po atakach febry, oraz to, że podczas ataku leżała przykryta pledem i bar-

dziej przypominała wyglądem chłopca, niż kobietę, w pokoju zaś było duszno i panował niemiły zapach — wszystko to, jego zdaniem, niweczyło iluzje i było protestem wobec miłości i małżeństwa.

Na drugie danie podano mu szpinak z jajami na twardo, a Nadzieździe Fiodorownie, jako chorej, kisiel z mlekiem. Gdy z zatroskanym wyrazem twarzy dotknęła spoczątku parokrotnie kisiela łyżką i następnie, popijając mlekiem, zabrała się leniwie do jedzenia, a Łajewskij słyszał, jak połyka — owdąnęła nim tak potworna nienawiść, że aż go zaczęła śwędzić skóra na głowie. Zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju uczucie byłoby obelżywe nawet w stosunku do psa, ale miał pretensję nie do siebie, tylko do Nadzieźdy Fiodorowny za to, że wywoływała w nim takie uczucia i rozumiał, czemu czasami kochankowie zabijają swe kochanki. Sam nie zabiłby, oczywiście, lecz niechby przypadła mu teraz rola sędziego przysięgłego, to uniewinniłby zabójcę.

— Dzięki, ptaszyno, — powiedział po obiedzie i pocałował Nadzieźdę Fiodorownę w czoło.

Po powrocie do swego gabinetu, z pięć minut wałęsał się z kąta w kąt, spoglądając zezem na buty, następnie usiadł na kanapie i wyszeptał:

— Uciec, uciec! Wyjaśnić wszystko i uciec!

Położył się na kanapie i znowu przypomniał sobie, że mąż Nadzieźdy Fiodorowny umarł, kto wie czy nie z jego winy.

— Oskarżać kogoś za to, że zakochał się, czy przestał kochać, to przecież absurd, — perswadował sobie leżąc i zadzierając nogi, żeby nałożyć buty. — Miłość i nienawiść nie poddaje się władzy człowieka.

Co się tyczy męża, to możliwe, że nie w bezpośredni sposób, ale byłem jedną z przyczyn jego śmierci; znowu jednak, czyż to moja wina że pokochałem jego żonę, a żona — mnie?

Wreszcie wstał, poszukał czapki i poszedł do kolegi Szeszkowskiego, u którego co dnia zbierali się urzędnicy na winta i zimne piwko.

„Swoim brakiem decyzji przypominam Hamleta. — Rozmyślał w drodze. — Jak świetnie Szekspir to podpatrzył. O, jak prawdziwie!”

III.

Żeby nie było nudno i biorąc pod uwagę rzeczywiste potrzeby przyjezdnych lub samotnych, którzy z braku hotelu w mieście, nie mieli gdzie zjeść obiadu, doktor Samojlenko stworzył u siebie coś w rodzaju table d'hôtelu. W opisywanym okresie miał tylko dwóch stołowników: młodego zoologa von Korena, który przyjeżdżał latem nad Czarne Morze dla studjowania embrjologii meduz, oraz djakona Pobiedowa, niedawno wypuszczonego z seminarjum i przydzielonego do miasteczka, celem pełnienia obowiązków, za odbywającego kurację starego djakona. Obydwaj płacili za obiady i kolacje po 12 rubli miesięcznie i Samojlenko zmusił ich do dania słowa honoru, że będą przychodzili na obiad punktualnie o drugiej.

Pierwszy zazwyczaj zjawiał się von Koren. W milczeniu zasiadał w saloniku, brał ze stołu album i zabierał się do uważnego oglądania wyblakłych fotografii jakichś nieznanych jegomościów w szerokich

pantalonach i w cylindrach, oraz pań w krynolinach i czepeczkach. Samojlenko zaledwie niewielu przypominał sobie z nazwiska, o tych zaś, których nie pamiętał, mawiał z westchnieniem: „Cudowny, kolosalnego umysłu człek!” Załatwiwszy się z albumem, von Koren brał pistolet z etażerki i, mrużąc lewe oko, długo celował do portretu księcia Woroncowa, albo też stawał przed lustrem i przyglądał się swej śniadej twarzy, dużemu czołu i czarnym, skręconym, jak u murzyna włosom, oraz koszuli z wyblakłego w wielkie kwiaty perkalu, przypominającego perski dywan i szerokiemu skórzanemu pasowi, noszonemu zamiast kamizelki. Ta samoobserwacja dostarczała mu większego może zadowolenia, niż oględziny fotografii i pistoletu w cennej oprawie. Bardzo był zadowolony i z twarzy, i z ładnie przyciętej bródki, i z rozłożystych barów, które były oczywistym dowodem dobrego zdrowia i mocnej budowy. Bardzo był też zadowolony ze swego szykownego stroju, poczynając od krawatu, dobranego do koloru koszuli, a kończąc na złotych bucikach.

Gdy tak von Koren oglądał album i wystawał przed lustrem, Samojlenko, bez marynarki i kamizelki, z obnażoną piersią, zlany potem i zdenerwowany uwijał się wokół stołów po kuchni i sieni, przylegającej do kuchni, przyrządzając sałatę, jakieś sosy, czy też mięso, ogórki, cebulę do chłodników; łytał przytem z wściekłością oczami na pomagającego mu deńszczyka*) i zamierzał się nań to nożem, to łyżką.

— Podaj ocet! — rozkazywał. — Gdzietam, nie

*) Ordynans. Przyp. tłum.

ocet, tylko oliwę! — Wrzeszczał, tupiąc nogami. — Dokąd znów idziesz, ośle jeden.

— Po oliwę, wasza ekscelencjo. — Odpowiadał rozbitym tenorem stropiony deńszczyk.

— Prędzej! Jest w szafie! I powiedz Darji, żeby do słoja z ogórkami dołożyła kopru! Kopru! Przykryj śmietaną, gapo, bo muchy powłażą!

I miało się wrażenie, że od tego wrzasku huczał cały dom. Gdy do godziny drugiej brakowało już tylko 10 lub 15 minut, nadchodził djakon, młody, mniej więcej 22 letni mężczyzna, szczupły i długowłose, bez brody, z zaledwie dostrzegalnymi wąsami. Wchodząc do saloniku, zęgnął się przed świętym obrazem, uśmiechał się i wyciągał dłoń do von Korena.

— Dzieńdobry. — Oziębło odpowiadał zoolog. — Gdzież pan był.

— Na przystani byczki łowiłem.

— No, oczywiście... Najwidoczniej, djakonie, nigdy pan nie weźmie się do pracy.

— Czemuż nie? — Praca nie zając nie ucieknie w las. — Mówił djakon z uśmiechem, pakując ręce w niesamowicie głębokie kieszenie swej białej sutanny.

— Niema takiego, coby panu mores pokazał. — Wzdychał zoolog.

Mijało znowu z 15—20 minut, lecz do obiadu nie proszono i dalej było słycać tupot butów deńszczyka, latającego z sieni do kuchni i spowrotem, oraz wrzask Samojlenki:

— Postaw na stole! Gdzie to pchasz? Umyj przedtem!

Zgłodniali djakon i von Koren zaczęli walić obcasami w podłogę, dając wyraz swemu zniecierpli-

wieniu podobnie, jak w teatrze widzowie z jaskółki. Wreszcie drzwi otwierały się i zmordowany deńszczyk oświadczał: podane do stołu! W stołowym pokoju spotykał ich karmazynowy, rozprażony w upale kuchennym i wściekły Samojlenko. Spoglądał po nich ze złością, z wyrazem przerażenia unosił z wazy pokrywkę i nalewał po talerzu zupy. I dopiero, gdy się przekonywał, że jedzą z apetytem i że jedzenie smakuje, wzdychał leciutko i zasiadał w swym głębokim fotelu. Twarz jego przybierała wyraz rozmarzenia i błogości... Bez pośpiechu napełniał swój kieliszek wódką i mówił:

— Za zdrowie młodego pokolenia!

Po rozmowie z Łajewskim, mimo cudownego naogół nastroju, Samojlenko czuł w głębi duszy niejaki ciężar; żałował Łajewskiego i chciałby dopomóc mu. Wychylił więc przed zupą kieliszek wódki, westchnął i powiedział:

— Widziałem się dzisiaj z Wanią Łajewskim. Ciężki ma żywot człeczyna. Materjalna strona szwankuje, a co najważniejsze — psychologja doskwiera. Szkoda chłopca.

— Tego to już ani na jotę nie pożałuję — powiedział von Koren. — Gdyby ów miły jegomość tonął nawet, tobym go jeszcze kijaszkiem popchnął: utop się, braciszku, utop..

— Nieprawda. Nie zrobiłbyś tego.

— Dlaczego tak myślisz? — Wzruszył ramionami zoolog. — Jestem taksamo zdolny do zrobienia czegoś dobrego, jak i ty.

— Czyż utopić człowieka, to jest coś dobrego? — Zapytał djakon i roześmiał się.

— Łajewskiego? Tak.

— Zdaje się, że w chłodniku czegoś brakuje...

— Wtrącił Samojlenko, chcąc przerwać rozmowę.

— Łajewskij jest bezwzględnie szkodliwy i dla społeczeństwa równie niebezpieczny, jak zarazek choleryczny, — ciągnął von Koren. — Utopienie go jest zasługą.

— Nie dodaje ci to splendoru, że w ten sposób wyrażasz się o swym bliźnim. Powiedz: zaco go nie-nawidzisz?

— Nie gadaj, doktorze głupstw. Nienawiść, czy pogarda w zastosowaniu do zarazka byłaby absurdem. Ale uważać za swego bliźniego każdego pierwszego lepszego — dzięki stokrotne, to znaczyłoby zaprzestać rozumować, zrzec się sprawiedliwości w postępowaniu z ludźmi, umyć ręce, jednym słowem. Twego Łajewskiego mam za łajdaka, nie ukrywam tego i w jaknajlepszej wierze zachowuję się wobec niego tak, jak wobec łajdaka. Ty zaś uważasz go za swego bliźniego — więc pocałuj się z nim. Uważasz za bliźniego, czyli, że twój stosunek do niego jest taki sam, jak do mnie i do djakona, czyli żaden. Jesteś jednakowo obojętny wobec wszystkich.

— Nazwać człowieka łajdakiem! — Mruczał Samojlenko z niesmakiem krzywiąc się. — To jest tak brzydkie, że aż ci nawet określić tego nie potrafię!

— Ludzi sądzi się według ich postępków. — Ciągnął von Koren. — Niechże więc pan sądzi, djakonie... Do pana będę teraz mówił. Działalność pana Łajewskiego leży przed panem rozpostarta szeroko, niby wielki chiński pergamin. Może ją pan sobie odczytać od początku do końca. Cóż zrobił Łajewskij w

ciągu tych dwóch lat, co mieszka tutaj? Wyliczymy na palcach. Popierwsze, nauczył mieszkańców miasta gry w winta; przed dwoma laty gra ta była tu nieznaną, obecnie zato wszyscy rzną w winta od rana do późna w noc, wszyscy, nawet kobiety i młodzież; po drugie, nauczył obywateli pić piwo, które też nie było tu znane; jemu także obywatele zawdzięczają uświadomienie co do przeróżnych gatunków wódek w takim stopniu, że potrafią z zawiązanymi oczami odróżnić wódkę Koszelowa od Smirnowa Nr. 21; potrzebie, dawniej uprawiano tu stosunki z cudzemi żonami jedynie skrycie, a to z tych samych pobudek, z jakich złodzieje kradną skrycie, a nie jawnie; cudzołóstwo było uważane za coś takiego, czego wstydzono się wystawiać na publiczny widok; Łajewskij był i w tym względzie pionierem: on żyje sobie z cudzą żoną otwarcie! Poczwarcie...

Von Koren pośpiesznie zjadł swój chłodnik i oddał talerz deńszczykowi.

— Przejrzałem Łajewskiego w ciągu pierwszego miesiąca naszej znajomości. — Ciągnął, zwracając się do djakona. — Przyjechaliśmy tu w jednym czasie. Tacy ludzie, jak on, ogromnie lubią przyjaźń, zbliżenia, solidarność i t. p., bowiem zawsze potrzebują towarzystwa do winta, wódeczki i przekąski; w dodatku są to gaduły, więc potrzeba im słuchaczy. Zaprzyjaźniliśmy się, to znaczy, że on łąził do mnie co dnia, przeszkadzał mi w pracy i zwierzał się na temat swej utrzymanki. Od początku już zdumiewał mnie swoim niezwykłym załganiem, od którego mi się wprost na wymioty zbierało. W charakterze przyjaciela robiłem mu wymówki: czemu tak dużo pije,

czemu żyje nad stan i zadłuża się, dlaczego nic nie robi i nie czyta, czemu jest tak mało kulturalny i tak mało umie; a ten, w odpowiedzi na wszystkie pytania, uśmiechał się gorzko, wzdychał i oświadczał: — „Mam pecha, jestem człowiekiem niepotrzebnym”, albo: „czegóż pan chce od nas, którzy jesteśmy pańszczyźnianami odpadkami?” Albo: „Degenerujemy się...” Albo zaczyna zawiłe bzdury o Onieginie, Pieczorinie, bajronowskim Kainie i Bazarowie, o których mawiał: — „To ojcowie nasi z krwi i ducha.” Że to niby należy rozumieć, iż nie jego jest winą, że urzędowe pisma tygodniami leżą nierozpieczętowane, a on sam zapija się i innych spaja, tylko winien Oniegin, Pieczorin i Turgieniew, który wymyślił pechowca i niepotrzebnego człowieka. Przyczyna ostatecznego rozwydrzenia i ohydy, uważacie sobie państwo, leży nie w nim samym, tylko gdzieś tam nazewnątrz, w przestrzeni. I przytem — świetny wynalazek! — Rozpustny, kłamliwy i wstrętny jest nie on jeden, lecz my... „my ludzie z lat osiemdziesiątych”, „my cherlawe, nerwowe wyrodki pańszczyźniane”, „nas wynaturzyła cywilizacja...” Słowem, winniśmy zrozumieć, że człowiek tak wielki, jak Łajewskij, wielkim jest nawet w swym upadku; że jego rozpusta, ignorancja i niechlujstwo są zjawiskiem przyrodniczo-historycznym, uświęconem koniecznością, że to są przyczyny kosmiczne i żywiołowe, i że przed Łajewskim należy palić świeczkę, bowiem jest ofiarą losu, czasów, prądów, dziedziczności etc. Wszyscy urzędnicy i panie, słuchając go, wykrzykiwały „och” i „ach”, ja zaś długo nie mogłem zdać sobie sprawy z kim mam do czynienia: z cynikiem, czy też ze sprytnym oszustem?

Osobniki takie, jak on, inteligentne napozór, z jakim-takiem wychowaniem, a rozprawiające wiele o własnej szlachetności, umieją podszywać się pod niebywale skomplikowane natury.

— Zamilcz! — Wybuchnął Samojlenko. — Nie pozwolę, by w mej obecności odzywano się źle o najszlachetniejszym człowieku!

— Nie przerywaj mi, Aleksandrze Dawidycz. — Z zimną krwią odparł von Koren. — Zaraz skończę. Łajewskij, to niezbyt skomplikowany organizm. Oto jego szkielet moralny: rano pantofle, kąpiel i kawa, potem do obiadu — pantofle, spacer i rozmówki; o drugiej pantofle, obiad i alkohol; o piątej kąpiel, herbata i alkohol, zaczem wint i łgarstwo; o dziesiątej kolacja i alkohol, a po północy sen i la femme. Istnienie jego uwięzione jest w tym ciasnym programie, ni-by jajko w skorupce. Chodzi, czy też siedzi, gniewa się, pisze czy raduje się — wszystko sprowadza się do alkoholu, kart i kobiety. Kobieta odgrywa w jego życiu fatalną, supremacyjną rolę. Sam opowiada, że mając lat 13 był zakochany; jako student pierwszego kursu, utrzymywał stosunek z pewną damą, która miała na niego zbawienny wpływ i której zawdzięcza swe wykształcenie muzyczne. Na drugim kursie wykupił prostytutkę z domu publicznego i wznosił ją do swej wysokości, czyli zrobił z niej swoją utrzymankę, a ta mieszkała z nim przez pół roku i uciekła spowrotem do swej patronki, czem przysporzyła mu niemało cierpień duchowych. Och, cierpiał tak bardzo, że aż zmuszony był opuścić uniwersytet i w ciągu dwóch lat siedzieć w domu beczynnie. Ale to i lepiej. W domu zbliżył się z pewną wdową, która mu poradziła prze-

nieść się z wydziału prawnego na filozofję. Tak też uczynił. Po skończeniu uniwersytetu namiętnie pokochał swą obecną... jakżeż się żowie... mężatkę, i był zmuszony gnać z nią aż tu na Kaukaz, po ideały, jakoby... Nie dziś, to jutro przestanie kochać i ucieknie spowrotem do Petersburga, i też po ideały.

— A skądże to wiesz? — Burknął Samojlenko, ze złością spoglądając na zoologa. — Jadłbyś lepiej.

Podano głowacze z wody w polskim sosie. Samojlenko nałożył obydwum stołownikom po całej rybie i własnoręcznie polał sosem. Ze dwie minuty upływały w milczeniu.

— Kobieta odgrywa zasadniczą rolę w życiu każdego mężczyzny — odezwał się djakon. — Nic się na to nie poradzi.

— Tak, ale w jakim stopniu? Dla każdego z nas kobieta jest matką, siostrą, żoną, przyjacielem; dla Łajewskiego zaś jest wszystkim, przytem zaś jedynie kochanką. Kobieta, a właściwie pożycie z nią, jest szczęściem i celem jego istnienia; wesóły jest czy smutny, znudzony czy rozczarowany — wszystko przez kobietę; życie mu zbrzydło — winna kobieta; zajaśniała jutrzienka nowego życia, znalazły się ideały — i tu doszukuj się kobiety... Zadowolenie sprawiają mu jedynie takie utwory czy obrazy gdzie jest kobieta.. Nasz okres, według niego, jest marny i gorszy od lat czterdziestych i sześćdziesiątych tego stulecia jedynie z tej racji, że nie potrafimy do samozatracenia oddawać się miłosnej ekstazie i namiętności. Ci lubieżnicy prawdopodobnie mają w mózgu specyficzną narośl w rodzaju sarkomy, która uciska mózg i kieruje całą psychiką. Przyjrzyjcie się Łajewskiemu, gdy znajduje się

w jakimś towarzystwie. Proszę zauważyć: gdy się przy nim wszczyna rozmowę na jakiś temat ogólny, dajmy na to, o komórce, czy instynkcie, siedzi sobie na boczku, milczy i nie słucha; ma wygląd znużonego i rozczarowanego, nic go nie interesuje, wszystko jest przyziemne i nic nie wartę. Ale niechby pan zaczął mówić o samicach i samcach, o tem, bodajby, że pajęczycę po zapłodnieniu zjada samca — czy mu się rozpala ją ciekawością, twarz rozchmurza się i człek ożywia się, jednym słowem. Wszystkie jego myśli, choćby najbardziej szlachetne, wzniosłe, czy obojętne mają zawsze jeden wspólny punkt przecięcia. Idzie się, na przykład, z nim przez ulicę i spotyka się osła... „niech mi pan powie, proszę pana — zapytuje — coby wynikło ze skrzyżowania oślicy z wielbłądem?”. A sny! Opowiadał państwu kiedy swoje sny? To bajeczne! Raz mu się śni, że go żenią z księżycem, to znów, że wzywają na policję i rozkazują mu tam, żeby żył z gitarą...

Djakon roześmiał się głośno; Samojlenko zachmurzył się i skrzywił się gniewnie, żeby się nie roześmiać, nie wytrzymał jednak i też parsknął śmiechem.

— I zmyśla to wszystko! — Powiedział, ocierając łzy. — Jak Boga kocham, zmyśla!

IV.

Djakon należał do gatunku śmieszków i śmiał się z byle głupstwa aż do rozpuku, aż do kolek. Miało się wrażenie, że lubił przebywać między ludźmi jedy-

nie dlatego, że mają oni swoje śmieszności, i że można im nadawać komiczne przydomki. Samojlenkę przezwano tarantulą, deńszczyka kaczołem i wpadł w zachwyty, gdy pewnego razu von Koren powiedział o Łajewskim i Nadziei Fiodorownie, że to są makaki. Djakon łapczywie wpatrywał się w twarz, słuchał z rozwartymi oczami i widać było, jak rysy tężały mu w oczekiwaniu chwili, w której można będzie sobie popofolgować i zatoczyć się ze śmiechu.

— To rozpustny i zwyrodniały osobnik. — Ciągnął zoolog, djakon zaś, czekając na coś śmiesznego, wpił mu się w twarz. — Rzadko gdzie można spotkać takie kompletne zero. Fizycznie jest zniszczony, cherlawy i stary, intelektualnie nie różni się niczem od opasłej kupczychy, co żre jedynie, pije, śpi pod pierzyną i ma za gacha własnego stangreta.

Djakon znowu roześmiał się.

— Proszę się nie śmiać — mówił von Koren — To głupio, wkońcu. Nie zwróciłbym uwagi na tę jego nicość, — ciągnął, poczekawszy, aż djakon przestanie się śmiać. — Wyminąłbym go, gdyby nie był taki szkodliwy i niebezpieczny. Szkodliwość jego polega przede wszystkim na tem, że ma on powodzenie u kobiet, co grozi potomstwem, czyli, że może obdarzyć świat tuzinem Łajewskich, takich samych zdechłaków i zwyrodniałców, jak sam. Podrugię, jest w najwyższym stopniu zaraźliwy. Mówiłem już i o wincie i o piwie. Jeszcze rok, drugi, a zawojuje całe kaukaskie wybrzeże. Wicie, panowie, do jakiego stopnia masy, szczególnie warstwy średnie, wierzą w inteligencję, w uniwersyteckie wykształcenie, w eleganckie zachowanie i wysławianie się lite-

rackie. Żeby zrobił nie wiem jakie świństwo, wszyscy są przekonani, że to dobrze, że tak powinno być, bo to przecież inteligent, liberał człek z uniwersyteckiem wykształceniem. Nadobitek pechowiec, człowiek niepotrzebny, neurastenik, ofiara czasów, z czego wynika, że wszystko mu wolno. To chłopak przyjemny, brat-Łata, potrafi zniżyć się tak serdecznie do ludzkich słabostek; jest zgodny, uprzejmy, uczynny, nie pyszałek, można z nim popić i sprośną gawędę uciąć, i poplotkować... Masy, zawsze skłonne do antropomorfizmu w religji, najbardziej kochają bożków, mających te same przywary, co one. Osądźcie więc panowie, jak szerokie ma Łajewskij pole do zarażania! W dodatku jest nienajgorszym aktorem i sprytnym obłudnikiem i wie cudownie, gdzie raki zimują. Proszę tylko przypomnieć sobie jego fidryganse i sztuczki, na przykład, chociażby stosunek do cywilizacji. Cywilizacji nie wahał nawet, mimo to wciąż: „ach, jakżeśmy wypaczeni przez cywilizację! Ach, zazdroszczę tym dzikusom, tym dzieciom przyrody, które nie znają cywilizacji!” Należy-bo rozumieć, uważacie panowie, że kiedyś tam, w czasach minionych, całą duszą oddany był cywilizacji, służył jej, poznał ją nawylot, ale go znużyła, rozczarowała, oszukała; jest teraz, uważacie panowie, Faustem, drugim Tolstojem. Schopenhauera i Spencera traktuje jak smarkaczy i po ojcowsku klepie po ramieniu: no, jakże tam, panie Spencer? Spencera, oczywiście, nie czytał, zato jaki potrafi być przyjemny, gdy z leciutką, nonszalancką ironją nadmienia o swojej paniusi — „czytała Spencera!” I słuchają go, i nikt nie chce zrozumieć że ten szarlatan nie ma prawa nietylko tym tonem mówić o

Spencerze, ale nawet ucałować Spencerowi podszewy! Podkopywać się pod cywilizację, pod autorytety, pod cudze ołtarze, chlapać błotem, stroić błazeńskie miny w ich stronę dlatego jedynie, by usprawiedliwić i ukryć własne cherlactwo i ubóstwo moralne potrafi tylko bardzo samolubne, przyziemne i plugawe stworzenie.

— Nie wiem, Kolu, czego ty wymagasz od niego — powiedział Samojlenko, spoglądając na zoologa już bez złości, ale jakby w poczuciu winy. — Jest taki sam, jak inni ludzie. Ma się rozumieć, nie bez wad, utrzymuje się jednak na poziomie spółczesnej ideologii, jest urzędnikiem, pracuje dla dobra kraju. Przed dziesięcioma laty był tu w charakterze ajenta pewien staruszek, kolosalnego umysłu człek... więc staruszek ten mawiał..

— Dość, dość! — Przerwał zoolog. — Powiadasz, że pracuje. Ale jak pracuje? Czy dzięki temu, że zjawił się tutaj, porządki zmieniły się na lepsze, urzędnicy stali się sprawniejsi, albo uczciwsi, uprzejmiejsi? Przeciwnie, swoim autorytetem, inteligentnej, z uniwersyteckiem wykształceniem jednostki, usankcjonował tylko ich rozwydrzenie. Sprawnym udaje mu się być jedynie dwudziestego każdego miesiąca, kiedy odbiera pensję, w pozostałe zaś dnię człapie pantoflami po swem mieszkaniu i usiłuje nadać sobie taki wygląd, jakby wyświadczał rosyjskiemu rządowi wielką łaskę tem, że przebywa na Kaukazie. Nie, mój drogi, nie zajmuj się nim, jesteś nieszczerzy od początku do końca. Gdybyś go istotnie lubił i uważał za swego bliźniego, to przedewszystkiem nie byłbyś obojętny na jego wady, nie zniżałbyś się do nich,

lecz dla jego własnej korzyści postarałbyś się unieszkodliwić go.

— To znaczy?

— Unieszkodliwić. A ponieważ jest niepoprawny, więc unieszkodliwić go można tylko w jeden sposób...

Von Koren przesunął palcem po swojej szyi.

— Albo utopić, czy co... — Dodał. — W interesie ludzkości i w naszym własnym interesie, ludzie tacy powinni być tępieni, bezwzględnie.

— Co ty wygadujesz?! — Wykrztusił Samojlenko, zrywając się i ze zdumieniem wpatrując się w spokojną twarz zoologa. — Djakonie, co on mówi? Czy jesteś przy zdrowych zmysłach?

— Nie upieram się przy karze śmierci — odparł von Koren. — Skoro dowiedzione, że jest ona nieetyczną, to wymyślcie coś innego. Nie wolno go pozbawić życia, więc go chociaż izolujcie, zniwelujcie, dajcie go na roboty publiczne.

— Co ty wygadujesz? — Przeraził się Samojlenko. — Z pieprzem, z pieprzem! — Wrzasnął straszliwym głosem, spostrzegłszy, że djakon pochłania faszerowane kabaczki bez pieprzu. — Ty, człek kolosalnego umysłu i cóż ty wygadujesz?! Przyjaciela naszego, dumnego, inteligentnego człowieka, oddać na roboty publiczne!?

— Skoro taki dumny i zechciałby sprzeciwić się, to — w kajdany go!

Samojlenko nie był już w stanie wypowiedzieć jednego bodaj słowa, więc tylko przebierał palcami; djakon spojrział na jego oszołomione, istotnie zabawne oblicze i zaczął się śmiać.

— Przestańmy o tem mówić. — Rzekł zoolog. — Zapamiętaj sobie tylko, mój drogi, jedno, że ludzkość w stanie pierwotnym znajdowała obronę przed takimi Łajewskimi w walce o byt i w doborze naturalnym. Obecnie nasza kultura podkopała mocno i walkę i dobór, wobec czego sami winniśmy postarać się o wytępienie cherlaków i łotrów, w przeciwnym bowiem wypadku, o ile gatunek Łajewskich rozmnoży się, zniszczyje cywilizacja, a ludzkość zdegeneruje się całkowicie. Będzie to naszą winą.

— Gdyby się miało ludzi topić i wieszać — odparł Samojlenko — to do djabła całą tę twoją cywilizację, do djabła ludzkość. Do djabła! Wiesz, co ci powiem? Jesteś najuczestszym, kolosalnego umysłu człowiekiem, jesteś chlubą ojczyzny, ale niemcy cię popsuli. Tak, niemcy! Niemcy!

Samojlenko od czasu, jak opuścił Dorpat, gdzie studjował medycynę, rzadko widywał niemców i nie przeczytał ani jednej niemieckiej książki, uważał jednak, że wszystko, co było złego czy to w polityce, czy w nauce, pochodziło od niemców. Jakim sposobem doszedł do takiego mniemania — sam nie potrafiłby wytłumaczyć, tem niemniej mocno stał przy niem.

— Tak, niemcy! — Powtórzył raz jeszcze. — Chodźmy na herbatę.

Wszyscy trzech powstali, włożyli kapelusze, skierowali się do ogródka i rozsiedli się w cieniu wyblakłych klonów, grusz i kasztanów. Zoolog i djakon usiedli na ławce przy stoliku, Samojlenko zaś zapadł w wyplatany, o szerokim stromem oparciu fotel. Deńszczyk podał herbatę, konfitury i butelkę soku.

Było bardzo gorąco. Ze trzydzieści stopni w cie-

niu. Rozprażone powietrze skamieniało, trwało w bezruchu, a długa nić pajęczna, zwieszająca się z kasztana aż do ziemi, zwisała bezwładnie bez jednego drgnięcia.

Djakon wziął gitarę, leżącą zawsze obok stołu, nastroił ją i zanucił cichym, cienkim głosem: „Młodziankowie klerykowie, przed karczmą stojący”... ale natychmiast przerwał zmożony upałem, otarł pot z czoła i spojrział w górę, w granatowe rozgrzane niebo. Samojlenko zaczął drzemać. Upał, cisza i rozkoszna poobiednia senność, która sprawnie zagarniała w swoją władzę wszystkie jego członki, osłabiła go i upoiła; ramiona mu zwisły, oczy zmniejszyły się, głowa opadła na pierś. Z leżką rozczulenia spojrział na von Korena i djakona i wybełkotał:

— Młode pokolenie... Gwiazda nauki i pochodnia kościoła... Ani się człek obejrzy, jak ta klesza sutanna na metropolitę wykieruje się i jeszcze to w łapę trzeba będzie cmokać... Cóż, daj Boże...

Wkrótce rozległo się chrapanie. Von Koren i djakon wypili herbatę i wyszli na ulicę.

— Znowu na przystań, na byczki? — Zapytał zoolog.

— Nie, przygorąco.

— Chodźmy do mnie. Spakuje mi pan paczkę i coś niecoś przepisze. Pogadamy przytem, czem się pan ma zająć. Należy pracować, djakonie, tak nie można.

— Słowa pańskie sprawiedliwe są i logiczne — odrzekł djakon. — Atoli lenistwo me znajduje swe usprawiedliwienie w okolicznościach mego obecnego życia. Sam pan wie, iż nieokreślona sytuacja sprzyja wielce rozwojowi apatji. Na krótko mię tu przysłano,

czy na zawsze — Bóg tylko wiedzieć raczy; życie pędzę w niepewności, połowica zaś moja marnieje u ojca swego i tęskni. I, wyznam szczerze, mózg mi z tego upału jełczeje.

— Furda, wszystko — do upału można się przyzwyczaić, i do nieobecności połowicy też można się przyzwyczaić. Nie należy popuszczać sobie. Trzeba się mocno w rękach trzymać.

V.

Nadieżda Fiodorowna szła rano do kąpieli, a za nią z dzbankiem, mosiężną miednicą, z prześcieradłami i gąbką postępowała jej kucharka Olga. Na redzie stały dwa jakieś nieznanne okręty o zabrudzonych białych kominach, najwidoczniej handlowe zagraniczne. Jacyś mężczyźni w białych ubraniach i białych trzewikach uwijali się po przystani, wykrzykując głośno po francusku; odpowiadano im z tych okrętów. Dziarsko wydzwaniały dzwony małej cierkiewki miejskiej.

— Dzisiaj niedziela! — Z radością przypomniała sobie Nadieżda Fiodorowna. Czuła się zupełnie zdrową i była w wesołym świątecznym usposobieniu. W nowej, luźnej sukni z grubej męskiej czuczunczy i w dużym słomkowym kapeluszu, którego szerokie rondo było mocno przyciśnięte nad uszami, wydawała się sobie bardzo ponętną. Myślała o tem, że w całym mieście jest jedna tylko młoda, ładna, inteligentna kobieta — właśnie ona, i że tylko ona umie się ubrać tanio, wytwornie i gustownie. Ta sukienka, naprzykład, koszt-

wała zaledwie 22 ruble, a tymczasem jaka jest milutka! W całym mieście z kobiet ona jedna tylko może podobać się, mężczyzn zaś jest tu dużo, dlatego wszyscy, chcąc nie chcąc, muszą zazdrościć Łajewskiemu.

Cieszyła się, że Łajewskij w ostatnich czasach był dla niej oziębły, oficjalnie uprzejmy, a nieraz nawet arogancki i ordynarny. Dawniej na wszystkie jego wybryki i pogardliwe, zimne lub dziwne spojrzenia odpowiadała łzami, wyrzutami, groźbami wyjazdu albo zamorzenia się głodem; obecnie zaś jedynie czerwieniła się w odpowiedzi, patrzyła na Łajewskiego z poczuciem winy i cieszyła się, że nie narzuca się jej z pieszczotami. Gdyby tak wymyślał albo groził, toby było jeszcze lepiej i przyjemniej, uważała się bowiem za ogromnie winną wobec niego. Wydawało się jej, że wina jej polega popierwsze na tem, że nie współczuła z jego marzeniem o życiu pracowitem, dla którego porzucił Petersburg i przyjechał tutaj na Kaukaz; to też była przekonana, że właśnie o to gniewał się na nią w ostatnich czasach. Jadąc na Kaukaz wyobrażała sobie, że już pierwszego dnia znajdzie tu na wybrzeżu przytulny zakątek, swojski, zacieniony ogródek z ptaszkami i strumyczkami, że będzie można sadzić kwiaty i owoce, hodować kaczkę i kury, gościć sąsiadów, leczyć biednych wieśniaków i rozdawać im książki; okazało się, że Kaukaz — to łyse góry i olbrzymie doliny, pośród których długo trzeba wybierać, zabiegać, budować, że niema tu żadnych sąsiadów, a jest bardzo gorąco i jeszcze kto może obrabować. Łajewskij nie śpieszył się z nabyciem działki; była z tego zadowolona i oboje, jakby się zmówili myślami, nie wspominali nigdy o życiu pracowitem. Milczał — przy-

puszczała — a więc zapewne gniewał się na nią za to, że ona milczy. Podrugie, Nadieżda Fiodorowna bez wiedzy Łajewskiego w ciągu tych dwóch lat wybrała ze sklepu Aczkmjanowa rozmaitych drobiazgów na jakieś trzysta rubli. Brała potroszku to materjały, to jedwabie, to parasolkę i niepostrzeżenie urósł taki dług.

— Dziś jeszcze powiem mu o tem... — Postanowiła, ale natychmiast spostrzegła się, że wobec terażniejszego nastroju Łajewskiego niezbyt będzie na miejscu zawiadamiać go o długach.

Potrzebie, już dwa razy podczas nieobecności Łajewskiego przyjęła u siebie prystawa Kirilina: raz rano, kiedy Łajewskij poszedł kąpać się, a drugi raz o północy, gdy grał w karty. Na wspomnienie o tem, Nadieżda Fiodorowna oblała się warem i obejrzała się na kucharkę, jakby w obawie, by tamta nie podsłuchiwała jej myśli. Długie, nie do zniesienia upalne nudne dni, przepiękne, rozmarzające wieczory, duszne noce i całe to życie, w którem od rana do wieczora nie wie się na co zużytkować niepotrzebny czas, i natrętne myśli, że przecież jest najładniejszą młodą kobietą w całym mieście i że ta młodość marnuje się, a sam Łajewskij, uczciwy, ideowy, ale monotonny, wiecznie człapiący pantoflami, obgryzający paznokcie i zanużdżający grymasami — zrobiły to, że zwolna opanowało ją pożądanie. Jak opętana, myślała w dzień i w nocy wciąż o jednym tylko. W oddechu swoim, w spojrzeńiach, w tonie głosu i w sposobie chodzenia wyczuwała tylko pożądanie; szum morza mówił jej, że trzeba kochać, ciemność wieczoru — też, góry — też... To

też gdy Kirilin zaczął jej nadskakiwać, nie miała siły, nie chciała, nie mogła bronić się i oddała się...

Teraz zagraniczne okręty i ludzie biało ubrani przypomnieli jej, niewiadomo czemu, wielki salon; wraz z dźwiękami mowy francuskiej rozbrzmiały jej w uszach tony walca i pierś zadrzała nieuzasadnioną uciechą. Zapragnęła tańczyć i mówić po francusku.

Z radością dochodziła do wniosku, że w jej zdradzie niema nic straszego. Dusza nie brała udziału w jej zdradzie. Nadieżda Fiodorowna w dalszym ciągu kocha Łajewskiego, a widać to z tego, że jest zazdrosna, że ma dla niego współczucie i że nudzi się, gdy go niema w domu. Co do Kirilina, to okazał się taki sobie, nieco brutalny, choć nawet ładny; wszystko to już jest zerwane i więcej nie będzie nic. Co było—minęło, nie nikomu do tego, a Łajewskij gdyby się nawet o tem dowiedział — nie uwierzy.

Na brzegu była tylko jedna łazienka dla pań, mężczyźni kąpali się pod gołym niebem. W łazience Nadieżda Fiodorowna zastała podstarzałą damę, żonę urzędnika, Marję Konstantinownę Bitiugową, oraz jej 15 letnią córkę Katię, uczennicę gimnazjum; obydwie siedziały na ławeczce i rozbierały się. Marja Konstantinowna była poczciwą, rozentuzjasmowaną subtelną niewiastą, przemawiała śpiewnie i z patosem. Do 32 roku życia była guwernantką, potem wyszła za mąż za urzędnika Bitiugowa, małego łysego, zaczesującego włosy na skronie, nader spokojnego człeczynę. Do chwili obecnej wciąż była w nim zakochana, zazdrosna, czerwieniła się przy słowie „miłość” i przekonywała wszystkich, że jest bardzo szczęśliwa.

— Droga pani! — Wykrzyknęła entuzjastycznie

na widok Nadzieży Fiodorowny, a twarz jej przystroiła się wyrazem, który wszyscy jej znajomi nazywali „rozanielonym” — Droga pani, jak to dobrze, że pani przyszła! Będziemy razem kąpały się — to uroczo!

Olga pośpiesznie zrzuciła z siebie suknię i koszulę i wzięła się do rozbierania swej pani.

— Dziś nie tak upalnie, jak wczoraj — nieprawdaż? — Odezwała się Nadieżda Fiodorowna, wzdrygając się przy niedelikatnym dotyku rąk gołej kucharki. — Wczoraj o mało nie umarłam ze spiekoty.

— O, tak, droga pani! Ja sama wczoraj omal nie udusiłam się. Czy pani uwierzy — kąpałam się wczoraj trzy razy... Niech sobie pani wyobrazi to, kochanie, trzy razy! Aż się Nikodim Aleksandrycz zaniepokoił.

„No, czyż można tak brzydko wyglądać?” Pomyślała Nadieżda Fiodorowna, rzuciwszy okiem na Olgę i na Bitiugową; spojrziała na Katię i pomyślała: „mała nieźle jest zbudowana”. — Pani mąż jest bardzo, bardzo miły! — Powiedziała. — Jestem w nim wprost zakochana.

— Cha — cha — cha! — Zaśmiała się z przymusem Bitiugowa. — Ależ to uroczo!

Uwolniona z ubrania, Nadieżda Fiodorowna uczuła chęć do lotu. Doznała wrażenia, że gdyby tylko rozpostarła ramiona, to z całą pewnością uniosłaby się w górę. Będąc już rozebraną, dostrzegła, że Olga z obrzydzeniem przygląda się jej białemu ciału. Młoda żołnierka Olga miała ślubnego męża, wobec czego uważała siebie za istotę godniejszą i lepszą od niej. Nadieżda Fiodorowna wyczuwała i to, że Bitiugowa i Ka-

tia nie mają dla niej szacunku i obawiają się jej. Było to niemiłe, więc żeby podnieść siebie w ich oczach, powiedziała:

— U nas w Petersburgu teraz sezon letniskowy w pełni. Mój mąż i ja mamy moc znajomych! Należałoby pojechać i odwiedzić tych i owych.

— Pani mąż, zdaje się, jest inżynierem? — Nieśmiało zapytała Bitiugowa.

— Mówię o Łajewskim. Ma on masę znajomych. Niestety jego matka jest dumną arystokratką, osobą dość ograniczoną...

Nadieżda Fiodorowna nie dokończyła zdania i skoczyła do wody; za nią wlaźła Marja Konstantinowna i Katia.

— W naszym świecie panuje moc przesądów — ciągnęła Nadieżda Fiodorowna — i żyć wcale nie jest tak łatwo, jakby się wydawało.

Bitiugowa, która w charakterze guwernantki obracała się ongi wśród arystokratycznych rodzin i znała się na życiu towarzyskiem, przytaknęła:

— O tak! Czy mi pani uwierzy, kochanie, że u Garatynskich zarówno do śniadań, jak i do obiadów była bezwzględnie wymagana zmiana toalety; to też, niby aktorka, prócz pensji, otrzymywałam, jeszcze dodatek na stroje.

Stała między Nadieżdą Fiodorowną a Katią, jakby chciała odgrodzić swą córkę od wody, która omywała Nadieżdę Fiodorownę. Przez wychodzące na morze otwarte drzwi widać było, jak ktoś płynął w odległości stu kroków od łazienki.

— Mamo, to nasz Kostia! — Zawołała Katia.

— Ach, ach! — Jęła gdakać w przerażeniu Bitiugowa.

— Ach, Kostia — krzyknęła — zawracaj! Kostia, wróć się.

Czternastoletni Kostia jednak, chcąc wobec siostry i matki popisać się odwagą, dał nurka i popłynął dalej. Ale zmęczył się i zawrócił, zaś ze skupionego i poważnego wyrazu twarzy znać było, że nie ufa swym siłom.

— Rozpacz z tymi chłopcami, droga pani! — Powiedziała Bitiugowa, uspokojona już nieco. — Każdej chwili może sobie kark skręcić. Ach, kochanie, jak to przyjemnie, a jednocześnie ciężko być matką! Człowiek obawia się wszystkiego.

Nadieżda Fiodorowna włożyła swój słomkowy kapelusz i wypłynęła z łazienki na morze. Odpłynęła ze cztery sażenie i położyła się na plecach. Widziała morze po horyzont, okręty, ludzi na brzegu, miasto, i wszystko to, wraz z upałem i przezroczystymi pieszczotliwymi falami, denerwowało ją i szeptało, że trzeba żyć, żyć... Obok niej szybko, energicznie prując fale i powietrze, przemknęła żaglówka; siedzący przy sterze mężczyzna przypatrywał się jej, zaś Nadieżdzie Fiodorownie było przyjemnie, że ktoś ją obserwuje.

Po kąpieli panie ubrały się i wyszły razem.

— Co drugi dzień miewam ataki malarji, ale mimo to nie chudnę. — Mówiła Nadieżda Fiodorowna, oblizując słone po kąpieli wargi i odpowiadając uśmiechami na pozdrowienia znajomych. — Zawsze byłam zażywna, a teraz, zdaje się, jeszcze bardziej przytyłam.

— To, droga pani, zależy od usposobienia. O ile ktoś nie ma usposobienia do tycia, jak dajmy na to,

ja, to żadne odżywianie nie pomoże. Ależ pani, kochanie, zmoczyła kapelusz!

— To nic, wyschnie.

Nadieżda Fiodorowna znów dostrzegła biało ubranych ludzi, spacerujących po wybrzeżu i rozmawiających po francusku; i nie wiadomo czemu znowu w piersi roztrzepotała się radość i zamajaczyło wspomnienie jakiejś wielkiej sali, w której kiedyś tańczyła, lub która może tylko kiedyś przyśniła się jej. A gdzieś, w najskrytszej głębi duszy, coś podświadomie i niewyraźnie szeptało, że jest płytką, przyziemną, nędzną, nikczemną kobietą.

Marja Konstantinowna zatrzymała się przed swoją furtką i poprosiła Nadieżdę Fiodorownę, żeby wstąpiła na chwilę.

— Niechże pani wstąpi, kochanie! — Powiedziała błagalnym tonem, a równocześnie spojrzała na Nadieżdę Fiodorownę z niepokojem i nadzieją: a nuż odmówi i nie wstąpi.

— Z przyjemnością — zgodziła się Nadieżda Fiodorowna. — Pani wie, jak lubię być u państwa!

I weszła do mieszkania Bitiugowa posadziła ją, podała kawę, nakarmiła słodkimi bułeczkami, potem pokazała fotografię swoich znajomych pupilek, pańien Garatynskich, które powychodziły już zamąż, pokazała też egzaminacyjne stopnie Kati i Kosty. Stopnie były bardzo dobre, żeby jednak wydały się jeszcze lepszemi, Marja Konstantinowna z westchnieniem poskarżyła się, że teraz tak trudno uczyć się w gimnazjum... Opiekowała się swoim gościem, a równocześnie litowała się nad tą kobietą i bolała na myśl, że przez obecność swoją Nadieżda Fiodorowna może wyrzucić zły

wpływ na moralność Kosti i Kati i cieszyła się, że jej Nikodima Aleksandrycza nie było w domu. Bowiem, zdaniem jej, wszyscy mężczyźni gustują w „takich”, więc Nadieżda Fiodorowna mogłaby mieć zły wpływ i na Nikodima Aleksandrycza również.

W czasie rozmowy Marja Konstantinowna wciąż pamiętała, że dziś wieczorem ma być majówka i że von Koren usilnie prosił, żeby nie wspominać o tem, „tym makakom”, czyli Łajewskiemu i Nadieżdzie Fiodorownie; wygadała się jednak niechcący, spłoniła się po uszy i oświadczyła z pomieszaniem:

— Mam nadzieję, że i państwo będą!

VI.

Umówiono się wyjechać siedem wiorst za miasto drogą, wiodącą na południe, zrobić popas wpobliżu duchanu, przy spływie rzeczek Czarnej i Żółtej i ugotować zupę rybną. Wyjazd nastąpił koło godziny szóstej. Naprzędzie jechał szarabanem Samojlenko i Łajewskij, za nimi powozem zaprzężonym w trójkę koni, Bitiugowa, Nadieżda Fiodorowna, Katia i Kostia; wieźli ze sobą kosz z wiktuałami i naczynia. Następnym powozem jechał prystaw Kirilin i młody Aczmjanow, syn tego samego kupca Aczmjanowa, któremu Nadieżda Fiodorowna była winna trzysta rubli; naprzeciw zaś nich, na ławeczce siedział skurczony, z podwinętymi nogami, z włosami zaczesanemi na skronie, malutki i nader schludny Nikodim Aleksandrycz. Na końcu jechał von Koren z djakonem; u stóp djakona stał kosz z rybami.

— Wprawo! — Darł się na całe gardło Samojlenko, gdy spotykano na drodze arbę, albo abchazczyka, jadącego na ośle.

— Za dwa lata, gdy będę już miał odpowiednie fundusze i ludzi, udam się na wyprawę — opowiadał von Koren djakonowi. — Będę szedł od Władywostoku do cieśniny Berynga, następnie od cieśniny do ujścia Jeniseju. Sporządzimy mapę, zapoznamy się z fauną i zajmiemy się dokładnie geologją, oraz antropologicznymi i etnograficznymi badaniami. Od pana będzie zależało, żeby wybrać się ze mną, albo nie.

— To jest niemożliwe — odparł djakon.

— Dlaczego?

— Jestem człowiekiem zależnym, rodzinnym.

— Połowica panu pozwoli. Zabezpieczymy ją. A jeszcze lepiej, żeby pan ją namówił, by dla dobra ogółu wstąpiła do klasztoru. Pozwoliłoby to panu samemu na wstąpienie do zakonu i na wzięcie udziału w ekspedycji w charakterze księdza - zakonnika. Mogę to panu ułatwić.

Djakon milczał.

— Zna się pan dobrze na swojej teologii?

— Dość kiepsko.

— Hm... Nie będę panu mógł udzielić żadnych wskazówek w tym zakresie, gdyż sam nader mało obznajmiony jestem z teologją. Niech mi pan da spis książek, które są potrzebne, to panu w zimie prześlę z Petersburga. Będzie pan też musiał przeczytać pamiętniki kapłanów-podróżników. Trafiają się pomiędzy nimi dobrzy etnologowie i znawcy języków wschodnich. Zaznajomienie się z nimi ułatwi panu przystąpienie do rzeczy. No, a tymczasem, dopóki niema

książek niech pan nie marnuje czasu, niech pan przychodzi do mnie, zajmiemy się kompasem, przestudujemy meteorologję. Wszystko to jest ogromnie potrzebne.

— Ano niby zapewne... — Wymruczał djakon i roześmiał się. — Staralem się o miejsce w Rosji Środkowej i mój wujaszek protojerej*) obiecał mnie poprzeć. Gdybym wyjechał z panem to będzie wyglądało, że go napróżno fatygowałem.

— Nie rozumiem pańskiego wahania. Pozostając zwykłym djakonem, który ma obowiązek odprawiać nabożeństwa w dniu świąteczne jedynie, w pozostałe zaś gnuśnieć w beczynności, pan nawet po dziesięciu latach będzie tem, czem jest dzisiaj i przybędą panu chyba tylko wasy i bródka; tymczasem po powrocie z ekspedycji, po tych samych dziesięciu latach zostanie pan innym człowiekiem, z bogaci się pan świadomością, że jednak czegoś pan dokonał.

W powozie, wiozącym panie, rozległy się okrzyki przerażenia i zachwytu. Ekwipaże jechały drogą przekopaną w całkowicie prostopadłym brzegu i wszystkim się wydawało, że galopują wzdłuż półki, przymocowanej do wysokiego muru i że powozy łąda chwila spadną w przepaść. Naprawo rozścielało się morze, nalewo była nierówna bronzowa ściana z czarnemi korzeniami, zgóry zaś, nachylone, zda się, ze strachem i ciekawością, patrzyły wdół postrzępione gałęzie drzew iglastych. Po chwili znowu pisk i śmiechy: trzeba było przejechać pod olbrzymim, zwisającym głazem.

*) Godność kapłańska. Przyp. Tłum.

— Nie rozumiem, po jakiego djabła jadę z wami. — Powiedział Łajewskij. — Co za głupota i pospolitość! Powiniennem wyjechać na północ, ratować się, aż tu nie wiadomo poco jadę na tę idjotyyczną majówkę.

— Zobaczylbyś lepiej co za panorama! — Odparł Samojlenko, gdy konie skręciły wlewo i otworzył się widok na dolinę rzeczki Żółtej i błysnęła sama rzeczka — żółta, mętna, szalona...

— Nic w tem nie widzę ładnego, Saszo. — Odpowiedział Łajewskij. — Zachwycać się bezustannie przyrodą, to znaczy podkreślać ubóstwo własnej wyobraźni. W porównianiu z tem, co mi może dać moja wyobraźnia, wszystkie te strumyczki i skały — to lichota i nic więcej.

Powozy jechały brzegiem rzeczki. Wysokie gorzyste brzegi zbliżały się do siebie, dolina zwężała się i przechodziła w wąwóz; kamienista góra, obok której przejeżdżano, ukuta była przez przyrodę z olbrzymich głazów, cisnących się wzajemnie z tak okropną siłą, że Samojlenko mimowoli postękiwał za każdym razem, gdy wzrok jego padł na nie. Ponura i piękna góra tu i ówdzie była porżnięta szczelinami i wąwozami. Ziała z nich na wycieczkowiczów wilgoć i tajemniczość; poprzez wąwozy widać było inne góry brunatne, różowe, liljowe, perłowe lub zalane jaskrawym blaskiem. Od czasu do czasu, gdy mijano wąwozy, słyhać było, jak gdzieś tam ze szczytów spadała woda i obijała się po kamieniach.

— Ach, przekłete góry — wzdychał Łajewskij. — Jak mi one obrzydły!

W miejscu, gdzie rzeczka Czarna wpadała do

Żółtej, a czarna, przypominająca atrament woda brudziła żółtą i walczyła z nią, opodal drogi stał duchan tataru Kerbałaja, z zatkniętym na dachu sztandarem rosyjskim i z szyldem, na którym było wypisane kre-
dą: „Przyjemny duchan”. Wokół duchanu rozciągał się niewielki, grodzony płotem ogródek, kędy były rozstawione stoły i ławki, a pośród nędznego kolczastego żywopłotu wystrzelał w górę jeden — jedyny cyprys, piękny i ciemny.

Kerbałaj, mały, ruchliwy tatar w granatowej rubaszce i białym fartuchu, stał na drodze i, trzymając się za brzuch, kłaniał się nisko przejeżdżającym powozom, szczerząc w uśmiechu białe, lśniące zęby.

— Jak się masz, Kerbałajku! — Zawołał Samojlenko. — Odjedziemy sobie nieco dalej, a ty przydźwigaj nam samowar i krzesła. Żwawo!

Kerbałaj kiwał ostrzyżonym łbem, coś zamamrotał i dopiero ci, co siedzieli w ostatnim powozie, mogli usłyszeć: „są forele, wasza ekscelencjo!”

— Przydźwigaj, przydźwigaj! — Odpowiedział von Koren.

Powozy odjechały ze sto kroków od duchanu i zatrzymały się. Samojlenko wybrał niewielką łączkę z porozrzucanymi kamieniami, na których można było się rozsiaść. Leżało tam też zwalone burzą drzewo z wyrwanymi puszystymi korzeniami i zeschniętym igliwem. Przez rzeczulkę był przerzucony chwiejny drewniany mostek, zaś na przeciwległym brzegu, akurat naprzeciwko, stała na czterech niewysokich palach szopa do suszenia kukurydzy, przypominająca swym wyglądem chatkę na kurzych łapkach; do drzwiczek szopy była przystawiona drabina.

Pierwszem wrażeniem było, że już stąd nigdy nikt nie potrafi się wydostać. Ze wszystkich stron, gdzie tylko rzucić okiem, piętrzyły się i napierały góry, zaś od strony duchanu i ciemnego cyprysu dziwnie śpiesznie nadbiegał wieczorny mrok, przez co zakrzywiona dolina rzeczki Czarnej zwięzła się coraz bardziej, a góry rosły wzwyż.

— Uroczo! — Powiedziała Marja Konstantinowna, robiąc z zachwytu głębokie wdechy. — Dzieci, spójrzcie, jak pięknie! Jaka cisza!

— Rzeczywiście ładnie — zgodził się Łajewskij, któremu widok przypadł do gustu i, niewiedomo czemu, gdy spojrział w niebo, a potem na błękitny dymek, unoszący się z komina duchanu, zrobiło mu się smutno. — Tak, ładnie! — Powtórzył.

— Niechże pan opisz ten widok! — Poprosiła rzewnie Marja Konstantinowna.

— Poco? — Spytał Łajewskij. — Wrażenie mocniejsze jest od każdego opisu. To bogactwo barw i dźwięków, którem przyroda obdarowuje wszystkich za pośrednictwem wrażeń, pisarze odzwierciadlają swym bełkotem w ohydny, do niepoznania zmienionym obrazie.

— Czyżby? — Rzucił oziębłe von Koren, który właśnie wybrał sobie największy kamień tuż przy wodzie i usiłował wejść nań, żeby tam usiąść. — Czyżby? — Powtórzył, przyglądając się Łajewskiemu uporczywie. — A Romeo i Julja? A, dajmy na to, Ukraińska noc Puszkina? Przyroda mogłaby przyjść i do stópek kornie im się pochylić.

— Możliwe... — Zgodził się Łajewskij, który nie miał teraz chęci ani zastanawiać się, ani zaprzeczać.

— Chociaż — powiedział po krótkiej chwili — cóż to jest w istocie Romeo i Julja? Piękna, poetyczna, święta miłość — to róże, poza któremi kryje się zgniltzana. Romeo jest takim samym bydlakiem, jak wszyscy.

— O czemkolwiek zacznie się z panem mówić, wszystko sprowadza pan do... — Von Koren spojrział na Katię i nie dokończył.

— Do czego wszystko sprowadzam?

— Mówi się do pana, na przykład: „jakże piękna jest kiść winogronowa!” A pan: „tak, ale zato jaka jest wstrętna wtedy, gdy się ją przeżuwa i trawi w żołądku”. Poco to mówić? Nic w tem niema nowego i... wogóle dziwny sposób.

Łajewskij wiedział, że von Koren nie lubi go, to też miał przed nim obawę i czuł się w jego obecności tak, jakby wszystkim było ciasno i jakby mu ktoś stał za plecami. Nie odpowiedział nic, odszedł nabok i zaczął żałować, że się tu wybrał.

— Panie i panowie, marsz po chróst na ognisko!
— Wydał rozkaz Samojlenko.

Wszyscy ruszyli w różne strony i na miejscu pozostał tylko Kirilyn, Aczmjanow i Bitiugow. Kerbałaj przyniósł krzesła, rozesał na ziemi dywan i ustawił kilka butelek wina. Prystaw Kirilin był to wysoki i postawny mężczyzna. Bez względu na pogodę zawsze zarzucał płaszcz na swój kitel, a z wyniosłości, powagi w ruchach i niskiego, zlekka schrypniętego głosu przypominał prowincjonalnych młodych policmajstrów. Wyraz twarzy miał zbolwały i senny, jakby go tylko co, wbrew jego chęciom, zbudzono.

— Cóżes to, bydlaku przyniósł? — Zapytał Kerbałaja, zwolna cedząc każde słowo. — Kazalem, żebyś

podał „Kwarelu”, a ty coś przyniósł, tatarska mordo? He? Co?

— Mamy dużo swojego wina, Jegorze Alekseiczu.

— Nieśmiało i grzecznie wtrącił Nikodim Aleksandrycz.

— Proszę? Ale ja życzę sobie, żeby i moje wino było. Biorę udział w majówce, więc sądzę, że mam całkowite prawo dołączyć swoją składkę. Są-dzę! Przynieś dziesięć butelek.

— Pocóż tak dużo? — Zdziwił się Bitiugow, który wiedział, że Kirilin nie ma pieniędzy.

— Dwadzieścia butelek! Trzydzieści! — Krzyknął Kirilin.

— To nic, niechtam — szepnął Aczmjanow do Bitiugowa. — Ja zapłacę.

Nadieżda Fiodorowna była w wesołym, figlarnym usposobieniu. Miała chęć skakać, śmiać się, wydrzeźniać, kokietować. W taniej sukience z perkaliku w niebieskie kółka, w czerwonych pantofelkach i w tym samym słomkowym kapeluszu wydawała się sobie maleńką, wiosnianą lekką i powiewną, niby motylek. Wbiegła na chwiejny mostek, przez chwilę patrzyła na wodę, żeby się zakręciło w głowie, potem krzyknęła i ze śmiechem popędziła na tamten brzeg do suszarki, i zdawało jej się, że wszyscy mężczyźni, nawet Kerbałaj, podziwiają ją. Gdy, wśród pośpiesznie nadciągających mroków, drzewa zaczęły stapiać się z górami, konie z powozami, a w oknach duchanu rozbłysło światło, wdrapała się po wijącej się pośród kamieni i kolczastych krzaków ścieżce na szczyt góry i usiadła na kamieniu. Wdole płonęło już ognisko. Przy ogniu uwijał się djakon z zakasanemi rę-

kawami, zaś jego długi czarny cień, niby wskazówka, posuwał się wokół ogniska. Djakon dorzucał chróstu i mieszał w kotle łyżką, przywiązaną do długiego kijka. Samojlenko z miedziano-purpurowem obliczeniem krzątał się, niczem we własnej kuchni, i ryczał wściekle:

— Gdzież sól, moi państwo? Zapomnieliście, oczywiście? Cóż to, porozsiadali się wszyscy, jak udzielni książęta, a ja jeden mam o wszystkim myśleć?

Na zwalonem drzewie siedzieli tuż przy sobie Łajewskij z Bitiugowem, i w zamyśleniu wpatrywali się w ogień. Marja Konstantinowna, Katia i Kostia rozpakowywali z koszyczków serwis do herbaty oraz talerze. Von Koren skrzyżował ręce i, wsparty nogą o kamień, stał tuż przy wodzie i nie myślał o niczem. Czerwone odblaski ognia ślizgały się wraz z cieniami dookoła ciemnych postaci ludzkich, trzepotały po górze, po drzewach, na mostku, na suszarni. Przeciwległy, urwisty brzeg rzeczki, oświetlony jaskrawie, migotał i odbijał się w rzeczce, zaś wartko tocząca się, burzliwa woda szarpała to odbicie na kawały.

Djakon poszedł po ryby, które Kerbałaj czyścił i mył na brzegu, zatrzymał się jednak w pół drogi i rozejrzał się wokoło.

— Boże drogi, jak pięknie! — Pomyślał. — Ludzie, kamienie ciemności, pokraczne drzewo — nic więcej, ale jakie to piękne!”

Na przeciwległym brzegu, pod suszarnią, zjawili się jacyś nieznajomi ludzie. Ze względu na to, że światło migotało, a dym z ogniska walił na tamtą stronę, nie można było rozróżnić tych wszystkich

postaci naraz i widziało się tylko fragmenty: raz kudłatą czapę i siwą brodę, to chabrową rubaszkę, to łachmany od ramienia do kolan i kinzał wpoprzek brzucha, to młodą, ogorzałą twarz z czarnymi brwiami tak gęstymi i ostro odcinającymi się, jakby były węglem wyrysowane. Pięciu z nich zasiadło kołem na ziemi, pozostałych pięciu poszło do suszarki. Jeden stanął we drzwiach plecami do ogniska, ręce założył wtył i zaczął opowiadać coś, zapewne bardzo ciekawego, bo gdy Samojlenko dołożył chróstu i ogień buchnął, parsknął iskrami i jaskrawo oświetlił suszarkę, widać było, jak spoza drzwi spoglądały dwa oblicza, spokojne, odzwierciadlające najgłębszą uwagę i jak ci, co siedzieli wkrąg, odwrócili się i zaczęli wsłuchiwać się w opowiadanie. Po pewnej chwili ci, co siedzieli wkrąg, jęli zcicha nucić jakąś przeciągłą melodyjną, przypominającą wielkopostne pienia pieśń... Wsłuchując się w te dźwięki, wyobraził sobie djakon, jak to będzie, za dziesięć lat, kiedy już wróci z wyprawy: oto jest młodym księdzem-zakonnikiem, misjonarzem, autorem o znanem nazwisku i świętej przeszłości; zostaje wyświęcony na archimandrytę, a potem na archijereja; odprawia mszę w katedralnym soborze; w złotej mitrze, z obrazem świętym na piersi, wstępuje na ambonę i, błogosławiąc masy ludu trzyramiennym i dwuramiennym świecznikiem, intonuje: „Wejrzyj z niebios, Panie, i uźrzyj i nawiedź winnicę oną, którąc prawica Twoja zasadziła!” Zaś dzieci anielskimi głosikami śpiewają w odpowiedzi: „Święty Boże...”

— Djakonie, gdzie ta ryba? — Rozległ się głos Samojlenki.

Powróciwszy do ogniska, djakon wyobraził sobie, jak to w skwarny lipcowy dzień, poprzez zakurzoną drogę, ciągnie procesja: na przedzie chłopci niosą chorągwie, dalej baby i dziewuchy z ikonami, za nimi chór chłopców i djacek z podwiązanym policzkiem i ze słomą we włosach, dalej, według porządku, on, djakon, za nim pop w skufejce*) na głowie i z krzyżem w dłoniach, styłu zaś wali chmara chłopów, kobiet, chłopaków; jest wśród tłumu i popadja i djakonowa, obydwie w chusteczkach. Śpiewa chór, kwilą dzieciaki, pokrzykują przepiórki, dzwoni pieśnią skowronek... Oto zatrzymali się i skropili święconą wodą stado... Znów ruszyli. Na klęczkach o deszcz błagają. Potem uczta, biesiady.

„I to też dobre...” Pomyślał djakon.

VII.

Kirilin i Aczmjanow wspinali się po ścieżce na górę. Aczmjanow odłączył się i przystanął, Kirilin zaś podszedł do Nadzieźdy Fiodorowny.

— Dobry wieczór! — Powiedział salutując.

— Dobry wieczór.

— Tak więc! — Powiedział Kirilin, patrząc w niebo i rozważając coś.

— Co — tak więc? — Zapytała Nadzieźda Fiodorowna po chwili milczenia. Spozrzegła, że Aczmjanow obserwuje ich.

— Więc znaczy — wyskandował oficer — że na-

*) Czapka okrągła w rodzaju piuski. Przyp. tłum.

sza miłość umarła nim, że tak powiem, zdążyła rozkwitnąć. Jak pani rozkaże to rozumieć? Czy to ma być ze strony pani pewnego rodzaju kokieterja, czyli też uważa mnie pani za kpa, z którym można postępować, jak się komu podoba?

— To była omyłka! Proszę mi dać spokój! — Odpowiedziała oschle Nadieżda Fiodorowna. Z lekkiem przypatrywała mu się teraz, tego pięknego, czarnego wieczoru i zapytywała siebie zdumiona: „Czyż doprawdy była taka chwila, kiedy ten człowiek podobał jej się i był jej tak bliski?”

— Tak więc! — Powiedział Kirilin; stał przez chwilę w milczeniu, rozważył coś i dodał: — Cóż? Poczekamy, aż pani będzie w lepszym usposobieniu, narazie zaś ośmielam się zapewnić, że jestem przyzwyczajonym człowiekiem, i na powątpiewanie o tem nie pozwolę nikomu. Mną bawić się nie wolno! Adieu!

Zasalutował i oddalił się, przedzierając się między krzakami. Po krótkiej chwili z wahaniem przybliżył się Aczmjanow.

— Ładny dziś wieczór! — Powiedział z lekkim ormiańskim akcentem.

Był niebrzydki, ubierał się modnie, miał miłą, właściwą dobrze ułożonym młodzieńcom prostotę w zachowaniu, ale Nadieżda Fiodorowna nie lubiła go za to, że była dłużna jego ojcu trzysta rubli; nieprzyjemnie jej też było, że na majówkę został zaproszony sklepikarz i było przykro, że musiał on podejść do niej właśnie tego wieczoru, kiedy miała taką anielskość w duszy.

— Wogóle majówka udała się. — Dorzucił po chwili milczenia.

— Tak, — zgodziła się i, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o swym długu, dodała niedbale: — Aha, niech pan powie w swoim sklepie, że w tych dniach wstąpi Iwan Andreicz i zapłaci te trzysta... czy też nie pamiętam ile.

— Gotów jestem dodać jeszcze trzysta, żeby tylko pani codziennie nie przypomniała o tym długu. Pocóż ta proza?

Nadieżda Fiodorowna roześmiała się; przyszła jej do głowy zabawna myśl, że gdyby była niedość etyczną i żeby tylko chciała, to w jednej sekundzie mogłaby się pozbyć długu. Gdyby tak, naprzykład, temu młodemu ładnemu głuptaskowi zawrócić głowę! Jakieby to, prawdę mówiąc, było komiczne, bezsensowne, dzikie! I nagle napadła ją chęć, żeby go rozkochać, zrujnować, rzucić, a potem zobaczyć, co z tego wyniknie.

— Niech mi pani pozwoli dać sobie jedną radę — nieśmiało rzekł Aczmjanow. — Błagam, niech się pani wystrzeżga Kirilina. Rozповіда wszędzie o pani straszne rzeczy.

— Mało się interesuję tem, co byle dureń o mnie opowiada, — oświadczyła oziębłe Nadieżda Fiodorowna, ale niepokój owładnął nią i zabawny pomysł pobawienia się z młodym, przystojnym Aczmjanowem nagle stracił urok.

— Trzeba zejść nadół — powiedziała. — Wołają.

Nadole zupa rybna była już gotowa. Napełniono właśnie talerze i wchłaniano ją z owem nabożeństwem, z jakim się to czyni jedynie na majówkach; wszyscy więc stwierdzali, że zupa jest nadzwyczaj smaczna i że w domu nigdy nie jadło się nic tak sma-

kowitego. Jak zwykle na wszystkich majówkach, gubiono się w stertach serwetek, paczuszek, niepotrzebnych, pełzających z wiatrem, zatłuszczonych papierów; nikt nie wiedział, gdzie czyja szklanka i gdzie czyj chleb; rozlewano wino na dywan i na własne kolana, rozsypywano sól; wokół zaś było ciemno i ognisko nie płonęło już tak jaskrawie, ale wszyscy byli rozleniwieni i nikt nie kwapił się wstać i dorzucić chróstu. Pili wino i Kosti i Kati też dano po pół szklanki. Nadieżda Fiodorowna wypła szklankę, potem drugą i zapomniała o Kirilinie.

— Bajeczna majówka, uroczy wieczór — powiedział Łajewskij, wpadając pod wpływem wina w wesoly nastrój.—Przełożyłbym jednak ponad to wszystko porządną zimę: „Srebrzy się mrozem oszroniony bobrowy kołnierz.”

— Co kto lubi — zauważył von Koren.

Łajewskij nagle zaczął się źle czuć: plecy prażył mu żar ogniska, zaś pierś i twarz — nienawiść von Korena; ta nienawiść przyzwoitego i mądrego człowieka, w której kryła się, prawdopodobnie, poważna przyczyna, poniżała go, odbierała mu siłę, więc nie mając mocy, by się jej przeciwstawić, powiedział łaszczącym się tonem:

— Kocham namiętnie przyrodę i żałuję, że nie jestem przyrodnikiem. Zazdroszczę panu.

— A ja nie żałuję, ani zazdroszczę — orzekła Nadieżda Fiodorowna. — Nie rozumiem, jak można serjo zajmować się robaczkami i owadami, kiedy lud cierpi.

Łajewskij podzielał jej zdanie. Był najzupełniej nieobznajmiony z naukami przyrodniczymi i

wobec tego nigdy nie mógł pogodzić się z autorytatywnym tonem i uczonym, wysoce poważnym wyglądem osób, które ślęczą nad mackami mrówki, czy nóżkami karalucha; zawsze irytowało go, że ci ludzie na podstawie macek i jakiejś tam protoplazmy (wyobrażał ją sobie, niewiadomo czemu, pod postacią ostrygi) uważają się za powołanych do rozstrzygnięcia problemów, zawierających w sobie pochodzenie i życie człowieka. Ale wydało mu się, że w słowach Nadieždy Fiodorowny uchwycił kłamstwo, więc powiedział dlatego tylko, żeby jej zaprzeczyć:

— Nie chodzi o robaczki, tylko o wnioski!

VIII.

Późno, koło godziny jedenastej zaczęto wsiadać do powozów, aby jechać do domu. Usiedli już wszyscy i brakowało jedynie Nadieždy Fiodorowny oraz Aczmjanowa, którzy bawili się w gonionego po tamtej stronie rzeki i śmieli się głośno.

— Prędzej, moi państwo! — Krzyknął do nich Samojlenko.

— Nie należałoby paniom dawać wina — półgłosem stwierdził von Koren.

Znużony majówką, nienawiścią von Korena i własnymi myślami, Łajewskij wyruszył na spotkanie Nadieždy Fiodorowny. Gdy czując się lekką, niby piórko, wesołą, radosną, zdyszana i roześmiana kobieta pochwyciła go za obie ręce i przytuliła głowę do jego piersi, cofnął się o krok i odezwał się ostro:

— Zachowujesz się jak... kokotka.

Wypadło to już nazbyt brutalnie, że aż mu samemu zrobiło się jej żal. Z zagniewanej, znużonej jego twarzy wyczytała nienawiść, litość, niezadowolenie z siebie, i nagle upadła na duchu: Zrozumiała, że przebrała miarę, zachowywała się zanadto swobodnie. Więc zasmucona, czując się ciężką, grubą i pijaną, wsiadła razem z Aczmjanowem do pierwszego z brzegu wolnego powozu. Łajewskij usiadł z Kirilinem, zoolog z Samojską, djakon z paniami i kawalkada ruszyła.

— Otóż takie są te makaki... — Zaczął von Koren, otulając się płaszczem i przymykając oczy. — Słyszałeś, nie chciałaby się zajmować robaczkami, dlatego, że lud cierpi. Takie sądy wydają o nas wszystkie makaki. Niewolnicze, podstępne, od dziesięciu pokoleń zahukane bitem i pieścią plemię; drży, wpada w zachwyt i pali kadzidła jedynie wobec przemocy, ale wpuścił tylko makaka na wolny teren, gdzie nikt nie może wziąć za łeb, to się dopiero rozwydrzy i da we znaki. Spójrz, jakie to śmiałe na wystawach obrazów, w muzeach, teatrach, albo kiedy wypowiada sądy o nauce: puczy się, staje dęba, wymyśla, krytykuje... I właśnie krytykuje — cecha niewolnicza! Przysłuchaj się: ludzi wolnych profesyj krytykuje się częściej, niż szubrawców — to dlatego, że społeczeństwo w trzech czwartych składa się z niewolników, z takich oto makaków. Niema wypadku, by niewolnik wyciągnął dłoń i powiedział szczerze „dziękuję” za ludzką pracę.

— Nie rozumiem o co ci chodzi! — Odrzekł Samojski, ziewając. — Bidulka, w prostocie swojej, zapragnęła pogadać z tobą o czemś mądrym, a

ty zaraz wysnuwasz wnioski. Jesteś zły o coś na niego, no i za jednym zamachem na nią. A to wspaniała kobieta!

— Et, dałbyś spokój! Zwyczajna utrzymanka, rozpustna i nikczemna. Posłuchaj, mój drogi, kiedy spotykasz wiejską babę, która nie żyje z mężem, nic nie robi i tylko szczyrzy zęby, to mówisz do niej: idź do pracy. Czemuż tutaj wpadasz w onieśmienie i boisz się powiedzieć prawdę? Jedynie dlatego, że Nadieżda Fiodorowna jest na utrzymaniu urzędnika, nie marynarza.

— Cóż jej mam zrobić? — Rozgniewał się Samojlenko. — Zbić, czy co?

— Nie pochlebiać występкови. Wyklinamy występki tylko za oczy, a to przypomina pokazywanie figi w kieszeni. Jestem zoologiem czy socjologiem, co na jedno wychodzi, ty — lekarzem; społeczeństwo nam ufa. Mamy obowiązek wytknąć niebezpieczeństwo, którem zagraża społeczeństwu i pokoleniom następnym istnienie panius w guście owej Nadieżdy Iwanowny.

— Fiodorowny — poprawił Samojlenko. — A cóż winno uczynić społeczeństwo?

— Społeczeństwo? To jego rzecz. Według mnie, najprostsza i najniezawodniejsza droga, to — przemoc. Manu militari należałoby tę niewiastę odesłać do męża, a gdyby mąż nie przyjął, to oddać na roboty przymusowe, albo do jakiegoś domu poprawczego.

— Uff! — Westchnął Samojlenko; milczał przez chwilę, zaczem zapytał półgłosem. — Mówiłeś jakoś niedawno, że takich ludzi, jak Łajewskij, należy tępić... Powiedz mi, gdyby tak tego... dajmy na to rząd,

albo społeczeństwo poleciło ci usunąć Łajewskiego, tobyś... zdecydował się?

— Ręka by mi nie drgnęła.

IX.

Po przyjeździe do domu, Łajewskij i Nadieżda Fiodorowna weszli do swych mrocznych, dusznych, nudnych pokoi. Milczeli oboje. Łajewskij zapalił świecę, a Nadieżda Fiodorowna usiadła, nie zdejmując okrycia, ani kapelusza i spojrzała na Łajewskiego smutnemi, pełnemi poczucia winy oczami.

Zrozumiał, że czeka na rozmowę; ale wszelkie rozmowy byłyby nudne, bezużyteczne i męczące, a czuł się bardzo źle na duchu przez to, że nie potrafił się powściągnąć i zachował się po grubiańsku. Przypadkowo wymacał w kieszeni list, który codziennie miał zamiar jej przeczytać i pomyślał, że gdyby tak teraz pokazać ten list, to odwróciłoby to jej uwagę w innym kierunku.

— „Czas już wyświecić stosunki — pomyślał. — Oddam; niech będzie, co ma być”.

Wyjął list i podał Nadieżdzie Fiodorownie.

— Przeczytaj. To ciebie się tyczy.

Powiedziawszy to, poszedł do swego gabinetu i położył się na kanapie pociemku, bez poduszki. Nadieżda Fiodorowna przeczytała list; wydało się jej, że sufit opadł, a ściany zstąpiły się tuż przy niej. Zrobiło się nagle ciasno, ciemno, strasznie. Pośpiesznie przeżegnała się trzykrotnie i wyszeptwała:

— Wieczny odpoczynek... wieczny odpoczynek...

I rozplakała się.

— Wania! — zawołała. — Iwanie Alekseiczu!

Odpowiedzi nie było. Myśląc, że Łajewskij wszedł i stoi poza jej krzesłem, szlochała, jak dziecko i mówiła:

— Czemuś mi nie powiedział wcześniej, że on umarł? Nie pojechałabym na majówkę, nie śmiałabym się tak okropnie... Mężczyźni pletli mi głupstwa. Co za grzech, co za grzech! Ratuj mnie, Wania, ratuj mnie... Oszalałam... Jestem zgubiona...

Łajewskij słyszał jej łkanie. Było mu nie do zniesienia duszno, serce łomotało przeraźliwie. Pode-rwał się zrozpaczony, stał przez chwilę pośrodku pokoju, namacał pociemku fotel przy biurku i usiadł.

„To więzienie... — pomyślał. — Trzeba uciec... Nie jestem w stanie...”

Na karty było już zapóźno, restauracyj w mieście nie było. Położył się i zatkał uszy, żeby nie słyszeć łkań. aż nagle przypomniał sobie, że można pójść do Samojlenki. Żeby nie przechodzić koło Nadieжды Fiodorowny, wydostał się przez okno do ogródka, przelazł przez ogrodzenie i znalazł się na ulicy. Było ciemno. Przed chwilą przyszedł jakiś okręt, sądząc ze świateł, wielki pasażerski.. Zazgrzytał łańcuch kotwicy. Od brzegu w kierunku okrętu żwawo poruszyło się czerwone światelko: płynęła szalupa celna.

„Pasażerowie śpią sobie w kajutach”... — Pomyślał Łajewskij i pozazdrościł, że jest im spokojnie.

Okna domu Samojlenki były pootwierane. Łajewskij wpatrywał się w jedno, potem w drugie: w pokojach było ciemno i cicho.

— Aleksandrze Dawidyczu, śpisz? — Zawołał.

— Aleksandrze Dawidyczu!

Rozległ się kaszel i strwożony głos:

— Kto tam? Kiego djabła?

— To ja, Aleksandrze Dawidyczu. Proszę mi wybaczyć.

Po chwili otworzyły się drzwi; zajaśniało światło lampki oliwnej i ukazał się olbrzymi Samojlenko, cały na białło i w białej szlafmicy.

— Czego chcesz? — Zapytał, ciężko oddychając ze snu i drapiąc się. — Poczekaj, zaraz otworzę.

— Nie fatyguj się, ja przez okno...

Łajewskij wlaźł przez okno, zbliżył się do Samojlenki i porwał go za rękę.

— Aleksandrze Dawidyczu — wykrztusił drżącym głosem. — Ratuj mnie. Błagam cię, zaklinam, zrozum mnie! Sytuacja moja jest okropna. Jeżeli potrwa jeszcze tak dzień, czy dwa, to uduszę sam siebie, jak... jak psa!

— Czekaj... O co ci właściwie chodzi?

— Zapal świecę.

— Och, och... — westchnął Samojlenko, zapalając świecę. — Boże mój, Boże... To już druga godzina, kochasiu.

— Przepraszam cię, ale nie mogę usiedzieć w domu — powiedział Łajewskij. Czuł wielką ulgę na widok światła i obecności Samojlenki. — Ty, Aleksandrze Dawidyczu, jesteś moim jedynym, moim najlepszym przyjacielem... Cała nadzieja w tobie. Chcesz, czy nie chcesz, na miłość Boską ratuj mnie. Żeby tam nie wiem co, muszę stąd wyjechać. Pożycz mi pieniądze.

— Och mój Boże, mój Boże! — Westchnął Sa-

mojlenko, drapiąc się. — Zasypiam i słyszę gwizdek: okręt przyszedł. A potem ty... Dużo ci potrzeba?

— Conajmniej ze trzysta rubli. Jej muszę zostawić sto i sobie na podróż dwieście... Winien ci już jestem koło czterystu, ale odeślę... wszystko.

Samojlenko zgarnął w jedną dłoń obydwie bokoborody, rozkraczył nogi i zamyślił się.

— Tak... — Wymruczał, pogrążony w rozważaniach. — Trzysta... — Tak... ale ja nie mam tyle. Trzeba będzie pożyczyć od kogoś.

— Pożycz, na miłość Boską! — Powiedział Łajewskij, wycytując z twarzy Samojlenki, że chce mu dać pieniądze i że da pewnością. — Pożycz, a ja napewno oddam. Odeślę z Petersburga, jak tylko tam przyjadę. Bądź o to spokojny. Wiesz, co Sasza, — dodał ożywiając się — napijmy się wina!

— Hm... Można i wina.

Weszli do stołowego pokoju.

— A cóż z Nadieżdą Fiodorowną? — Zapytał Samojlenko, stawiając na stole trzy butelki i talerzyk z brzoskwiniami. — Czyżby miała zostać tutaj?

— Wszystko urządzę, wszystko zaaranżuję... — Powiedział Łajewskij, czując nieoczekiwany przypływ radości. — Przyślę jej potem pieniądze, przyjedzie do mnie... Ustalimy tam na miejscu nasze stosunki. Twoje zdrowie, druhu!

— Poczekaj! — Powiedział Samojlenko. — Napij się spoczątku tego... To z mojej winnicy. Ta butelka pochodzi z winnicy Nawaridze, a ta od Achatułowa... Spróbuj wszystkie trzy gatunki i powiedz szczerze... Moje, jakgdyby nieco kwaskowate. He? Nie uważasz?

— Tak. Pocieszyłeś mnie, mój drogi. Dzięki ci. Odżyłem.

— Kwaskowate?

— A diabli go wiedzą, nie wiem. Ale z ciebie wspaniały, cudowny człowiek!

Patrząc na bladą, łagodną twarz Łajewskiego, Samojlenko przypomniał sobie orzeczenie von Korena, że takich ludzi należy tępić, i Łajewskij wydał mu się słabem, bezradnem dzieckiem, które każdy może skrzywdzić i zgnieść.

— Ale jak pojedziesz, to się pogodź z matką — powiedział. — Nie uchodzi.

— Tak, tak, bezwzględnie.

Milczeli przez chwilę. Gdy opróżnili pierwszą butelkę, Samojlenko dodał:

— Pogodziłbyś się też z von Korenem. Obydwaj jesteście najdoskonalszymi, najrozumniejszymi ludźmi, a patrzycie na się, jak te wilki.

— Tak, z niego rzeczywiście najdoskonalszy, najrozumniejszy człek — zgodził się Łajewskij, gotowy obecnie cały świat chwalić i wszystkim wybaczyć. — To nadzwyczajny człowiek, ale zbliżenie się z nim jest dla mnie niemożliwe. Jestem naturą miękką, słabą, uległą; możliwe, że w dobrej chwili wyciągnąłbym nawet do niego rękę, ale on odwróciłby się ode mnie... z pogardą.

Łajewskij pociągnął wina, przeszedł się z kąta w kąt i mówił, stojąc pośrodku pokoju.

— Doskonale rozumiem von Korena. To natura twarda, mocna, despotyczna. Słyszałeś, wciąż mówi o wyprawie i nie są to czcze słowa. Potrzebna mu pustynia, noc księżycowa: wokół w namiotach i pod gołem

niebem śpią jego głodni i chorzy, umęczeni ciężkimi marszami kozacy, przewodnicy, tragarze, lekarz, ksiądz, czuwa zaś tylko on sam i, niby Stanley, siedzi na składanem krześle i czuje się władcą pustyni i panem tych ludzi. On zdąża i zdąża dokądś tam, jego ludzie jęczą i mrą jeden po drugim, a on idzie i idzie, wreszcie ginie sam, mimo to jednak pozostaje despota i władcą pustyni, bowiem krzyż na jego mogile widoczny jest karawanom o trzydzieści-czterdzieści mil wokół. Żałuję, że ten człowiek nie jest wojskowym. Byłby z niego wspaniały, genialny dowódca. Umiałby topić w rzece swoją konnicę i budować z trupów mosty, a taka odwaga na wojnie potrzebniejsza jest od wszelakich fortyfikacyj i taktyk. O, ja go doskonale rozumiem! Powiedz, czemu on się tutaj obija? Czego mu tu potrzeba?

— Bada morską faunę.

— Nie. Nie, mój drogi, nie! — Westchnął Łajewskij. — Opowiadał mi na okręcie jeden podróżujący uczoney, że Czarne morze jest ubogie w faunę, i że w głębinach jego, dzięki nadmiarowi siarkowodoru, życie organiczne jest niemożliwe. Wszyscy poważni zoologowie pracują na stacjach biologicznych w Neapolu, albo w Villefranche. Ale von Koren jest samodzielny i uparty; pracuje nad Czarnem morzem dlatego, że tu nie pracuje nikt; zerwał z uniwersytetem, nie chce znać uczonych, ani kolegów, bo jest despota przede wszystkim, a dopiero potem zoologiem. I zobaczysz, że będzie z niego pociecha. Teraz już marzy o tem, że gdy powróci z ekspedycji, to wykurzy z naszych uniwersytetów intrygę i miernotę i owinie sobie uczonych wokół palca. Despotyzm w nauce jest

równie mocny, jak i na wojnie. Mieszka zaś ten von Koren już drugie lato w tej cuchnącej mieścinie dlatego, że lepiej być pierwszym na wsi, niż w mieście ostatnim. Jest tu królem i orłem; trzyma mieszkańców w karbach i przytłacza ich swym autorytetem. Wszystkim pokazał mores, miesza się do cudzych spraw, wszystko go obchodzi i wszyscy boją się go. Ja mu się wyślizguję z pazurów, czuje to i nienawidzi mnie. Nie mówił ci przypadkiem, że należy mnie zgładzić, albo oddać na roboty publiczne?

— Tak — roześmiał się Samojlenko.

Łajewskij roześmiał się również i łyknął wina.

— Ideały ma też despotyczne — ciągnął ze śmiechem, zagryzając brzoskwinia. — Zwyczajni śmiertelnicy, o ile pracują dla dobra społecznego, to mają na względzie bliźniego swego: mnie, ciebie, słowem człowieka. Dla von Korena zaś ludzie to szczeniaki i drobiazg zbyt marny, aby mógł stanowić cel jego życia. Pracuje, pójdzie na wyprawę i skręci sobie tam kark nie w imię miłości bliźniego, tylko w imię takich abstrakcyj jak ludzkość, przyszłe pokolenia, idealna rasa ludzka. Pracuje nad udoskonaleniem ludzkiego gatunku i w tych warunkach my dla niego jesteśmy tylko niewolnikami, armatniem mięsem, bydlęciem pociągowym; tych zgładziłby, albo zapakował na katorgę, tamtych znów zmiażdżyłby dyscypliną; jak Arakczejew zmusiłby do wstawania i udawania się na spoczynek na dźwięk werbla, ustanowiłby eunuchów, żeby strzegli naszej czystości moralnej, rozkazałby strzelać do każdego, kto przekracza granice naszej ciasnej, konserwatywnej etyki, a wszystko to w imię udoskonalenia gatunku ludzkiego... I cóż to jest gatunek

ludzki? Złudzenie, marzenie... Despoci zazwyczaj bywają marzycielami. Ja, mój drogi, doskonale go rozumiem. Cenię go i nie neguję jego znaczenia; na takich, jak on, świat ten stoi, bo gdyby świat był pozostawiony całkowicie tylko nam, tobyśmy, przy całej naszej dobroci oraz jaknajlepszych zamiarach, uczynili zeń to, co muchy z tego obrazu. Tak.

Łajewskij siadł obok Samojlenki i mówił w szczerem uniesieniu:

— Jestem marny, nikczemny, upadły człowiek! Powietrze, którem oddycham, to wino, miłość, słowni — dotychczas kupowałem życie za cenę kłamstwa, próżniactwa i tchórzostwa. Oszukiwałem dotychczas ludzi i siebie, cierpiałem z tej racji, lecz cierpienia moje były taniutkie i nędzne. Zginam grzbiet wobec nienawiści von Korena, bowiem są chwile, gdy sam siebie nienawidzę i gardzę sobą.

Łajewskij znów w podnieceniu przeszedł się z kąta w kąt i powiedział:

— Cieszę się, że widzę jasno swe wady i zdaję sobie z nich sprawę. Pomoże mi to do zmartwychwstania i zrobienia się innym człowiekiem. Drogi mój, gdybyś wiedział, jak namiętnie, z jaką tęsknotą pragnę swego odrodzenia. I przysięgam ci: ja będę człowiekiem! Będę! Nie wiem, czy to wino przezemnie przemawia, czy też jest tak w istocie, ale wydaje mi się, że dawno już nie przeżywałem takich świetlanych, kryształowych chwil, jak teraz u ciebie.

— Czas, kochasiu, spać... — Powiedział Samojlenko.

— Tak, tak. Przepraszam. Już zaraz.

Łajewskij zaczął szukać na meblach i oknach swojej czapki.

— Dziękuję... — Mamrotał, wzdychając. — Dziękuję... Serdeczność i dobre słowo więcej znaczą niżli jałmużna. Tyś mnie do życia wrócił.

Znalazł czapkę, stanął i ze skrucną spojrział na Samojlenkę.

— Aleksandrze Dawidyczu! — Powiedział błagalnie.

— Co?

— Pozwól mi, kochany, zostać tu na noc!

— Bądź łaskaw... czemużby nie?

Łajewskij położył się na kanapie i długo jeszcze rozmawiał z doktorem.

X.

W jakieś trzy dni po majówce, do Nadieżdy Fiodorowny nieoczekiwanie przyszła Marja Konstantinowna i nie witając się, nie zdejmując kapelusza, pochwyciła jej obie ręce, przycisnęła je do swej piersi i powiedziała z wielkiem przejęciem:

— Pani kochana, jestem wzruszona, wstrząśnięta. Nasz drogi, sympatyczny doktor zakomunikował wczoraj mojemu Nikodimowi Aleksandrowiczowi, jakoby mąż pani zakończył żywot. Pani kochana, proszę mi powiedzieć... Proszę mi powiedzieć, czy to prawda?

— Tak, prawda, umarł. — Odpowiedziała Nadieżda Fiodorowna.

— To okropne, okropne, droga pani! Ale niema

złego bez dobrego. Pani mąż był zapewne nadzwyczajnym, cudownym, świętym człowiekiem, a tacy bardziej są potrzebni w niebie, niżli na ziemi.

W twarzy Bitiugowej zadrgały wszystkie kreski i punkciki, jakgdyby drobne igiełeczki zatańczyły pod skórą, uśmiechnęła się w rozanieleniu i dławiąc się zachwytem, oświadczyła:

— A więc, jest pani wolna, kochanie. Może pani teraz z wysoko podniesionem czołem śmiało spojrzeć ludziom w oczy. Od chwili tej Pan Bóg i ludzie będą błogosławili związkowi pani z Iwanem Andreiczem. To uroczo. Drzę z radości, nie znajduję słów. Kochanie, będę waszą swatką... Takeśmy was zawsze z mężem kochali, więc państwo zezwolicie, byśmy pobłogosławili wasz uprawniony, czysty związek. Kiedy państwo macie zamiar pobrać się ?

— Nie myślałam nawet o tem. — Powiedziała Nadieżda Fiodorowna, wyzwalając swe ręce.

— To niemożliwe, pani kochana. Pani myślała, myślała!

— Słowo daję, nie myślałam! — Roześmiała się Nadieżda Fiodorowna. — Pocóż mamy brać ślub? Nie widzę żadnej potrzeby. Będziemy sobie żyli, jak żyjemy.

— Co pani mówi! — Przerwała Bitiugowa — Na Boga, co pani mówi!

— Nic się nie zmieni na lepsze przez to, że weźmiemy ślub. Przeciwnie, może być gorzej. Stracimy swobodę.

— Kochanie! Kochanie, co pani mówi! — Wykrzyknęła Marja Konstantinowna, cofając się i trze-

począć rękami. — Pani jest ekscentryczna! Niechże się pani opamięta! Ustatkuje!

— Jakto mam się ustatkować? Jeszcze nie żyłam dotąd, a pani każe mi się ustatkować!

Nadieżda Fiodorowna uświadomiła sobie, że dotychczas istotnie nie żyła jeszcze. Skończyła instytut i wyszła zamąż za niekochanego człowieka, następnie zetknęła się z Łajewskim i mieszkała z nim na tem nudnem, bezludnem wybrzeżu wciąż w oczekiwaniu czegoś lepszego. Czyż to jest życie?

„Wypadałoby się jednak pobrać..” Pomyślała, ale przypomniała sobie Kirilina i Aczmjanowa, zaczerwieniła się i powiedziała:

— Nie, to niemożliwe. Odmówiłabym, gdyby nawet Iwan Andreicz prosił o to na klęczkach.

Marja Konstantinowna przez chwilę bez słowa siedziała na kanapie, smętna, poważna i wpatrywała się w jeden punkt, zaczem wstała i rzekła odzieżle:

— Żegnam drogą panią! Przepraszam za niepokój. Mimo, iż nie przychodzi mi to łatwo, zmuszona jestem powiedzieć pani, że z dzisiejszym dniem wszystko między nami skończone i bez względu na wielki mój szacunek dla Iwana Andreicza — drzwi mego domu dla pani są zamknięte.

Wypowiedziała to oświadczenie uroczyście i sama uczuła się przytłoczona swym uroczystym tonem; twarz jej znowu zadrgała, powróciła do łagodnego, rozanielonego wyrazu, Marja Konstantinowna wyciągnęła do przestraszonej, zmieszanej Nadieżdy Fiorodowny obydwie ręce i powiedziała błagalnie:

— Kochanie, niech mi pani pozwoli choć przez

chwile być swoją matką, lub starszą siostrą! Będę względem pani szczerą, jak matka!

Nadziezda Fiodorowna uczuła w piersi takie ciepło, radość i litość nad sobą, jakgdyby istotnie zmartwychwstała i stanęła przed nią jej matka. Przygarnęła się gwałtownie do Marji Konstantinowny i przytuliła twarz do jej ramienia. Rozplakały się obydwie. Usiadły na kanapie i przez kilka minut szlochały, nie patrząc na się i nie będąc w stanie wypowiedzieć słowa.

— Kochanie moje, moje dziecię — zaczęła Bitiugowa: będę wypowiadała surowe prawdy, nie będę pani oszczędzała.

— Błagam panią, błagam panią!

— Niech mi pani zaufa, kochanie. Niech pani sobie przypomni, że ja jedna z pośród wszystkich pań przyjmowałam panią. Pani mnie przeraziła już w pierwszej chwili, nie miałam jednak siły zachować się względem pani tak, jak wszyscy. Bolałam nad dobrym Iwanem Andreiczem, jak nad synem. Mężczyzna młody, na obczyźnie, niedoświadczony, słaby, bez matki, więc bolałam, bolałam... Mąż był przeciwny znajomości z nim, ale wyperswadowałam mu... przekonałam... Zaczęliśmy przyjmować Iwana Andreicza, no a z nim, oczywiście panią też, bo inaczej obraziłby się. Mam córkę, syna... Pani rozumie, wrażliwy umysł dziecięcy, czyste serduszko... ktoby zgorzszył jednego z maluczkich... Przyjmowałam panią, a drżałam o dzieci. O, gdy pani zostanie matką zrozumie pani mój strach. A wszyscy dziwili się, że panią przyjmuję niby, przepraszam, porządną kobietę, napomykali mi... no, oczywiście, plotki, przypuszczenia...

W głębi duszy mej osądziłam panią, ale pani była taka nieszczęśliwa, nędzna, ekstrawagancyjna, że bolałam, pełna litości.

— Ale dlaczego? Dlaczego? — Spytała Nadieżda Fiodorowna, drżąc na całym ciele. — Cóż ja komu zrobiłam?

— Pani jest okropną grzesznicą. Pani złamała przysięgę, daną mężowi przed ołtarzem. Pani uwiodła cudownego młodego mężczyznę, który, gdyby nie spotkał pani, pojałby może na dozwonną towarzyszkę życia dziewczę z dobrej rodziny, ze swojej sfery i byłby teraz takim, jak wszyscy. Pani zmarnowała jego młodość. Proszę nic nie mówić, proszę nic nie mówić, kochanie! Zawsze kobiety winne. Mężczyźni w pożyciu domowym są lekkomyślni, powodują się umysłem, nie sercem, niejednego nie rozumieją, kobieta zato rozumie wszystko. Od niej wszystko zależy. Wiele jest jej dane, to też wiele od niej się wymaga. O, pani droga, gdyby kobieta w takich razach miała być głupszą, albo słabszą od mężczyzny, to Pan Bóg nie powierzyłby jej wychowywania chłopców i dziewczynek. A zatem, kochanie, wkroczyła pani na ścieżynę występku, wyzbywając się wszelakiego wstydu; inna, na pani miejscu, ukryłaby się przed światem, siedziałaby w domu, a ludzie widzieliby ją tylko w świątyni Pańskiej, bladą, przyodzianą żalobnie, płaczącą, wówczas zaś każdy rzekłby ze szczerem wzruszeniem: „Panie, oto anioł, co zgrzeszył, znowu powraca do Ciebie...” Ale pani, kochanie, zapomniała wszelkiej skromności, żyła sobie otwarcie, ekscentrycznie, jakby pyszniła się grzechem swoim, pani swawoliła, śmiała się, ja zaś, patrząc na panią, drża-

łam z przerażenia i obawiałam się, żeby piorun niebieski nie spalił domu naszego wtedy, kiedy pani u nas siedzi. Pani kochana, proszę nie mówić, proszę nie mówić! — Wykrzyknęła Bitiugowa widząc, że Nadieżda Fiorodowna chce coś powiedzieć. — Niech mi pani zaufa, nie oszukam pani i nie zataję przed oczami jej duszy ani jednej prawdy. Proszę więc słuchać, kochanie... Bóg piętnuje wielkich grzeszników, pani również była napiętnowana. Proszę sobie przypomnieć, toalety pani zawsze były kropne!

Nadieżda Fiodorowna, która zawsze była jak najlepszego zdania o swych toaletach, przestała płakać i spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Tak, okropne! — Ciągnęła Marja Konstantinowna. — Z oryginalności i pstrokacizny pani strojów każdy może wysnuwać wnioski o pani prowadzeniu się. Widząc panią, wszyscy uśmiechali się i wzruszali ramionami, a ja bolałam, bolałam... I przepraszam drogą panią, ale pani jest nieschludna! Gdyśmy się spotykały w łazience, to pani mnie wprost zmuszała do wewnętrznego dygotania. Suknie jeszcze ujdą, ale hałeczka, koszula... Kochanie, ja się płonię! Biednemu Iwanowi Andreiczowi też nikt porządnie krawata nie zawiąże, a z bielizny i obuwia biedaka znać, że nikt w domu nie dba o niego. I zawsze on, biedaczek miły, głodny jest, bo i prawda, skoro w domu niema nikogo, coby się zakrzętnął przy samowarze oraz kawie, to mimowoli musi się zostawiać połowę pensji w kawiarni. W domu zaś u pani — potworność, wprost potworność! W całym mieście nikt nie ma much, a u pani sobie rady z niemi dać nie można, wszystkie talerzyki i spodeczki aż czarne. Na oknach i na stołach,

niechże pani spojrzy, kurz, zdechłe muchy, szklanki... Pocóż tu szklanki? I, kochanie, dotychczas ma pani nieposprzątane ze stołu. A do sypialni wstyd zajrzeć: wszędzie porozrzucana bielizna, po ścianach wiszą te pani różne kauczuki, stoi pewne naczynie... Pani kochana! Mąż o niczem nie powinien wiedzieć i żona powinna być wobec niego czysta, jak anioleczek. Ja co rana budzę się o świcie i obmywam zimną wodą twarz, aby mój Nikodim Aleksandrycz nie dostrzegł że jestem zaspana.

— To wszystko głupstwo — wyłkała Nadieżda Fiodorowna. — Gdybym-ż tylko była szczęśliwa, ale ja jestem taka nieszczęśliwa!

— Tak, tak pani jest bardzo nieszczęśliwa! — Westchnęła Bitiugowa, zaledwie mogąc powstrzymać się od płaczu. — I w przyszłości oczekuje panią straszne zmartwienie! Samotna starość, choroby, a później odpowiedzialność wobec sądu ostatecznego... Okropne, kropne! Obecnie sam los wyciąga do pani pomocną dłoń, pani zaś odtrąca ją nieopatrzenie. Niech pani weźmie ślub, czempredzej ślub!

— Tak, trzeba, trzeba. — Powiedziała Nadieżda Fiodorowna. — Ale to niemożliwe!

— Dlaczegoż?

— Niemożliwe! O, gdyby pani wiedziała!

Nadieżda Fiodorowna chciała opowiedzieć o Kirilinie i o tem, jak to wczoraj spotkała się na przystani z młodym, przystojnym Aczmjanowem, i jak jej strzelił do głowy warjacki, śmieszny pomysł, żeby pozbyć się trzystu rubli długu; ogromnie ją to rozśmieszyło i powróciła do domu późno, z uczuciem, że upadła już bezpowrotnie i jest sprzedajną kobietą.

Nie wiedziała sama, jak to się stało. Pragnęła więc teraz przysiąc wobec Marji Konstantinowny, że bezwzględnie zwróci pieniądze, ale łkanie i wstyd przeszkadzały jej mówić.

— Wyjadę — powiedziała. — Niech Iwan Andreicz zostanie, a ja wyjadę.

— Dokąd?

— Do Rosji.

— Ale z czego pani tam będzie żyła? Przecież pani nic nie ma.

— Będę tłumaczyła z obcych języków, albo... albo otworzę bibliotekę...

— Proszę nie fantazjować, kochanie. Na bibliotekę potrzebne są pieniądze. No, to już teraz panią pożegnaj, proszę się uspokoić i przyjsć do mnie jutro wesolutką. To będzie uroczko! No, dowidzenia, aniołeczku. Niechże się pani da pocałować.

Marja Konstantinowna pocałowała Nadieżdę Fiodorownę w czoło, przeżegnała ją i cichutko wyszła. Zaczynało się już ściemniać i Olga zapaliła w kuchni lampkę. Nie przestając płakać, Nadieżda Fiodorowna przeszła do sypialni i położyła się na łóżku. Zaczęły ją wstrząsać mocne dreszcze. Rozebrała się leżąc, zgmiotła ubranie sobie pod nogi i zwinęła się w kłębek pod kołdrą. Chciała pić, ale nie miał jej kto podać.

— Oddam! — Mówiła do siebie i wydawało się jej w malignie, że siedzi przy jakiejś chorej i pozna-je w niej samą siebie. — Oddam. Głupio byłoby nawet przypuszczać, że ja dla pieniędzy... Wyjadę i przyślę mu pieniądze z Petersburga. Najprzód sto... potem sto... i potem — sto...

Późno w nocy przyszedł Łajewskij.

— Najprzód sto... — Powiedziała doń Nadieżda Fiodorowna. — Potem sto...

— Zażyłabyś chiny — odpowiedział i pomyślał: „Jutro środa, odpływa okręt, a ja nie jadę. Czyli, że trzeba tu będzie zostać do soboty.”

Nadieżda Fiodorowna uklękła na łóżku.

— Nic teraz nie mówiłam? — Zapytała z uśmiechem, mrużąc oczy przed świecą.

— Nic. Trzeba będzie jutro rano posłać po doktora. Śpij.

Wziął poduszkę i skierował się ku drzwiom. Odkąd postanowił ostatecznie wyjechać i opuścić Nadieżdę Fiodorownę, zaczęła się w nim budzić litość i poczucie własnej winy; miał w jej obecności trochę wyrzutów sumienia, tak, jak w obecności chorego, lub starego konia, którego postanowiono zabić. Zatrzymał się w progu i spojrzał na nią.

— Byłem zdenerwowany na majówce i zachowałem się brutalnie. Wybacz mi, proszę cię bardzo.

Powiedziawszy to, poszedł do swego gabinetu, położył się i długo nie mógł zasnąć.

Gdy następnego dnia rano Samojlenko, ubrany z racji dworskiego święta w mundur galowy z epoletami i orderami, po pomacaniu pulsu Nadieżdy Fiodorowny i obejrzeniu języka wychodził z sypialni, Łajewskij, który stał przed drzwiami, zapytał trwożnie:

— No, i co? Co?

Na twarzy jego malowała się obawa, bezgraniczny niepokój i nadzieja.

— Uspokój się, nic groźnego — powiedział Samojlenko. — Zwykła febra.

— Nie o to mi chodzi — niecierpliwie skrzywił się Łajewskij. — Dostałeś pieniądze?

— Duszo moja, wybacz — zaczął szeptać Samojlenko, oglądając się na drzwi w pomieszczeniu. — Na miłość Boską, wybacz! Nikt nie ma luźnych pieniędzy, zebrałem dotychczas po pięć i po dziesięć rubli zaledwie sto dziesięć. Dziś pogadam jeszcze z tym i owym. Wytrzymaj jeszcze.

— Ale ostateczny termin sobota! — Wyszepiał Łajewskij, drżąc z niecierpliwości. — Na wszystkie świętości — do soboty! Gdybym nie wyjechał w sobotę, to nic mi już nie potrzeba, nic! Nie rozumiem, jak to doktor może nie mieć pieniędzy!

— O, Panie, bądź wola Twoja. — Pośpiesznie i w napięciu jął szeptać Samojlenko i aż mu coś pisnęło w gardle. — Wszystko mi porozbierali, są mi winni siedem tysięcy i ja też mam długi wszędzie! Czyż to moja wina?

— Więc na sobotę wydobędziesz?

— Postaram się.

— Błagam cię, kochany! Tak, żebym w piątek rano miał pieniądze w rękach.

Samojlenko usiadł i zapisał chinę w rozczynnie, kalii bromati, tincturae rhei, tincturae gentianae, aquae foeniculi — wszystko to w jednej miksturze, dodał syropu różanego, żeby nie było gorzkie i wyszedł.

XI.

— Tak wyglądasz, jakbyś przyszedł mnie aresztować. — Powiedział von Koren na widok wchodzącego w pełnej gali Samojlenki.

— A ja sobie przechodzę tędy i myślę: ano, wstąpię, odwiedzę zoologję — rzekł Samojlenko, siadając przy wielkim, zbitym ze zwykłych desek przez samego zoologa, stole. — Witaj, ojczyźnie świętobliwy! — Kiwnął głową djakonowi, który siedział przy oknie i coś przepisywał. — Posiedzę chwilkę i polecę do domu zarządzić obiadem. Czas już... Nie przeszkodziłem wam?

— Bynajmniej — odpowiedział zoolog, rozkładając na stole drobno zapisane karteczki. My tu inwentarzujemy.

— Tak... Och, Boże mój, Boże... — westchnął Samojlenko; ostrożnie wziął ze stołu zakurzoną książkę, na której leżał martwy skorpion i powiedział: — Jednakowoż! Pomyśl tylko, idzie sobie za swoim interesem jakiś tam zieloniutki żuczek, aż tu nagle spotyka na drodze taką bestję. Wyobrażam sobie, co za przerażenie!

— Tak, przypuszczam.

— Czy on jad ma poto, żeby się bronić od wrogów?

— Tak, żeby bronić się i żeby napadać.

— Tak, tak, tak... Wszystko w przyrodzie, najmilsi moi, jest celowe i wytłumaczone — westchnął Samojlenko. — Jednego tylko nie rozumiem. Tyś ko-

losalnego umysłu człek, wytłumacz mi więc, proszę. Są takie, wiesz zwierzątka, nie większe od szczura, ładniutkie na oko, jednak w najwyższym stopniu, powiadam ci ja, podłe i nieetyczne. Wędruje taki zwierzak, dajmy na to, przez las; spostrzeżę ptaszka, złapał i zjadł. Wędruje dalej i widzi w trawie gniazdko z jajkami; żryć mu się już nie chce, syty jest, ale mimo to rozgryza jajko, inne zaś wyrzuca z gniazdu łapką. Następnie napotyka żabę, więc nuż się nią zabawiać. Zadręczył żabę, idzie, oblizuje się, aż tu naprzeciw zdąża żuk. Więc i żuka łapką... I wszystko taki niszczy i rujnuje na swej drodze... Włazi do cudzych nor, bez potrzeby rozgrzebuje mrowiska, rozgryza ślimaki... Spotyka szczura — staje do walki z nim; zobaczy węża, albo małą myszkę — trzeba zadusić. I tak przez cały dzień. No i powiedz, poco taki zwierzak jest potrzebny? Poco jest stworzony?

— Nie wiem o jakim zwierzątku mówisz — powiedział von Koren. — Prawdopodobnie o którymś z owadożernych. No, więc cóż? Ptak wpadł mu w łapy, bo był nieostrożny; zburzył gniazdko z jajami, bo ptak nieumiejętnie, źle zbudował gniazdko, nie potrafił go zamaskować. Żaba miała, zapewne, jakiś defekt w zabarwieniu, gdyż w przeciwnym razie nie dostrzegłby jej, i tak dalej. Twój zwierzak pogńębia jedynie słabych, nieumiejętnych, nieostrożnych, słowem posiadających ułomności, których przyroda nie uważa za stosownie przekazywać potomstwu. Pozostają przy życiu tylko bardziej zręczni, ostrożni, silni i inteligentni. Tym sposobem zwierzątko twoje, samo tego nie podejrzewając, służy wielkiemu celowi doskonalenia.

— Tak, tak, tak... A propos, mój drogi, — powiedział Samojlenko z tupetem: pożycz mi ze sto rubli.

— Zgoda. Pomiedzy owadożernemi trafiają się bardzo ciekawe egzemplarze. Naprzykład kret. Mówi się o nim, że jest pożyteczny, ponieważ tępi szkodliwe owady. Opowiadają, że jakoby jakiś niemiec przysłał cesarzowi Wilhelmowi I futro z krecich skórek i że jakoby cesarz miał rozkazać udzielić mu admonicji za to, że wytracił takie mnóstwo tych pożytecznych stworzeń. A tymczasem kret w okrucieństwie ani na jotę nie ustępuje twemu zwierzakowi i nadobitek jest bardzo szkodliwy, bowiem okropnie psuje łąki.

Von Koren otworzył szufladę i wyjął banknot sturublowy.

— Kret ma mocną klatkę piersiową, tak jak nietoperz — ciągnął, zamykając szufladę — ogromnie rozwinięte kości i mięśnie, niezwykle uzbrojenie pyska. Gdyby posiadał wymiary słonia, byłby nieszczytelskim, niezwalczonem zwierzęciem. Ciekawe, że gdy dwa krety spotykają się pod ziemią, to obydwaj, jakby na znowę, zaczynają ubijać placyk; placyk ten jest im potrzebny do tego, żeby wygodniej było walczyć. Po wykończeniu placyku wszczynają zażarty bój i biją się póki słabszy nie padnie. Weź-że sto rubli — powiedział von Koren, zniżając głos — tylko pod warunkiem, że nie bierzesz dla Łajewskiego.

— A gdyby nawet dla Łajewskiego? — obruszył się Samojlenko. — Co ci do tego?

— Dla Łajewskiego nie mogę dać. Ja wiem, że ty lubisz rozpożyczać. Dałbyś nawet rozbójnikowi Kerimowi, gdyby cię poprosił, wybac jednak, dopomagać ci w tym kierunku nie mogę.

— Więc tak, prosiłem dla Łajewskiego! — Powiedział Samojlenko, wstając i wymachując prawą ręką. — Tak! Dla Łajewskiego! I żaden czort ani djabeł nie ma prawa pouczać mnie, jak powinienem rozporządzać swemi pieniędzmi. Pan nie ma chęci dać? Nie?

Djakoń roześmiał się.

— Nie wściekaj się, tylko się zastanów — powiedział von Koren. — Wyświadczać dobrodziejstwa Łajewskiemu według mnie jest taksamo nierozsądnie, jak podlewać chwasty, albo karmić szarańczę.

— Według mnie zaś, ma się obowiązek dopomagania swym bliźnim! — Wrzasnął Samojlenko.

— W takim razie dopomóż oto temu głodnemu turkowi, co leży pod parkanem! To jest robotnik i potrzebniejszy jest i użyteczniejszy od twojego Łajewskiego. Oddaj mu te sto rubli! Albo ofiaruj mi sto rubli na ekspedycję!

— Dasz, czy nie, zapytuje?

— Powiedz mi szczerze, na co mu są potrzebne pieniądze?

— To nie sekret. Musi w sobotę jechać do Petersburga.

— To to tak! — Wyskandował von Koren. — Aha... Rozumiemy. A ona pojedzie z nim, czy jak?

— Ona narazie zostaje tutaj. On załatwi swoje sprawy w Petersburgu, wówczas i ona pojedzie.

— Sprytnie!... — Powiedział zoolog i zaśmiał się krótkim tenorowym śmiechem. — Sprytnie! Mądrze pomyslane.

Szybkim krokiem podszedł do Samojlenki i, stanawszy twarzą w twarz, spojrzał mu w oczy i zapytał:

— Powiedz mi tylko szczerze: przestał się kochać? Tak? Gadaj: Przestał kochać się? Tak?

— Tak — wydusił Samojlenko i spocił się.

— Jakież to wstrętne! — Powiedział von Koren, a z twarzy jego znać było, że czuł wstręt. — Jedno z dwojga, Aleksandrze Dawidycz: albo jesteś z nim w znowie, albo też, daruj mi, kiep z ciebie. Czyż doprawdy nie rozumiesz, że on cię nabiera, jak smarkacza, w sposób najbardziej bezczelny? Przecież to jasne, jak dzień, że będziesz zmuszony wysyłać ją na swój rachunek do Petersburga. Czyż doprawdy twój wspa- niały przyjaciel do takiego stopnia oślepił cię swemi zaletami, że nie dostrzegasz najprostszych rzeczy?

— To są tylko przypuszczenia... — Odparł Samojlenko i usiadł.

— Przypuszczenia? A czemuż jedzie sam, a nie razem z nią? I dlaczegożby nie miała pojechać ona najpierw, a on potem? Przebiegła bestja!

Przytłoczony nagle wątpliwościami i podejrzeniami w stosunku do swego przyjaciela, Samojlenko raptownie osłabł i zniżył ton:

— Ale to niemożliwe — powiedział, przypominając sobie tę noc, kiedy to Łajewskij spał u niego. — On tak cierpi!

— Cóż z tego? Podpalacze i złodzieje także cierpią.

— Przypuśćmy nawet, że masz rację... — Ciągnął, zastanawiając się Samojlenko. — Przypuśćmy... Ale to przecież młody mężczyzna, na obczyźnie... student, myśmy też studenci i prócz nas niema tu nikogo, kto- by mu dopomógł.

— Dopomagać mu w robieniu świństw jedynie z

tej racji, żeście byli w różnym czasie na uniwersytecie i obydwaj nic tam nie robiliście! Co za nonsens!

— Poczekaj, rozpatrzmy rzecz na zimno. Można będzie, mam wrażenie, załatwić sprawę oto tak — medytował, przebierając palcami Samojlenko. — Ja, uważasz, dam mu pieniądze, ale zażadam od niego uroczystego słowa honoru, że po upływie tygodnia przyśle Nadziei Fiodorownie na wyjazd.

— A on da ci słowo honoru, nawet łezkę uрони i sam sobie uwierzy, ale co jest warte takie słowo? Nie dotrzyma go, kiedy zaś po roku, czy po dwóch, spotkasz go na Newskim pod rękę z nową miłością, będzie ci się tłumaczyć tem, że go wykoszławiła cywilizacja i że on jest wykapany Rudin. Daj sobie z nim spokój, na Boga! Odejdź od błota i nie gmeraj w niem obydwoma rękami!

Samojlenko zastanowił się i oświadczył zdecydowanie:

— Mimo wszystko — dam mu pieniądze. Jak sobie chcesz. Nie jestem w stanie odmówić człowiekowi na podstawie samych przypuszczeń.

— A to świetnie. Nawet pocałuj się z nim.

— Więc dajże mi sto rubli — nieśmiało poprosił Samojlenko.

— Nie dam.

Zapadło milczenie. Samojlenko osłabł całkowicie; twarz jego przybrała skruszony, zawstydzony i przymilny wyraz, i jakoś dziwnie było patrzeć na tę żalonną, dziecinnie zmieszaną twarz olbrzymiego mężczyzny w epoletach i orderach.

— Miejscowy eminencja objeżdża swoją djeceżę nie w karecie, tylko konno, na wierzchowcu — po-

wiedział djakon, odkładając pióro. — Widok archiereja, siedzącego na koniku jest niezwykle wzruszający. Jego skromność i prostota przepełnione są biblijnym dostojenstwem.

— Dobry to człek? — Zapytał von Koren, rad ze zmiany tematu.

— A jakże mogłoby być? Gdyby nie był dobry, to czyżby go wyświęcono na archiereja?

— Pomiędzy archierejami trafiają się bardzo dobrze i utalentowani ludzie — powiedział von Koren. — Szkoda tylko, że wielu z nich choruje na mężów stanu. Ten uprawia rusefikację, ów krytykuje naukę. To nie ich rzecz. Lepiejby zrobili zaglądając częściej do konsystorza.

— Człowiek świecki nie ma prawa krytykować archierejów.

— Czemużby to djakonie? Archierej jest takim samym człowiekiem, jak ja.

— Takim, albo i nie takim — obraził się djakon i pochwycił pióro. — Gdyby pan był taki sam, toby na panu spoczęła łaska Boska i byłby pan archierejem, skoro zaś nie jest pan archierejem, to znaczy, że nie jest pan taki sam.

— Nie pleć, djakonie! — Powiedział Samojlenko, przybity już kompletnie. — Słuchaj, wiesz co wymyśliłem — zwrócił się do von Korena. — Nie dawaj mi tych stu rubli. Będziesz stołował się u mnie do zimy jeszcze przez trzy miesiące, więc daj mi zgóry za te trzy miesiące.

— Nie dam.

Samojlenko jął mrugać powiekami i spurpurowiał. Machinalnie przysunął sobie książkę ze skorpjo-

nem, spojrział na niego, potem wstał i złapał czapkę. Von Koren uczuł litość nad nim.

— Niechże kto spróbuje żyć i pracować z takimi panami! — Powiedział zoolog i, dając wyraz oburzeniu, kopnął w kąt jakiś papier. — Zrozum, że to nie jest dobroć, nie miłość, tylko tchórzostwo, rozchlebotaństwo, trucizna! Co zbuduje rozum, to niweczą wasze sparciałe, na śmietnik tylko zdadne serca! Kiedy, jako sztubak chorowałem na tyfus brzuszny, ciotunia moja z litości nakarmiła mnie marynowanemi grzybami i o mało nie umarłem. Zrozum więc razem z ciotunią, że miłość do człowieka powinna mieścić się nie w sercu, nie w dołku i nie w krzyżu, ale tu oto!

Von Koren uderzył się po czole.

— Bierz! — Powiedział i cisnął sturublowym banknotem.

— Niepotrzebnie gniewasz się, Kolu — łagodnie rzekł Samojlenko, składając banknot. — Rozumiem cię doskonale, ale... wejdź w moje położenie.

— Jesteś stara baba, o!

Djakon roześmiał się.

— Posłuchaj, Aleksandrze Dawidyczu, ostatnia próba! — Gorąco powiedział von Koren. — Jak będziesz dawał temu chłystkowi pieniądze, to postaw mu warunek: niech wyjeżdża razem ze swoją panią, albo niech ją wyśle wpierw, a jak nie, to nie dawaj. Niema co ceregielować się z nim. Powiedz mu to koniecznie, bo jak nie powiesz, to damę ci słowo honoru, że pójdę do niego do biura i zrzucę go tam ze schodów, a z tobą przestanę się znać. Żebyś wiedział.

— Cóż? Gdyby pojechał razem z nią, albo wpierw ją wyprawił, to przecież jeszcze wygodniej dla niego—

powiedział Samojlenko. — Nawet będzie zadowolony. No, dowidzenia.

Pożegnał się tklawie i wyszedł, ale, zanim zamknął za sobą drzwi, obejrzał się na von Korena, narodził się okropnie i powiedział:

— To niemcy zepsuli cię, kochasiu! Tak! Niemcy!

XII.

Następnego dnia, we czwartek, Marja Konstantinowna obchodziła urodziny swego Koli. W południe wszyscy byli zaproszeni na pieróg, a wieczorem na czekoladę. Gdy wieczorem przyszedł Łajewskij z Nadiędą Fiodorowną, zoolog, który już siedział w saloniku i pił czekoladę, zapytał Samojlenkę:

— Mówiłeś z nim?

— Jeszcze nie.

— Tylko bez ceregieli. Nie rozumiem bezczelności tych państwa! Przecież doskonale zdają sobie sprawę z poglądów tej rodziny na ich pożycie, mimo to jednak pchają się tu.

— Gdyby tak zwracać uwagę na wszystkie przesady, to nie możnaby było nigdzie pójść. — Odparł Samojlenko.

— Czy wstręt ogółu do nieślubnej miłości i rozpusty jest przesądem?

— Oczywiście. Przesąd i zaciętrzwienie. Żołnierze, na widok dziewczyny lekkiego prowadzenia, ryczą i gwizdzą, a zapytaj-no: jacy są sami?

— Gwizdzą nie bez powodu. Że dziewczuchy duszą

swoje nieślubne dzieciaki i idą na katorgę, i że Anna Karenina rzuciła się pod pociąg, i że po wsiach smarują wrota dziegciem, i że tobie i mnie, niewiedomo czemu, podoba się w Kati jej niewinność, a i to, że każdy z nas podświadomie czuje potrzebę czystej miłości, mimo że wie, że takiej miłości niema — czyż to wszystko przesąd? Nie, mój drogi, to jest jedyne, co ocalało z doboru naturalnego, i gdyby nie było ciemnej siły, regulującej stosunki płci, to tacy panowie Łajewscy pokazaliby ci, gdzie raki zimują, a ludzkość wynaturzyłaby się w ciągu dwóch lat.

Łajewskij wszedł do saloniku; przywitał się ze wszystkimi, a ściskając dłoń Korena uśmiechnął się przymilnie. Poczekał na stosowną chwilę i powiedział do Samojlenki:

— Przepraszam cię, Aleksandrze Dawidyczu, muszę ci powiedzieć dwa słowa.

Samojlenko wstał, objął go wpół i udali się do gabinetu Nikodima Aleksandrycza.

— Jutro piątek... — Powiedział Łajewskij, obgryzając paznokcie. — Wydostałeś to, coś obiecał?

— Wydostałem tylko dwieście dziesięć. Resztę dostanę dziś, albo jutro. Bądź spokojny.

— Chwała Bogu! — Westchnął Łajewskij, a ręce zadrżały mu z radości. — Jesteś moim zbawcą, Aleksandrze Dawidyczu. I przysięgam na Boga, na moje szczęście i na co chcesz, że ci odeślę te pieniądze natychmiast po przyjeździe do Petersburga. Stary dług też ci odeślę.

— Wiesz co, Waniu... — Powiedział Samojlenko, ujmując go za guzik i czerwieniąc się. — Wybacz, że mieszam się do twoich rodzinnych spraw, ale...

dłaczegobyś nie miał wyjechać razem z Nadzieją Fiodorową?

— Dziwak z ciebie, czyż to możliwe? Jedno z nas bezwzględnie musi tu zostać, boby wierzyciele gwałt zrobili. Przecież jestem dłużny po sklepach ze siedemset rubli, jeżeli nie więcej. Poczekaj, przysłę im pieniądze, pozatykam gęby, to i ona stąd wyjedzie.

— Tak... Ale czemubys nie mógł wysłać jej najpierw?

— O, mój Boże, czyż to możliwe? — Przeraził się Łajewskij. — Przecież to kobieta, co ona tam sama poradzi? Na czym się zna? To tylko zwłoka i niepożrebna strata pieniędzy.

„Ma rację”. Pomyślał Samojlenko, ale uprzytomnił sobie rozmowę z von Korenem, zachmurzył się i powiedział posepnie:

— Nie mogę zgodzić się z tobą. Albo jedź razem z nią, albo wyślij ją przed sobą, w przeciwnym razie... w przeciwnym razie nie dam ci pieniędzy. To moje ostatnie słowo...

Zaczął cofać się tyłem, naparł plecami na drzwi i wszedł do saloniku czerwony i okropnie zmieszany.

„Piątek... piątek — myślał Łajewskij, wracając do saloniku. — Piątek...”

Podano mu filiżankę czekolady. Oparzył sobie wargi i język gorącą czekoladą i myślał:

„Piątek... piątek...”

Wyraz „piątek” niewiadomo czemu nie wychodził mu z głowy; o niczem; prócz piątku nie myślał i uświadamiał sobie, nie w mózgu jednak, tylko gdzieś tam pod sercem, że w sobotę nie uda mu się

wyjechać. Przed nim stał Bitiugow, schludniutki, z zaczesanemi skroniami i zapraszał:

— Niechże pan je, proszę najuprzejmiej.

Marja Konstantinowna pokazywała gościom cenzurki Kati i mówiła śpiewnie:

— Teraz okropnie, okropnie trudno uczyć się! Takie są duże wymagania...

— Mamo! — Jęczała Katia, nie wiedząc gdzie skryć się ze wstydu i przed pochwałami.

Łajewskij też zerknął na stopnie Kati i pochwalili. Religja, rosyjski, sprawowanie, piątki i czwórki zatańczyły mu przed oczyma, a wszystko to, wraz z niemogącym odczepić się od niego piątkiem, z zaczesanemi skroniami Nikodima Aleksandrycza i z czerwonymi policzkami Kati wydało mu się tak bezgranicznie, nieprzewyciężenie nudne, że o mało nie krzyknął z rozpaczny i zadał sobie pytanie:

„Czyż doprawdy, doprawdy nie wyjadę?”

Zestawiono razem dwa stoły do kart i zaczęto bawić się w pocztę. Łajewskij usiadł także.

„Piątek... piątek... — Myślał z uśmiechem i wyjął ołówek. — Piątek...”

Chciał zastanowić się nad swoją sytuacją, ale bał się myśleć. Czuł strach przed stwierdzeniem wobec siebie, że doktor przyłapał go na kłamstwie, które tak długo i skrętnie ukrywał przed samym sobą. Za każdym razem, gdy myślał o swej przyszłości, nie zezwalał myślom na całkowitą swobodę. Wsiądzie do wagonu i pojedzie — w tem było rozstrzygnięcie jego zagadnienia życiowego, dalej nie puszczał już swych myśli. Niby dalekie, mdłe światelko w polu, zrzad-

ka błyskała mu w głowie świadomość, że gdzieś tam, w jednym z zaułków Petersburga, w odległej przyszłości trzeba będzie, celem rozejścia się z Nadieżdą Fiodorowną i spłacenia długów, użyć małego kłamstwa; skłamię raz tylko, a potem zato nastąpi całkowite odrodzenie. I to jest dobre; za cenę małego kłamstwa kupi wielką prawdę.

Teraz zaś, gdy doktor przez odmowę swoją brutalnie napomknął mu o kłamstwie, zrozumiał, że kłamstwo będzie mu potrzebne nietylko w odległej przyszłości, ale i dzisiaj, i jutro, i za miesiąc, i, możliwe i to, nawet do końca życia. Istotnie, żeby wyjechać, będzie musiał skłamać wobec Nadieżdy Fiodorowny, wierzycieli i przełożonych; następnie, żeby zdobyć w Petersburgu pieniądze, trzeba będzie skłamać przed matką, powiedzieć jej, że już się rozszedł z Nadieżdą Fiodorowną; matka zaś nie da mu więcej, niż pięćset rubli, czyli, że już oszukał doktora, gdyż nie będzie mógł w krótkim czasie odesłać mu pieniędzy. Następnie, gdy Nadieżda Fiodorowna przyjedzie do Petersburga, to trzeba będzie użyć całego zastępu drobnych kłamstw, żeby się z nią rozejść; i znowu łyzy, obmierzłe życie, skrucha, czyli że żadnego odrodzenia nie będzie. Kłamstwo i nic pozatem. W wyobraźni Łajewskiego urosła cała góra kłamstw. Żeby przeskoczyć ją za jednym zamachem, a nie łącać na raty, należało zdecydować się na ostre środki, na przykład, nie mówiąc słowa wstać z miejsca, włożyć czapkę i natychmiast wyjechać bez pieniędzy, nie mówiąc ani słowa; ale Łajewskij czuł, że to dla niego niemożliwe.

„Piątek... piątek.... — Myślał. — Piątek...”

Wszyscy pisali karteluszeki, składali je na pół i wrzucali do starego cylindra Nikodima Aleksandryczy, a kiedy zgromadziła się wystarczająca ilość karteczek, Kostia, uosabiający listonosza, szedł wokół stołu i rozdawał je. Djakon, Katia i Kostia, którzy otrzymywali śmieszne kartki i sami starali się pisać jaknajśmieszniej, byli zachwyceni.

„Musimy porozmawiać”, przeczytała Nadieżda Fiodorowna na karteczce. Wymieniła spojrzenie z Marją Konstantinowną, a tamta uśmiechnęła się z rozanieleniem i kiwnęła parokrotnie głową.

„O czym rozmawiać? — Pomyślała Nadieżda Fiodorowna. — Skoro nie można opowiedzieć wszystkiego, to wogóle niema poco mówić.”

Przed pójściem na wizytę, Nadieżda Fiodorowna zawiązała Łajewskiemu krawat i ten małoznaczący fakt napełnił jej duszę tkliwością i smutkiem. Trwoga, malująca się na jej twarzy, roztargnione spojrzenie, bladość i niezrozumiała zmiana, która zaszła w nim w ostatnich czasach, i to, że Nadieżda Fiodorowna miała przed nim okropną, wstrętną tajemnicę, i to, że ręce jej drżały, gdy mu zawiązywała krawat — wszystko to w jakiś sposób mówiło jej, że już niewiele pozostało im wspólnego życia. Patrzyła w niego, jak w święty obraz ze strachem i skruchą, i myślała: „Wybacz, wybacz...” Naprzeciwko niej przy stole siedział Aczmjanow i nie odrywał od niej swych czarnych, rozkochanych oczu: dręczyła ją żądza, wstydziła się sama siebie i bała się, że nawet rozpacz i smutek nie przeszkodzą jej poddać się nieczystej namiętności nie

dziś, to jutro, i że — jak nieuleczalny pijak — nie ma już siły, by się zatrzymać.

Żeby nie wlec tego życia, będącego hańbą dla niej, a zniewagą dla Łajewskiego, postanowiła wyjechać. Będzie go z płaczem błagała, żeby ją puścił, a gdyby sprzeciwiał się, to odejdzie skrycie. Nie powie mu tego, co zaszło. Niechaj zachowa o niej czyste wspomnienie.

„Kocham, kocham, kocham,” — przeczytała. — To od Aczmjanowa.

Zamieszka gdzieś na odludziu, będzie pracowała i wysyłała Łajewskiemu „od nieznanego” pieniądze, haftowane koszule, tytoń, a wróci do niego tylko na starość, albo gdyby niebezpiecznie zachorował i gdyby mu potrzebna była pielęgniarzka. Gdy w starości dowie się z jakiej racji nie chciała zostać jego żoną i opuściła go, oceni wówczas ofiarę i wybaczy jej.

„Pani ma długi nos” — To prawdopodobnie od djakona, albo od Kosti.

Nadieżda Fiodorowna wyobraziła sobie, jak, żegnając się z Łajewskim, uściśnie go mocno, pocałuje w rękę i przysięgnie, że będzie go kochała przez całe, calutkie życie, potem zaś, mieszkając na odludziu, wśród obcych, codziennie będzie myślała o tem, że ma jednak gdzieś, daleko, przyjaciela, człowieka kochanego, kryształowego, szlachetnego i wzniosłego, który zachował o niej czyste wspomnienie.

„O ile nie naznaczy mi pani randki na dzisiaj, to zastosuję odpowiednie środki, zapewniam słowem honoru. Z porządnymi ludźmi nie postępuje się w ten sposób, należałoby to zrozumieć.” — To od Kirilina.

XIII.

Łajewskij dostał dwie kartki; rozwinął jedną i przeczytał: „Nie wyjeżdżaj, ptaszyno ma”.

„Ktoby to mógł napisać? — Pomyślał. — Oczywiście, nie Samojlenko... I nie djakon, bo nie wie, że ja chcę wyjechać. Czyżby von Koren?”

Zoolog, pochylony nad stołem, rysował piramidę. Łajewskiemu wydało się, że dostrzega uśmiech w jego oczach.

„Prawdopodobnie Samojlenko wygadał się...” Pomyślał Łajewskij.

Na drugiej kartce, tem samem zmienionem piśmie z długimi ogonami i zakrętami było napisane:

„A w sobotę ktoś nie pojedzie!”

„Idjotyczne szyderstwo — pomyślał Łajewskij. — Piątek, piątek!”

Coś podeszło mu do gardła. Dotknął kołnierzyka i chrząknął, ale zamiast chrząknięcia z gardła wyrwał się śmiech.

— Cha-cha-cha! — Zaśmiał się. — Cha-cha-cha! „Z czegoż to ja...?” Pomyślał. — Cha-cha-cha!

Usiłował powstrzymać się, zasłonić dłonią usta, ale śmiech dławił mu pierś i szyję, a ręka nie mogła zasłonić ust.

„Jakież to, jednakowoż głupie! — Myślał, słaniając się ze śmiechu. — Zwarjowałem, czy co?”

Śmiech przechodził wciąż w wyższe i wyższe tony i zmieniał się w coś podobnego do szczekania pieska

bolońskiego. Łajewskij chciał wstać od stołu, ale nogi go nie słuchały, a prawa ręka jakoś dziwnie, wbrew woli, skakała po stole, chwyciła papierki i gnioła je. Zobaczył zdziwione spojrzenia, poważną zatrwożoną twarz Samojlenki i spojrzenie zoologa, pełne zimnej drwiny i obrzydzenia, i zrozumiał, że ma atak hysterji.

„Co za ohyda, co za wstyd, — myślał, czując na policzkach ciepło łez. — Ach, ach, co za hańba! Nigdy mi się to nie zdarzało...”

Oto wzięto go pod ręce i, podtrzymując styłu głowę, poprowadzono dokądś; oto błysnęła przed oczami, brzęknęła o zęby szklanka, a woda rozlała się na pierś; oto mały pokój, pośrodku dwa zestawione, nakryte białymi, jak śnieg kapami łóżka. Rzucił się na jedno z nich i zaczął łkać.

— To nic, to nic... — Mówił Samojlenko. — To się zdarza...

Złodowaciała ze strachu, dygocąca całym ciałem w przeczuciu czegoś okropnego, stała Nadieżda Fiodorowna przed łóżkiem i dopytywała się:

— Co ci jest? Co? Na miłość Boską powiedz...

„Czy czasem czego nie napisał Kirilin?” — Myślała.

— Nic... — Odpowiedział Łajewskij wśród śmiechu i płaczu. — Odejdź stąd... ptaszyno.

Twarz jego nie wyrażała ani nienawiści, ani wstrętu, więc zapewne nie wie o niczem; Nadieżda Fiodorowna uspokoiła się trochę i wróciła do salonu.

— Niech się droga pani nie denerwuje! — Powiedziała Bitiugowa, siadając przy niej i ujmując jej rękę. — To minie. Mężczyźni są równie niewytrzymali, jako i my, grzeszne. Oboje przechodzicie teraz

kryzys... to takie zrozumiałe! No, kochanie, czekam na odpowiedź. Pogawędzimy sobie trochę.

— Nie, nie rozmawiajmy... — Powiedziała Nadieżda Fiodorowna, wsłuchując się w łkanie Łajewskiego. — Jestem roztrzęsiona... Niech mi pani pozwoli odejść...

— Ależ gdzietam, ależ gdzietam, kochanie! — Złękła się Marja Konstantinowna. — Jak pani może myśleć, że wypuszczę panią przed koiacją? Zjemy, to już potem — wola Boska.

— Jestem roztrzęsiona... — Wyszeptła Nadieżda Fiodorowna i, żeby nie upaść, ztapała się obydwoma rękami za poręcz fotela.

— On ma padaczkę! — Oświadczył wesoło von Koren, wchodząc do salonu, na widok jednak Nadieżdy Fiodorowny zmieszał się i wyszedł.

Gdy atak przeminął, Łajewskij siedział na cudzem łóżku i myślał:

„Hańba, rozbeczałem się, jak dziewczyna! Śmieszny pewnie jestem i wtępny. Wyjdę przez kuchnię. Chociaż to wyglądałoby, że przywiązuję do tej swojej hysterji poważne znaczenie. Należałoby ją obrócić w żart.”

Przejrzał się w lustrze, posiedział chwilkę i wszedł do saloniku.

— Otóż i ja! — Powiedział z uśmiechem; męczył go wstyd i czuł, że inni też wstydzą się na jego widok. — Że też zdarzają się takie historje — mówił siadając. — Siedziałem, aż tu nagle uczułem, moi państwo, straszny, kłujący ból w boku... nieznośny ból, nerwy nie wytrzymały i... i wynikła ta głupia awantura. To ten nasz wiek nerwowy, niema na to rady!

Przy kolacji pił wino, rozmawiał i od czasu do czasu wzdychał nerwowo, dotykał boku, jakby zaznaczając, że ból jeszcze daje się we znaki. I nikt, prócz Nadieżdy Fiodorowny nie wierzył mu, i on to wiedział.

O dziewiątej wszyscy poszli przejść się po bulwarach. Nadieżda Fiodorowna w obawie, żeby jej nie zaczepił Kirilin, wciąż starała się trzymać Marji Konstantinowny i dzieci. Osłabła ze strachu i zmartwienia, przeczuwała atak febry, męczyła się i ledwo suwała nogami, nie szła jednak do domu, gdyż była pewna, że za nią podąży Kirilin, albo Aczmjanow, albo obydwaj naraz. Kirilin szedł styłu obok Nikodima Aleksandrowicza i nucił półgłosem:

— Ba-awić się sobą nie pozwo-olę! Nie pozwo-olę!

Z bulwaru wszyscy zawrócili w stronę kawiarni, szli wybrzeżem, i długo przyglądali się, jak fosforyzuje morze. Von-Koren zaczął opowiadać dlaczego morze fosforyzuje.

XIV.

— Trudno, ale czas mi już na winta... Czekaają na mnie. — Powiedział Łajewskij. — Dowidzenia państwu.

— Poczekaj, i ja z tobą. — Oświadczyła Nadieżda Fiodorowna i wzięła go pod rękę.

Pożegnali się z całym towarzystwem i ruszyli. Kirilin również pożegnał się, oświadczył, że mu po drodze i odszedł z nimi.

„Niech się stanie, co ma się stać... — myślała Nadieżda Fiodorowna. — Niech...”

Zdawało się jej, że wszystkie brzydkie wspomnienia wynurzyły się z jej głowy i suną w mrokach obok niej, i tchną ciężko, ona zaś sama, jak mucha, co w kałamarz wpadła, czołga się resztką sił po bruku i wala czernią bok i ramię Łajewskiego. Jeżeli Kirilin zrobi coś brzydkiego, to nie on będzie temu winien, tylko ona sama. Przecież były czasy, kiedy żaden mężczyzna nie odzywał się do niej tak, jak Kirilin; sama starzała jak nici, zaprzepaściła te czasy bezpowrotnie — któż temu winien? Oszołomiona żądzą, zaczęła uśmiechać się do zupełnie nieznanego mężczyzny dlatego jedynie, że był dobrze zbudowany i wysoki; znudził ją po dwóch randkach, więc go rzuciła, czyż wobec tego wszystkiego nie ma on prawa zachować się w stosunku do niej tak, jak mu się żywnie podoba?

— Pożegnaj się tu z tobą, ptaszyno — powiedział Łajewskij stając. — Ilja Michajłycz odprowadzi cię.

Skłonił się Kirilinowi, szybkim krokiem ruszył wpoprzek bulwaru i przeciął jezdnię nawprost domu Szeszkowskiego, w którego oknach świeciło się. Po chwili słychać było, jak stuknął furtką.

— Zezwoli pani łaskawie na małe wyjaśnienie — zaczął Kirilin. — Nie jestem smarkaczem, ani żadnym Aczkasowem, Łączkasowem, Zaczkasowem... Żądam poważnych względów!

Serce Nadieżdy Fiodorowny zabiło mocno. Nie odpowiedziała nic.

— Jaskrawą zmianę pani w stosunku do mnie zrazu tłumaczyłem kokieterją — ciągnął Kirilin. —

Obecnie widzę, że pani poprostu nie umie obcować z porządnymi ludźmi. Pani najzwyczajniej chciała pobawić się mną, jak tym smarkatym ormianinem, ale ja jestem przyzwoity człowiek i wymagam, żeby ze mną postępowano przyzwoicie. A więc — jestem do pani usług...

— Jestem roztrzęsiona... — Powiedziała Nadieżda Fiodorowna, rozpląkała się i odwróciła głowę, aby ukryć łzy.

— Ja też jestem roztrzęsiony, ale co z tego wynika?

Kirilin milczał przez chwilę, wreszcie odezwał się, sylabizując dobitnie.

— Powtarzam, łaskawa pani, że o ile nie wyznaczysz mi pani dziś spotkania, to dziś jeszcze spowoduję skandal.

— Niech mnie pan zwolni dzisiaj — powiedziała Nadieżda Fiodorowna i nie poznała swego głosu, taki był żałosny i cienki.

— Muszę dać pani nauczkę... Przepraszam za brutalny ton, ale bezwzględnie zmuszony jestem dać pani nauczkę. Tak, niestety nauczkę muszę pani dać. Żądam dwóch spotkań: dzisiaj i jutro. Pojutrze jest pani zupełnie wolna, może pani sobie odejść gdzie i z kim się pani podoba. Dzisiaj więc i jutro.

Nadieżda Fiodorowna doszła do swojej furtki i stanęła.

— Niech mnie pan zwolni! — Szeptała, dygocąc całym ciałem i nie widząc przed sobą w ciemności nic, prócz białego kitlu. — Pan ma rację, jestem potworna... zawiniłam, ale niech mnie pan zwolni... Proszę...

— Dotknęła jego zimnej dłoni i drgnęła. — Błagam pana...

— Niestety. — Westchnął Kirilin. — Niestety! Zwolnienie pani nie leży w moich planach, chcę jedynie dać nauczkę, uświadomić panią, a nadobitek, o pani, zbyt mało ufam kobietom.

Nadieżda Fiodorowna wsłuchiwała się w miarowy szum morza, spojrzała w niebo, usypane gwiazdami i zapragnęła nagle wszystko skończyć, wyzwolić się, nie odczuwać już przekłętego życia wraz z jego morzem, gwiazdami, mężczyznami, febrą...

— Tylko nie u mnie w domu — oświadczyła ozięble. — Niech mnie pan gdzieś zaprowadzi.

— Chodźmy do Miuridowa. To będzie najlepsze.

— Gdzie to jest?

— Koło starego wału.

Pośpiesznie zaczęła kroczyć wzdłuż ulicy, skręciła w zaułek, prowadzący w stronę gór. Było ciemno. Tu i ówdzie z oświetlonych okien kładły się na jezdnię blade smugi. I zdawało się Nadziejcie Fiodorownie, że, jak mucha, to wpada w kałamarnicę, to znowu wypęła z niego na świat. Kirilin szedł za nią. W jednym miejscu potknął się, o mało nie upadł i roześmiał się.

— Pijany jest... — Pomyślała Nadieżda Fiodorowna. — To wszystko jedno... wszystko jedno... Niech tam."

Aczmjanow też niezadługo pożegnał się z towarzystwem i podążył za Nadieżdą Fiodorowną, żeby jej zaproponować przejażdżkę łódką. Podszedł pod jej dom i zajrzał przez sztachety: okna były pootwierane naosiecz, światło nie paliło się.

— Nadieżdo Fiodorowno! — zawołał.

Upłynęła minuta, zawołał znowu.

— Kto tam? — odezwał się głos Olgi.

— Czy pani w domu?

— Nie. Nie wróciła jeszcze.

— Dziwne... Bardzo dziwne — pomyślał Aczmjanow, zaczynając odczuwać ostry niepokój. — Poszła przecież do domu...

Przeszedł się po bulwarze, potem po ulicy i zajrzał do okien Szeszkowskiego. Łajewskij siedział bez marynarki przy stole i patrzył uważnie w karty.

— Dziwne, dziwne... — mruknął Aczmjanow i, przypomniawszy sobie atak histeryczny Łajewskiego, zawstydził się. — W domu jej niema, więc gdzież jest?

Skierował się znów pod mieszkanie Nadieždy Fiodorowny i zajrzał w ciemne okna.

„To oszukaństwo, ószukaństwo...” myślał. Przypomniał sobie, że to ona sama przecież, widząc się z nim w południe u Bitiugowych, obiecała wieczorem popływać łódką.

Okna domu, w którym mieszkał Kirilin były też ciemne, a przy bramie siedział na ławeczce policjant i spał. Aczmjanowowi, gdy spojrział w okna i na policjanta, wyjaśniło się nagle wszystko. Postanowił wrócić do domu i odszedł, znalazł się jednak znów pod domem Nadieždy Fiodorowny. Usiadł na ławeczce i zdjął kapelusz, bo miał wrażenie, że głowa mu pęka z zazdrości i rozżalenia.

Zegar cerkwi miejskiej bił tylko dwa razy na dobę: w południe i o północy. Wkrótce po wybiciu północy rozległy się pośpieszne kroki.

— A więc jutro wieczorem znów u Miuridowa!—

usłyszał Aczmjanow i rozpoznał głos Kirilina. —
O ósmej. Żegnam!

Za sztachetami ukazała się Nadieżda Fiodorowna. Przemknęła jak cień obok Aczmjanowa, nie dostrzegła go, otworzyła furtkę i pozostawiając otwartą, weszła do domu. Zapaliła w swoim pokoju świecę, rozebrała się z pośpiechem, ale nie położyła się do łóżka, tylko klękła przed krzesłem, objęła je ramionami i przyłgnęła doń czołem.

Łajewskij wrócił do domu o trzeciej rano.

XV.

Powziąwszy postanowienie niekłamania naraz, tylko na raty, następnego dnia, o drugiej godzinie Łajewskij wybrał się do Samojlenki po pieniądze, żeby tylko bezwzględnie wyjechać w sobotę. Po wczorajszej hysterji, która do ciężkiego stanu duszy dołączyła jeszcze piekące uczucie wstydu, pozostawać w tem mieście było nonsensẽm. O ile Samojlenko będzie upierał się przy swoich warunkach — myślał — to można będzie zgodzić się na nie i pieniądze wziąć, jutro zaś, w chwili wyjazdu powie się, że Nadieżda Fiodorowna nie zgodziła się wyjechać; wieczorem może uda się jej wyperswadować, że to wszystko robi się dla jej właśnie dobra. Gdyby zaś Samojlenko, znajdujący się pod oczywistym wpływem von Korena, odmówił zupełnie dania pieniędzy, albo zaproponował jakieś nowe warunki, to Łajewskij dziś jeszcze wyjedzie statkiem towarowym, lub nawet żeglowcem do Nowych Aten, czy do Noworosyjska, wyśle stamtąd

do matki korną depeszę i będzie tam siedział póty, póki matka nie nadeśle pieniędzy na podróż

U Samojlenki zastał w saloniku von Korena. Zoolog dopiero co przyszedł na obiad, według zwyczaju otworzył album i robił przegląd panów w cylindrach i pań w czepkach.

„A to nie na rękę! — pomyślał Łajewskij, spostrzegłszy go. — Ten może popsuć. — Dzieńdobry!

— Dzieńdobry! — odpowiedział von Koren, nie podnosząc nań oczu.

— Aleksandr Dawidycz w domu?

— Tak. W kuchni.

Łajewskij skierował się do kuchni, zobaczył jednak w drzwiach, że Samojlenko krząta się koło sałaty, wrócił więc do saloniku i usiadł. W obecności zoologa czuł się zawsze skrępowany, teraz zaś nadomiar złego obawiał się, że wyniknie rozmowa o ataku. Milczenie trwało przeszło minutę. Nagle von Koren spojrział na Łajewskiego i zapytał:

— Jakże się pan czuje po wczorajszym?

— Wspaniale — odpowiedział Łajewskij, i zaczerwienił się. — W gruncie rzeczy nie zdarzyło się przecież nic nadzwyczajnego...

— Do wczoraj sądziłem, że tylko panie podlegają hysterji, to też myślałem, że pan ma taniec św. Wita.

Łajewskij uśmiechnął się przymilnie i pomyślał: „Jak to gruboskórnie z jego strony. Przecież wie doskonale, że jest mi ciężko”...

— Tak, komiczna to historia — powiedział, uśmiechając się w dalszym ciągu. — Śmiałem się dziś przez cały ranek. Co najciekawsze w ataku histerycznym, to, że się wie, że to jest nonsens, z którego człek

szydzi w duchu, mimo to zaś jednocześnie szlocha. W naszej nerwowej epoce jesteśmy niewolnikami własnych nerwów, to są nasi gospodarze, którzy wyrabiają z nami, co im się podoba. Cywilizacja wyświadczyła nam w tym względzie niedźwiedzią przysługę...

Łajewskij mówił i było mu niemiło, że von Koren poważnie i z uwagą wysłuchuje go, przygląda mu się uważnie bez mrugnięcia powiek, jakby go studjował; miał też urazę do siebie za to, że pomimo swej niechęci do von Korena, nie potrafił spędzić z twarzy tego przymilnego uśmiechu.

— Chociaż, należy stwierdzić — ciągnął — istniały też bezpośrednie przyczyny, które spowodowały atak, przyczyny dość nawet ważne. W ostatnich czasach zdrowie moje uległo ostremu zachwianiu. Niech pan doda do tego nudę, ciągły brak gotówki... brak właściwych ludzi i wspólnych zainteresowań... sytuacja kota na puszczy...

— Tak, pan jest w sytuacji bez wyjścia — oświadczył von Koren.

Te spokojne, chłodne wyrazy, zawierające w sobie bądź drwinę, bądź nieproszone proroctwo, dotknęły Łajewskiego. Przypomniał sobie wczorajsze, przepełnione szyderstwem i obrzydzeniem spojrzenie zoologa, zamilkł na chwilę, poczem spytał już bez uśmiechu:

— A panu skąd jest znana moja sytuacja?

— Sam pan przed chwilą mówił o niej, no i pańscy przyjaciele biorą tak gorący udział, że się przez cały dzień słyszy jedynie o panu.

— Jacy przyjaciele? Samojlenko może?

— Tak, on również.

— Życzyłbym sobie, żeby Aleksandr Dawidycz i reszta mych przyjaciół mniej przejmowała się moimi sprawami.

— Właśnie idzie Samojlenko, niech go pan poprosi, żeby mniej przejmował się pańskimi sprawami.

— Nie rozumiem pańskiego tonu... — wykrztusił Łajewskij. Ogarnęło nim takie uczucie, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że zoolog nienawidzi go, gardzi nim i znęca się nad nim, że jest jego najzawziętym, najbardziej zaciętym wrogiem. — Proszę zachować ten ton dla kogoś innego — powiedział półgłosem, nie mając siły mówić głośno, bowiem nienawiść dławiała mu pierś i szyję tak, jak spazm śmiechu wczoraj.

Wszedł Samojlenko bez marynarki, spocony i karmazynowy po kuchennym skwarze.

— A, jesteś tu? — Zwrócił się do Łajewskiego. — Witaj, kochasiu. Jadłeś obiad? Nie rób ceremonji i gadaj: jadłeś?

— Aleksandrze Dawidyczu — powiedział Łajewskij, wstając. — O ile nawet zwracałem się do ciebie z jakąś poufną prośbą, to bynajmniej nie wypływa stąd, bym miał cię zwolnić z obowiązku dyskrecji i poszanowania cudzej tajemnicy.

— Co takiego? — zdziwił się Samojlenko.

— Skoro nie masz pieniędzy — ciągnął Łajewskij, podnosząc głos i w zdenerwowaniu przestępując z nogi na nogę, — to nie dawaj, odmów, ale poco trąbić po wszystkich ulicach, że jestem w sytuacji bez wyjścia i tak dalej? Nie znoszę tych dobrodziejstw i przyjacielskich przysług, kiedy to się robi za grosz, a gada za całego rubla! Możesz się chwalić swemi dob-

rodziejstwami ile ci się podoba, ale nikt ci nie dał prawa do ujawniania moich tajemnic!

— Jakich tajemnic? — Zapytał Samojlenko. Nie rozumiał o co chodzi i zaczynał wpadać w gniew. — Jeżeli przyszedłeś poto, żeby urągać, to idź sobie. Później możesz przyjść.

Przypomniiał sobie zasadę: gdy masz wybuchnąć gniewem przeciw bliźniemu swemu — zacznij liczyć w myśli do stu a uspokoisz się, i pośpiesznie zabrał się do liczenia.

— Proszę nie opiekować się mną! — ciągnął Łajewskij. — Nie zwracać na mnie uwagi. Co komu do mnie i do tego, jak ja żyję? Tak, a więc chcę wyjechać! Tak, więc robię długi, piję, żyję z cudzą żoną, mam histerję, jestem pospolity, nie tak wzniosłe myślący jak niektórzy inni, ale co komu do tego? Poszanowania dla jednostki!

— Daruj mi, mój drogi — powiedział Samojlenko, policzywszy do trzydziestu pięciu. — Ale...

— Poszanowania dla jednostki! — przerwał mu Łajewskij. To wieczne wywnętrzanie się na cudzy rachunek, te „och” i „ach”, ciągłe śledzenie, podsłuchiwanie, to serdeczne współczucie... pal je diabli! Pożyczają mi się pieniądze, a warunki stawia się jak smarkaczowi, traktuje się mnie jak diabli wiedzą kogo! Nie chcę już nic! — krzyknął Łajewskij. Słaniał się ze zdenerwowania i bał się ponownego ataku histerji. „A więc w sobotę nie wyjadę” — przeoknęło mu przez głowę. — Nie chcę już nic, tylko proszę o łaskawe zwolnienie mnie od kurateli. Nie jestem smarkaczem, nie jestem warjatem i proszę o zdjęcie tego nadzoru.

Wszedł djakon, ale na widok Łajewskiego, który błady, wymachując rękami, zwracał się ze swem dziwnem przemówieniem do portretu księcia Woroncowa, zatrzymał się w drzwiach, jak wkopany.

— Wiecznie zaziera się do mej duszy — ciągnął Łajewskij. — Obraża się moją godność ludzką! Otóż proszę szpiegów z amatorstwa, by zaprzestali swego węszenia! Dość!

— Cóż ty... co pan powiedział? — Zapytał Samojlenko, który już policzył do stu i zaczerwieniony, zbliżał się do Łajewskiego.

— Dość! — powtórzył Łajewskij, dysząc ciężko i chwytając czapkę.

— Jestem lekarzem rosyjskim, szlachcicem i radcą stanu! — Dobitnie oświadczył Samojlenko. — Szpiegiem nie byłem nigdy i nikomu nie pozwolę siebie obrażać! — Wykrzyknął rozdygotanym głosem, kładąc akcent na ostatnim wyrazie. — Milczeć!

Djakon nigdy nie widział, żeby doktor był tak majestatyczny, pompatyczny, karmazynowy i groźny. Zatkaną więc sobie usta, uciekł do przedpokoju i zatonął się tam ze śmiechu. Niby przez mgłę dostrzegł Łajewskij, że von-Koren wstał i, z rękami włożonemi w kieszenie spodni, upozował się tak, jakby czekał co dalej nastąpi: to spokojne stanowisko wydało się Łajewskiemu w najwyższym stopniu impertynenckie i obelżywe.

— Zechce pan cofnąć swe słowa! — Wrzasnął Samojlenko.

Łajewskij, który nie pamiętał już, jakie słowa wypowiedział, odrzekł:

— Proszę mnie zostawić w spokoju, nie chcę nic!

Chcę tylko, aby pan, oraz niemieccy emigranci żydowskiego pochodzenia dali mi spokój! Bo chwycę się innych środków! Będę się bił!

— Teraz już jest zrozumiałe — powiedział von Koren, wychodząc zza stołu. — Pan Łajewskij ma chęć przed wyjazdem rozerwać się pojedynkiem. Mogę mu dostarczyć tej rozrywki. Panie Łajewskij, przyjmuję pańskie wyzwanie.

— Wyzwanie? — Powtórzył stłumionym głosem Łajewskij, zbliżając się do zoologa i z nienawiścią patrząc na jego śniade czoło i kręcone włosy. — Wyzwanie? Proszę bardzo. Ja nienawidzę pana! Nienawidzę!

— Bardzo mi miło. Jutro rano, jaknajwcześniej, koło Kerbałaja, ze wszystkimi detalami w pańskim guście. A teraz proszę się wynosić.

— Nienawidzę! — Mówił cicho Łajewskij, dysząc ciężko. — Dawno nienawidzę! Pojedynek! Tak!

— Zabierz go, Aleksandrze Dywidyczu, bo ja pójdę — powiedział von Koren. — Jeszcze mnie ugryzie.

Spokojny ton von Korena ostudził doktora. Samojlenko jakoś nagle osiągnął równowagę, opamiętał się, objął oburącz Łajewskiego i, odciągając go od von Korena, zaszemrał łagodnie, drżącym ze wzruszenia głosem:

— Przyjaciele moi... poczciwi, dobrzy... unieśliśmy się, no i dość... i dość... przyjaciele moi...

Słyszając serdeczny, przyjazny głos, Łajewskij uczuł, że w życiu jego zaszło coś niebywałego, potwornego, jakby go o mało co nie przejechał pociąg; nie-

wiele brakowało, żeby się rozplakał, machnął ręką i wyleciał z pokoju.

„Doświadczyć na sobie cudzej nienawiści, przedstawić się wobec nienawidzącego człowieka w jaknajbardziej pożałowania godnym, wzgardę budzącym, bezradnym stanie — Boże, jakież to ciężkie!” — rozmyślał po jakimś czasie, siedząc w kawiarni. Na ciele czuł jakby rdzę naskutek doświadczonej dopiero cc czyjejs nienawiści. — „Jakież to brutalne, o Boże!”

Zimna woda z koniakiem orzeźwiła go. Zobaczył wyraźnie spokojną, pogardliwą minę von Korena, jego wczorajsze spojrzenie, podobną do dywanu rubaszkę, białe ręce, i tłocząca żywiołowa, głodna nienawiść zaczęła rozpierać piersi, domagając się zaspokojenia. W myślach swoich zwałił von Korena i deptał po nim nogami. Przypominał z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co zaszło i dziwił się, jak to on mógł uśmiechać się przymilnie do tego nędznika i wogóle liczyć się ze zdaniem całej tej, nikomu nieznaney miernoty, zamieszkującej najnędzniejszą mięscinę, której, zdaje się, niema nawet na mapie i o której nie wie ani jeden przyzwoity człowiek w Petersburgu. Gdyby ta mięscina zapadła się, albo spłonęła, to wiadomość o tem w Rosji przeczytanoby z takim samym znudzeniem, jak ogłoszenie o sprzedaży używanych mebli. Zabić jutro von Korena, czy pozostawić go przy życiu — to wszystko jedno, jednakowo bezużyteczne i nieciekawe. Wycelować w nogę, albo w rękę, zranić, następnie wyśmiać go i niechby, jak owad z oderwaną nóżką, co gubi się w trawie, niechby i on ze swem głuchem cierpieniem zagubił się w tłumie takich samych, jak on nędzników.

Łajewskij poszedł do Szeszkowskiego, opowiedział mu wszystko i poprosił na sekundanta; następnie obydwaj razem udali się do naczelnika biura pocztowo-telegraficznego, poprosili go na sekundanta i zostali u niego na obiedzie. Podczas obiadu żartowali i śmieli się dużo. Łajewskij pokpiwał sobie z tego, że prawie zupełnie nie umie strzelać i nazywał siebie strzelcem królewskim i Wilhelmem Tellem.

— Trzeba temu panu dać nauczkę... — mówił.

Po obiedzie zasiedli do kart. Łajewskij grał, pił wino i myślał, że pojedynek wogóle, to głupota i nonsens, ponieważ nigdy nie rozwiązuje sprawy, tylko ją komplikuje, ale, że jednak niekiedy nie można obejść się bez niego. Naprzykład w obecnym przypadku: przecież nie pójdzie do sądu ze skargą na von Korena. Prócz tego, mający się odbyć pojedynek ma jeszcze tę dobrą stronę, że potem nie będzie już można tu pozostać. Łajewskij podpisał sobie trochę, rozerwała go gra w karty, więc czuł się dobrze.

, Ale kiedy słońce zaszło i zrobiło się ciemno owładnął nim niepokój. Nie był to strach przed śmiercią, gdyż w czasie obiadu i gry w karty umocniło się w nim, niewiadomo czemu, przekonanie, że pojedynek skończy się na niczem; to był lęk wobec czegoś nieznanego, czegoś, co winno było wydarzyć się jutrzejszego ranka poraz pierwszy w jego życiu i lęk wobec nadchodzącej nocy... Wiedział, że noc ta musi być długa, bezsenna i że będzie musiał myśleć nie tylko o samym von Korenie i jego nienawiści, ale również o owym steku kłamstw, przez które trzeba będzie przekroczyć, a których wyminąć nie potrafi i nie ma siły. Mogłoby się wydawać, że Łajewskij zachorował raptownie:

stracił nagle wszelkie zainteresowanie do kart i towarzysztwa, napadł go nerwowy pośpiech i zaczął prosić, żeby go puszczono do domu. Zapragnął jaknajprędzej położyć się do łóżka, nie ruszać się i uporządkować przed nocą swe myśli. Szeszkowski wraz z urzędnikiem poczty odprowadzili go i udali się do von Korena, żeby omówić sprawę pojedynku.

Nieopodal swego mieszkania Łajewskij spotkał Aczmjanowa. Młodzieniec był zdyszany i podniecony.

— A ja poszukuję pana! — oświadczył. — Proszę bardzo, chodźmy coprędzej...

— Dokąd?

— Z panem chce zobaczyć się pewien nieznany panu jegomość, który ma do pana bardzo ważną sprawę. Prosi najgoręcej, żeby pan przyszedł na chwilę. Musi z panem pomówić... Dla niego to tyle znaczy, co śmierć, albo życie...

Ze zdenerwowania Aczmjanow mówił z wybitnie ormiańskim akcentem, tak, że wyraz „życie” brzmiał w jego ustach, jak „życze”.

— Któż to taki? — zapytał Łajewskij.

— Prosił, żeby nie wymieniać nazwiska.

— Niech mu pan powie, że nie mam czasu. Jutro, jeżeli łaska...

— Jakże można! — przeraził się Aczmjanow. — On chce powiedzieć panu coś bardzo dla pana ważnego... Bardzo ważnego! Gdyby pan nie przyszedł — będzie nieszczęście...

— Dziwne... — wymruczał Łajewskij, nie mogąc zrozumieć, czemu Aczmjanow jest taki podniecony i co za tajemnice mogą istnieć w nudnej, nikomu nie-

potrzebnej mieścinie. — Dziwne — powtórzył w zamysleniu. — Zresztą, chodźmy. Wszystko jedno.

Aczmjanow pośpiesznie podązał przodem, a Łajewskij za nim. Przeszli ulicę, potem skrzyli w zaulek.

— Jakie to nudne — powiedział Łajewskij.

— Zaraz, zaraz... Blisko.

Przy starym wale przemierzyli wąską uliczkę pomiędzy dwoma ogrodzonymi pustymi placami, następnie weszli w jakieś wielkie podwórze i skierowali się ku niedużemu domkowi...

— To dom Miuridowa chyba? — zapytał Łajewskij.

— Tak.

— Ale czemu idziemy takimi zakamarkami, nie rozumiem? Mogliśmy dojść ulicą. Tamtędy bliżej....

— To nic, to nic...

Wydało mu się też dziwne, że Aczmjanow zaprowadził go przez kuchenne drzwi i zatrzepotał ręką, jakby prosząc, żeby stapał pocichu i milczał.

— Tędy, tędy — powiedział Aczmjanow, ostrożnie uchylając drzwi i wchodząc na palcach do sieni.— Ciszej, ciszej... Mogą usłyszeć.

Nasłuchiwał chwilę, odsapnął ciężko i powiedział szeptem:

— Niech pan otworzy te oto drzwi i wejdzie... Niech się pan nie boi.

Łajewskij z wahaniem otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Sufit był niski, okna pozastłaniane. Na stole stała świeca.

— Czego tam? — Zapytał ktoś z przyległego pokoju. — To ty, Miurydko?

Łajewskij skierował się do tamtego pokoju i zobaczył Kirilina a obok niego Nadieżdę Fiodorownę.

Nie słyszał, co mu powiedziano, cofnął się i nie spostrzegł jak znalazł się na ulicy. Nienawiść do von Korena i niepokój — wszystko uleciało mu z duszy. Idąc do domu, wymachiwał niezgrabnie prawą ręką i uważnie patrzył pod nogi, usiłując stapać po gładkich miejscach. W domu, w gabinecie, zacierając dłonie i niezdarne poruszając ramionami i szyją, jakby mu ciasno było w marynarce i koszuli, przeszedł się z kąta w kąt, potem zapalił świecę i usiadł przy biurku...

XVI.

— Wiedza humanistyczna, o której pan mówi, wówczas tylko zaspokoi myśl ludzką, gdy na drodze postępu swego spotka się z wiedzą ścisłą i zacznie kroczyć obok niej. Czy spotkanie to nastąpi pod mikroskopem, czy w monologach nowego Hamleta, albo w nowej religji — nie wiem, ale myślę, że wprzód ziemia pokryje się skorupą lodową, nim się to stanie. Najbardziej trwałą, najżywotniejszą ze wszystkich gałęzi wiedzy humanistycznej jest, oczywiście, nauka Chrystusa, ale proszę tylko zauważyć, nawet i ona jest najrozmaiciej rozumiana! Jedni nauczają, żebyśmy kochali wszystkich bliźnich i przytem robią wyjątek dla żołnierzy, przestępców i szaleńców: pierwszych pozwalają zabijać na wojnie, drugich izolować albo skazywać, trzecim zaś zabraniają zawierania małżeństw. Inni komentatorzy uczą miłować wszystkich bliźnich bez wyjątku, nie czyniąc różnic między plusami i mi-

nusami. Zgodnie z ich nauką, gdy do pana przyjdzie suchotnik, albo zbrodniarz, albo epileptyk i ubiega się o pańską córkę — winien pan ją dać; o ile kretyni wydadzą wojnę zdrowym na umyśle i na ciele — podstawmy głowy. Ta zasada miłości dla miłości, jak sztuki dla sztuki, gdyby mogła mieć moc, to w ostatecznym końcu doprowadziłaby ludzkość do całkowitej zagłady i tym sposobem dopełniłaby się najstraszliwsza zbrodnia, jaka kiedykolwiek mogła się zdarzyć na ziemi. Komentowań jest niezmiernie dużo, a skoro jest dużo, to poważna myśl nie zadowolni się żadnym z nich i do masy komentarzy doda swój własny. Dlatego niech pan nigdy nie stawia kwestji na filozoficznym, jak pan powiada, albo na tak zwanym chrześcijańskim gruncie; w ten sposób pan tylko odsuwa rozwiązanie zagadnienia.

Djakon uważnie wysłuchał zoologa, pomyślał i zapytał:

— Prawo etyczne, właściwe każdemu człowiekowi, zostało wymyślone przez filozofów czy też stworzone wraz z ciałem przez Boga?

— Nie wiem. Prawo to jednak jest w takim stopniu wspólne wszystkim narodom i epokom, że mam wrażenie, należy je uważać za związane organicznie z człowiekiem. Nie jest ono wymyślone, ale istnieje i będzie istniało. Nie powiem panu, czy zostanie kiedykolwiek zbadane pod mikroskopem, lecz organicznego związku dowodzi już sama oczywistość: poważne cierpienia mózgowie i wszystkie, tak zwane choroby psychiczne, przejawiają się przede wszystkim w spaczeniu prawa etycznego, o ile mi wiadomo.

— Zgoda. Czyli że tak, jak żołądek chce jeść, tak

nasze poczucie etyki chce, żebyśmy miłowali bliźnich. Czy tak? Ale instynkt wrodzony, powodowany egoizmem, sprzeciwia się głosowi sumienia i rozumu, wobec czego powstaje moc zawitych kwestyj. Do kogoż mamy się zwracać po rozwiązanie tych kwestyj, skoro pan nie pozwala umieszczać ich na gruncie filozoficznym?

— Niech się pan zwróci do tych niewielu nauk ścisłych, jakie posiadamy. Niech pan zaufa oczywistości i logice faktów. Prawda, że to wygląda skąpo, ale zato nie tak chwiejnie i mgliście, jak filozofja. Prawo etyczne, dajmy na to wymaga, żeby miłować ludzi. Więc cóż? Miłość powinna polegać na usuwaniu wszystkiego tego, co w ten czy inny sposób w teraźniejszości i przyszłości grozi im niebezpieczeństwem. Wiedza nasza oraz oczywistość mówią panu, że ludzkości zagraża niebezpieczeństwo ze strony jednostek nienormalnych pod względem fizycznym i moralnym. Skoro tak jest, to niechże pan walczy z nienormalnymi. Jeżeli panu brak środków, by ich wznieść do poziomu normy, to starczy wszak panu siły i umiejętności do unieszkodliwiania, czyli do tępienia.

— Czyli, że miłość ma polegać na tem, żeby silniejszy zwyciężał słabszego.

— Niewątpliwie.

— Ale to przecież silni ukrzyżowali Pana naszego Jezusa Chrystusa! — odparł zapalczywie djakon.

— O to właśnie chodzi, że ukrzyżowali Go nie silni, tylko słabi. Kultura ludzka podkopała i dąży do zanulowania walki o byt oraz doboru naturalnego; stąd szybkie rozmnażanie się słabych i przewaga ich nad silnymi. Proszę sobie wyobrazić, że udało się pa-

nu wpoić pszczołom ideały humanitarne w pierwotnej, szczątkowej postaci. Cóż stąd wyniknie? Trutnie, które należy zabijać, pozostaną przy życiu, będą zjadały miód, deprawowały i dusiły pszczoły — rezultatem — przewaga słabych nad silnymi i wyradzanie się tych ostatnich. To samo odbywa się teraz wśród ludzkości: słabsi uciskają silnych. U dzikusów, nietkniętych jeszcze przez kulturę, przoduje najsilniejszy, najmędrzy i najpraktyczniejszy; jest ich wodzem i władcą. My zaś, ludzie kulturalni, ukrzyżowaliśmy Chrystusa i wciąż Go krzyżujemy. Widocznie brak nam czegoś... I to „coś” powinniśmy w sobie odbudować, gdyż w przeciwnym razie nigdy nie skończą się nasze nieporozumienia.

— Ale jakie ma pan kryterjum przy odróżnianiu jednostek silnych i słabych.

— Wiedzę i oczywistość. Suchotników i żółzowatych rozpoznaje się według ich chorób, zaś nieetycznych i warjatów według postępów.

— Ale przecież możliwe są omyłki!

— Tak, ale niema co bać się przemoczenia nóg wówczas, gdy grozi potop.

— To jest filozofja! — roześmiał się djakon.

— Bynajmniej. Pan do takiego stopnia jest zepsuty swoją filozofją seminaryjną, że we wszystkim chce widzieć jedynie mgłę. Nauki oderwane, któremi nabita jest pańska głowa, dlatego właśnie nazywają się „oderwane”, że odrywają umysł od rzeczywistości. Niechże pan patrzy djabełku prosto w oczy i, o ile to jest djabeł, to niechże pan gada, że to djabeł, a nie pcha się do Kanta, czy Hegla po wyjaśnienie.

Zoolog zamilkł na chwilę i znów ciągnął dalej:

— Dwa razy dwa to cztery, a kamień to kamień. Jutro, naprzykład, mamy się pojedynekować. Będziemy tu sobie we dwójkę rozwodzili się, że to głupie i bezsensowne, że pojedynki są już przeżytkiem, że arystokratyczny pojedynek w istocie swojej niczem nie różni się od pijackiej bójki w szynku, mimo to jednak nie zatrzymamy się i będziemy się bili. Czyli że widocznie istnieje siła mocniejsza od naszych rozumowań. Krzyczymy, że wojna — to rozbój, barbarzyństwo, potworność, bratobójstwo, nie jesteśmy w stanie bez omdlewania patrzeć na krew; wystarczy jednak, by francuzi lub niemcy, obrazili nas, a już wpadniemy w zapał, zaczniemy jaknajszczerzej wykrzykiwać hurra i rzucimy się na wroga, pan będzie wzywał błogosławieństwa Bożego dla naszego oręża, zaś waleczność nasza będzie budziła powszechny i przytem istotny entuzjazm. I znowuż, najwidoczniej, istnieje siła, która jeżeli nie jest wznioślejsza, to w każdym razie mocniejsza od nas i naszej filozofji. Nie możemy jej zahamować tak samo, jak tej oto chmury, sunącej z za morza. Niechże pan zaprzestanie hipokryzji, pokazywania figi w kieszeni i powtarzania: ach, to głupie! ach, to przestarzałe! ach, niezgodne z Pismem Świętem! Niech pan spojrzy tej sile prosto w oczy, uzna jej rozsądną konieczność, i gdy ona, dajmy na to, chce zgładzić cherlawe, żółzowate, rozpustne plemię, to niech pan jej nie przeszkadza swemi pigułkami oraz cytatami ze źle zrozumianej Ewangelji. Leskow ukazuje nam poczciwego Daniłę, który znalazł za miastem trędowatego i żywi go i ogrzewa w imię miłości i w imię Chrystusa. Gdyby ten Daniła istotnie miłował ludzi, to odciągnąłby trędowatego jaknajda-

lej od miasta i cisnąłby go do rowu, sam zaś oddałby się na służbę zdrowych. Chrystus, przypuszczam, zalecał nam miłość rozumną, pełną treści i pożyteczną.

— A to dopiero z pana! — roześmiał się djakon. — Przecież pan nie wierzy w Chrystusa, czemu więc Go pan tak często wspomina?

— Właśnie, że wierzę. Tylko, oczywiście, na swój sposób, nie na pański. Och, djakonie, djakonie! — roześmiał się zoolog, objął djakona i dodał wesoło: — Więc cóż? Jedziemy jutro na pojedynek?

— Stan kapłański mi zabrania, bo pojechałbym.

— A cóż to znaczy — stan kapłański?

— Mam święcenia. Łaska Boża spoczywa na mnie.

— Och, djakonie, djakonie! — powtórzył ze śmiechem von Koren. — Lubię sobie z panem pogawędzić.

— Powiada pan, że pan wierzy — powiedział djakon. — Cóż to za wiara? Mam ja stryjaska popa, ten to tak wierzy, że jak w posuchę idzie na pole modlić się o deszcz, to zabiera ze sobą parasol i skórzaną palto, żeby go w powrotnej drodze deszcz nie przemoczył. To dopiero jest wiara! Jak mówi o Chrystusie, to aż blask od niego bije, a wszystkie baby i chłopcy, jak bobry płaczą. Potrafiłby i tę chmurę zatrzymać i wszelakie pańskie siły do ucieczki przymusić. Tak... Wiara góry porusza.

Djakon roześmiał się i poklepał zoologa po ramieniu.

— Właśnie... — ciągnął dalej. — O, pan wciąż się uczy, zgłębia bezdenie morskie, odróżnia słabych i silnych, pisze książki i wyzywa na pojedynki, a wszy-

stko zostaje sobie na dawnym miejscu. A oto jakiś wąły starzec wypowie z natchnienia ducha świętego jedno słóweczko, lub też z Arabji przygalopuje na rumaku nowy Mahomet z szablą, i wszystko wywróci się panu dogóry nogami, a w Europie kamień na kamieniu nie ostoi się.

— Ej, djakonie, to to jeszcze widłami po wodzie pisane!

— Wiara bez uczynków martwą jest, zasię uczynki bez wiary postokroć gorsze, to tylko strata czasu i nic ponadto.

Na wybrzeżu ukazał się doktor. Zobaczył djakona i zoologa i podszedł do nich.

— Zdaje się, że wszystko gotowe, — powiedział zadyszany. — Sekundantami będą Goworowski i Bojko. Wstąpią po pana o piątej rano. Ależ zaciągnęło się! — dodał, spojrzawszy na niebo. — Nic nie widać. Zaraz zaczną padać.

— Mam nadzieję, że pojedziesz z nami? — Zapytał von Koren.

— A nie, niech mnie Bóg broni, i tak dość już namęczyłem się. Ustimowicz pojedzie zamiast mnie. Rozmawiałem już z nim.

— Jak duszno przed burzą! — powiedział von Koren.

— Założę się, żeś był już u Łajewskiego i wyplakiwałaś mu się na piersi.

— Poco miałbym do niego iść? — odpowiedział doktor ze zmieszaniem. — Jeszcze czego!

Przed zachodem słońca przeszedł się kilka razy po bulwarze i ulicy w nadziei spotkania Łajewskiego. Wstydził się swego wybuchu i nagłego porywu dobro-

ci, który nastąpił po tym wybuchu. Chciał w tonie żartobliwym przeprosić Łajewskiego, wyłajać go, uspokoić i powiedzieć, że pojedynek, to pozostałość średniowiecznego barbarzyństwa, ale że w tym wypadku sama Opatrzność wskazała im pojedynek, jako drogę do zgody i w dniu jutrzejszym obydwaj oni — najwspanialsii, najkolosalniejszego umysłu ludzie — po wymianie strzałów ocenią wzajemnie swą szlachetność i zostaną przyjaciółmi. Łajewskiego jednak nie spotkał nigdzie.

— Poco miałbym do niego iść? — Powtórzył Samojlenko. — Ja go nie obraziłem, tylko on mnie. Powiedz, z łaski swojej, dlaczego on tak napadł na mnie? Co złego mu zrobiłem? Wchodzę do salonu i nagle, jak się masz: szpiegiem zostałem! Masz tobie! Powiedz mi tylko od czego to się między wami zaczęło? Coś ty mu powiedział?

— Powiedziałem mu, że jest w sytuacji bez wyjścia. I miałem rację. Jedynie ludzie uczciwi i łotry mogą znaleźć wyjście z każdej sytuacji, ten zaś, co chce być jednocześnie i uczciwym i łotrem, nie ma wyjścia. Jednakowoż, moi państwo, już jedenasta, a jutro musimy wstąpić.

Nadleciał gwałtowny wicher; wionął kurzem po wybrzeżu, zakotłował, ryknął i zagłuszył szum morza:

— Szkwał! — powiedział djakon: — Trzeba uciekać, oczy mi zaprószyło.

W drodze Samojlenko westchnął i oświadczył, przytrzymując czapkę:

— Chyba nie będę dzisiaj spał.

— Bo nie denerwowałbyś się — roześmiał się zoolog. — Możesz być spokojny, pojedynek skończy

się na niczem. Łajewskij wspaniałomyślnie wystrzelił w powietrze, bo on inaczej nie może, a ja, prawdopodobnie wcale nie będę strzelał. Trafić do sądu przez Łajewskiego, tracić czas — to gra nie warta świeczki. A propos, jaka odpowiedzialność grozi za pojedynek?

— Areszt, w razie zaś śmierci przeciwnika — twierdza do trzech lat.

— W Petropawłowsku?

— Nie, zdaje się, że w twierdzy wojskowej.

— Chociaż należałoby dać nauczkę temu zuchowi.

Stylu, nad morzem, mignęła błyskawica i oświetliła na mgnienie okna, dachy domów i góry. Przy bulwarze przyjaciele rozeszli się. Gdy doktor znikł w ciemności i gdy już ścichał odgłos jego kroków, von Koren zawołał:

— Żeby tylko nam jutro pogoda nie przeszkodziła!

— Bardzo to możliwe! Dałby, zresztą, Bóg!

— Dobranoc!

— Co — noc? Co ty mówisz?

Poprzez szum wichru i morza i poprzez łoskot grzmotu trudno było porozumieć się.

— Nic! — krzyknął zoolog i podążył do domu.

XVII.

*...w mózgu, w udęce melancholji
Tłum myśli ciężkich goni myśl;
Wspomnienie niemo przy mnie stoi.
Rozwija długi przeżyć spis.
I z drzeniem czytam własne życie,
Brzydę się, ciskam przekleństw grom,*

*I gorzko skarżę się, i leję łzy obficie,
Lecz smętnych głosek tych nie zmywam łzą.*

Puszkina.

Zabiją go jutro rano, czy też wystawią tylko na urągowisko, to znaczy, pozostawią mu to życie — tak czy tak jest stracony. Zabije się z rozpacz i wstydu ta shańbiona kobieta, czy też będzie wlokła swoją nędzną egzystencję — tak czy tak jest już ona stracona...

Tak myślał Łajewskij, siedząc późnym wieczorem przy biurku i wciąż jeszcze trąć dłonie. Okno nagle otworzyło się i stuknęło, do pokoju wdarł się ostry wicher i papiery zleciały z biurka. Łajewskij zamknął okno i nachylił się, żeby pozbierać papiery. Wyczuwał w swem ciele coś nowego, jakąś przeszkodę, której przedtem nie było i nie poznawał swych ruchów; poruszał się nieśmiało, rozstawiał łokcie i wzruszał ramionami, a gdy usiadł przy biurku, to znowu zaczął trzeć dłonie. Ciało jego straciło elastyczność.

W przededniu śmierci należy pisać do ludzi sobie bliskich. Łajewskij pamiętał o tem. Ujął pióro i napisał drżącą ręką:

„Matko!”

Chciał napisać do matki, żeby w imię miłosiernego Boga, w którego ona wierzy, dała przytułek i ciepło serdeczne nieszczęsnej, shańbionej przez niego kobiecie, samotnej, bezdomnej i słabej; żeby zapomniała i wybaczyła wszystko, wszystko, wszystko i bodajby w części odkupiła ofiarą straszliwy grzech syna. Ale sobie przypomniał, jak to jego matka—tęga, pompatyczna stara jejmość w koronkowym czepcu—wychodzi raniem z domu do ogrodu, za nią zaś podąża rezydentka

z pieskiem, jak matka krzyczy rozkazującym głosem na ogrodnika, na służącą, i jak dumny, wyniosły ma wyraz twarzy — przypomniał to sobie i przekreślił napisane słowo.

We wszystkich trzech oknach oślepiająco załśniła błyskawica i bezpośrednio po tem rozległo się ogłuszające, tętniące uderzenie pioruna, które warkliwe zrazu przeszło następnie w grzmot i trzask tak silny, że szyby zadźwięczały w oknach. Łajewskij wstał, podszedł do okna i oparł czoło o szybę. Na dworze była mocna, piękna burza. Na horyzoncie błyskawice, niby białe wstęgi, bez przerwy rzucały się z chmur do morza i na wielkiej przestrzeni oświetlały wyniosłe, czarne fale. I справа i zlewa, i prawdopodobnie nad domem również połykiwały błyskawice.

— Burza! — szepnął Łajewskij; nawiedziło go pragnienie modlenia się do kogoś, czy do czegoś, bo-
dajby do błyskawic i chmur. — Kochana burza!

Przypomniał sobie, jak w dzieciństwie wybiegał podczas burzy z gołą głową do sadu, a za nim pędziły dwie płowowłose o niebieskich oczach dziewczynki i wszystkich moczył deszcz. Dziewczynki śmiały się zachwycone, kiedy jednak rozlegało się mocne uderzenie pioruna, tuliły się z ufnością do chłopczyka, chłopczyk zaś żegnał się i rozpoczynał modlitwę: „Święty, święty, święty...” O, dokąd odeszłyście, w jakim morzu zatonełyście, zaczątki pięknego, czystego życia? Nie boi się już dzisiaj burzy i nie kocha przyrody, nie ma swego Boga, wszystkie ufne dziewczątka, jakie kiedykolwiek znał, zmarnowane już zostały przez niego, lub jego rówieśników, w ojczystym sadzie nie po-

sadził ani jednego drzewka i nie wyhodował ani jednego źdźbła trawy, żyjąc zaś pośród żywych, nie uratował nawet muchy i tylko burzył, niszczył i kłamał, kłamał..

„Co w mojej przeszłości nie jest występkiem?” — zapytywał siebie, pragnąc, jak lejący w przepaść cze-
pia się krzaków, uczepić się jakiegoś świetlanego wspomnienia.

Gimnazjum? Uniwersytet? Ależ to fałsz. Uczył się marnie i zapomniał już tego, czego go nauczono. Służba dla społeczeństwa? To także fałsz, bowiem na stanowisku swem nie robił nic, pensję brał za nic, i okres ten — to bezecne okradanie skarbu państwa, za które nie odpowiada się sądownie.

Prawda nie była mu potrzebna i prawdy nie szukał; jego sumienie, zaczarowane przez występki i kłamstwo, spało, albo milczało; niby ktoś najobcejszy, czy wynajęty z innej planety, nie brał udziału w ogólnem życiu ludzkim, był obojętny na ludzkie cierpienia, ideały, religję, wiedzę, dociekania, walkę, nie rzekł ludziom bodaj jednego dobrego słowa, nie napisał ani jednego pożytecznego, nie trywialnego wiersza, nie uczynił nic, za jeden bodajby grosz, dobrego dla ludzi, tylko jadł ich chleb, spijał ich wino, uwodził im żony, żywił się ich myślami i, aby usprawiedliwić swe ohydne, pasorzytnicze życie wobec ludzi i samego siebie, zawsze starał się nadać sobie takie pozory, jakby stał wyżej i był lepszy od nich. Kłamstwo, kłamstwo i kłamstwo..

Przypomniawszy sobie wyraźnie to, co widział wieczorem w mieszkaniu Miuridowa i truchlał z nieznośnego uczucia wstrętu i rozpacz. Kirilin i Aczmjanow

budzą obrzydzenie, ale wszak oni kontynuowali to, co on rozpoczął; są jego współnikami i uczniami. Młodej, słabej kobiecie, która mu bardziej ufała, niż bratu, odebrał męża, znajomych, ojczyznę i przywiózł ją tutaj — na skwar, na febrę i tęsknotę; dzień w dzień, niby lustro, musiała ona odbijać w sobie jego nieróbstwo, występność i kłamstwo — i tem, jedynie tem, zapełniało się jej słabe, nędzne życie; potem przesycił się nią, zaczął nienawidzić, ale nie starczyło męstwa na porzucenie, więc starał się jeszcze mocniej oplątać kłamstwem, niby pajęczyną... Reszty dopełnili tamci mężczyźni.

Łajewskij to siadał przy biurku, to znowu stawał przed oknem; gasił świecę i znowu ją zapalał. Przeklinał siebie w głos, płakał, skarżył się, błagał o wybaczenie; kilka razy w rozpacz podbiegał do biurka i pisał: „Matko!”

Prócz matki nie miał żadnych krewnych ani nikogo bliskiego; zresztą, jak mogłaby mu pomóc matka? I gdzie ona jest? Chciał biec do Nadieždy Fiodorowny, paść do nóg, całować ręce i nogi, błagać o przebaczenie. Lecz to przecież jego ofiara i bał jej się tak, jakby już była martwa.

— Stracone życie! — mamrotał, trąc ręce. — Czemuż ja jeszcze żyję, Boże!...

Oto stracił z nieba swą bladą gwiazdę, stoczyła się, a ślad jej zmieszał się z mrokiem nocy; nie wróci już gwiazda na niebiosa, bowiem dar życia przypada człowiekowi raz tylko w udziale i nie może być ponowiony. Gdyby było można powrócić minione dni i lata, zamieniłby to, co było w nich kłamstwem, na prawdę, lenistwo na pracę, nudę na radość; zwróciłby

czystość tym, którym ją odebrał, znalazłby Boga i sprawiedliwość; to jednak jest równie niemożliwe, jak zawrócenie na niebiosa gwiazdy, co spadła. I dlatego, że to jest niemożliwe, Łajewskij wpadał w rozpacz.

Gdy burza minęła, siedział przy otwartem oknie i spokojnie rozmyślał o tem, co się z nim stanie. Prawdopodobnie von Koren zabije go. Jasny, zimny światopogląd tego człowieka uwzględnia tępienie cherlaków i niegodziwców; gdyby zaś nawet pogląd ów uległ w decydującej chwili załamaniu się, to wesprze go nienawiść oraz uczucie obrzydzenia, które budzi w nim Łajewskij. O ile von Koren chybi, lub też, żeby wyszydzić znieawidzonego wroga, zrani go tylko, albo strzeli w powietrze — co wówczas zrobić? Dokąd pójść?

— Jechać do Petersburga? — Zapytywał siebie Łajewskij. — Ależ to znaczyłoby rozpocząć znowu dawne życie, które przeklinam. I kto, niby przelotny ptak, szuka ratunku w zmianie miejsca, ten nic nie znajdzie, bo ziemia dla niego jest jednakowa wszędzie. Szukać ratunku u ludzi? W kim szukać i jak? Dobroć i wspaniałomyślność Samojlenki jest równie mało zbawcza, jak skłonność do śmiechu djakona, albo nienawiść von Korena. Wybawienia należy szukać tylko w samym sobie, gdyby zaś nie znalazło się, to pocóż marnować czas, trzeba zabić się, oto wszystko...

Doleciał turkot powozu. Świtało już. Powozik minął okno, zawrócił i, skrzypiąc kołami po wilgotnym piasku, zatrzymał się przed oknem. W powoziku siedziało dwóch mężczyzn.

— Proszę zaczekać, zaraz będę! — rzucił im przez

okno Łajewskij. — Ja nie śpię. Czy to już czas?

— Tak. Czwarta godzina. Zanim się dojedzie...

Łajewskij włożył palto i czapkę, włożył do kieszeni papierosy i stanął w zamyśleniu; zdawało mu się, że należy jeszcze coś zrobić. Na ulicy rozmawiali pocichu sekundanci i parskały konie i dźwięki te wśród wczesnego wilgotnego poranka, gdy wszyscy śpią a na niebie występuje dopiero blady świt, wlały w duszę Łajewskiego przygnębienie, podobne do złego przecucia. Trwał przez chwilę w zamyśleniu i nagle poszedł do sypialni.

Nadieżda Fiodorowna leżała wyciągnięta na swem pościeliu, otulona z głową w pled; nie poruszała się i przypominała, szczególnie z głowy, mumję egipską. Łajewskij patrzył na nią w milczeniu, poprosił ją w duchu o przebaczenie i pomyślał, że jeżeli niebo nie jest naprawdę puste, jeżeli jest tam Bóg, to On ją zachowa. O ile zaś Boga niema, to niechże i ona zginie, bo nie ma poco żyć.

Nadieżda Fiodorowna zerwała się raptownie i siadła na pościeliu. Uniosła bladą twarz i patrząc z przerażeniem na Łajewskiego, zapytała:

— To ty? Burza minęła?

— Minęła.

Nagle przypomniała sobie wszystko, założyła obydwie ręce na głowę i drgnęła całym ciałem.

— Jak mi ciężko! — powiedziała. — Gdybyś wiedział, jak mi ciężko! Czekałam — ciągnęła, przy-
mykając oczy, — że mnie zabijesz, albo wypędzisz z domu na deszcz i burzę, a ty zwlekasz...

Łajewskij porywczo i mocno objął ją, osypał pocałunkami kolana i dłonie, następnie, gdy ona coś

tam mamrotała i wzdrygała się od straszliwych wspomnień, przyglądał jej włosy, i wpatrując się w jej twarz zrozumiał, że ta nieszczęśliwa, występna kobieta jest mu jedynym bliskim, własnym i niezastąpionym człowiekiem.

Kiedy, po wyjściu z domu, wsiadał do powozu, pragnął powrócić do domu żywym.

XVIII.

Djakon wstał, ubrał się, wziął gruby sękaty kij i pocichu wyszedł z domu. Było ciemno i zrazu, maszerując przez ulicę, djakon nie widział nawet swojej białej laski; na niebie nie było ani jednej gwiazdy; zdawało się, że znowu będzie padał deszcz. Pachniało wilgotnym piaskiem i morzem.

„Żeby tak nie napadli czeczeńcy”, rozważał sobie djakon, nasłuchując, jak laska stuka i jak rozgłośnie i samotnie rozlega się w nocnej ciszy to stukanie.

Po wydostaniu się za miasto, zaczął widzieć drogę i swoją laskę; na czarnem niebie gdzieniegdzie ukazały się mętne plamy, wkrótce wyjrzała jedna gwiazda i lekliwie zaczęła mrugać swem okiem. Djakon szedł wzdłuż wysokiego skalistego brzegu i nie widział morza; morze usypiało wdole, zaś niewidzialne fale leniwie i ciężko uderzały o brzeg i, zda się, wzdychały: uf! Ale jak ospale! Uderzyła jedna fala, djakon zdążył odliczyć osiem kroków — dopiero wtedy uderzyła druga, po sześciu krokach — trzecia. Miał wrażenie, że wokół zupełnie nic nie widać, zaś z mro-

ków wynurza się leniwy, senny szum morza i ów bezgranicznie odległy, niewyobrażalny okres, gdy duch Boży unosił się nad chaosem.

Opanował go lęk. Przyszło mu do głowy, że Pan Bóg może go skarać zato, że zadaje się z niedowiar-kami i nawet idzie przyjrzeć się ich pojedynkowi. Pojedynek będzie niepoważny, bezkrwawy, śmieszny, bądź-co-bądź jednak, jest to widowisko pogańskie i obecność przy niem duchownej osoby zgoła nie licuje z przyzwoitością. Stał i zastanowił się: czy nie zawrócić czasem? Lecz przemożna, niepokojąca cieka-wość zwyciężyła wątpliwości, więc pomaszerował da-lej.

„Choć niewierzący, ale dobrzy ludziska i będą zbawieni”. Uspokajał sam siebie. — Niewątpliwie będą zbawieni! — Rzekł wgłos, zapalając papierosa.

Jaką miarą należy mierzyć wartość ludzi, by móc ich osądzić sprawiedliwie? Djakon przypomniał sobie swego wroga, inspektora szkoły duchownej, który i w Boga wierzył, i nie pojedynkował się, i trwał w celi-bacie, ale zato żywił djakona chlebem z piaskiem, a raz o mało nie oderwał mu ucha. Skoro życie ułożyło się tak niemądrze, że owego okrutnego, kradnącego mąkę rządową inspektora wszyscy szanowali i modlili się w szkole o jego zdrowie i wieczne zbawienie, to czyż sprawiedliwie byłoby boczyć się na takich ludzi, jak von Koren i Łajewskij dlatego tylko, że nie są wierzący? Djakon zaczął zastanawiać się nad tem py-taniem, ale nagle przypomniał sobie, jak śmiesznie wyglądał dziś Samojlenko i to mu przerwało tok my-śli. Dopieroż to jutro będzie śmiechu! Djakon wy-obrażał sobie, jak zasiądzie pod krzakiem i będzie

podglądał, a gdy jutro przy obiedzie von Koren znacznie przechwalać się, to djakon ze śmiechem wyliczy mu wszystkie szczegóły, dotyczące się pojedynku.

„Skąd pan to wszystko wie?” — Zapyta zoolog. — „Acha, właśnie! Siedziałem w domu, a wiem”.

Dobrzeby było opisać pojedynek w sposób humorystyczny. Teść przeczyta i uśmieje się. A teściowi mógłbyś chleba nie dać, bylebyś mu opowiedział czy napisał coś śmiesznego.

Wyłoniła się dolina rzeczki Żółtej. Po deszczu rzeczka zrobiła się szersza i bardziej gniewna, nie mruzczała już, ale ryczała. Zaczynało świtać. Szary, matowy, poranek, i obłoki mknące na zachód w pogoni za burzową chmurą, i góry, przepasane mgłą, i wilgotne drzewa — wszystko wydało się djakonowi brzydkie i złe. Obmył się w strumieniu, odmówił poranne pacierze i zachciało mu się herbaty z gorącemi racuchami w śmietanie, jakie co rano podawane są u teścia. Przypomniała mu się djakonowa, oraz „Bezpowrotnie”, które ona wygrywa na pianinie. Co to, właściwie, za kobieta? Zapoznano go, wyswatano i ożenono w ciągu tygodnia; żył z nią przez niespełna miesiąc, bo został odkomenderowany tutaj, nie zorjentował się dotychczas, jaką jest. Mimo to jednak, marnotnie trochę bez niej.

„Trzeba do niej liścik napisać”... Myślał sobie.

Chorażew na duchanie zwiśla po deszczu, sam zaś duchan z mokrym dachem wydawał się bardziej ciemny i niższy, niż przedtem. Przy wejściu stała arba; Kerbałaj i jakichś dwóch abchazczyków oraz młoda tatarka w szarawarach, prawdopodobnie żona, albo córka Kerbałaja, wynosili z duchanu napelnione czemś

wory i układali je na arbie, na kukurydzowej słomie. Obok arby stały ze spuszczonei łbami dwa osły. Ułożwszy worki, abchazczycy i tatarka zaczęli je okrywać zwierzchu słomą, Kerbałaj zaś jął pośpiesznie zaprzęgać osły.

„Przemyt, prawdopodobnie” — pomyślał djakon.

Oto zwalone drzewo o zeschniętem igliwiu, oto czarna plama po ognisku. Djakonowi przypomniła się ze wszystkimi szczegółami majówka, płonące ognisko, śpiew abchazczyków, słodkie marzenie o godności biskupiej i o procesji... Rzeczka Czarna po deszczu poszerzyła się i zczerniała. Djakon ostrożnie przeszedł przez chwiejny mostek, którego dosięgały już swemi grzbietami brudne fale, i wdrapał się po drabinie na suszarnię.

„Tęga głowa! — Myślał, wyciągając się na słomie i przypominając sobie von Korena. — Dobra głowa, daj mu Boże zdrowie. Tylko ma on w sobie okrucieństwo...”

Zaco on nienawidzi Łajewskiego, a tamten von Korena? O co będą się pojedynkowali? Gdyby obydwa w dzieciństwie zaznali takiej nędzy, jak djakon, gdyby wychowywali się w środowisku ciemnych, o oschłych sercach ludzi, ludzi chciwych na grosz, wymawiających każdy kęs chleba, brutalnych i nieociosanych w sposobie bycia, plujących na podłogę i czkających podczas obiadu i modlitwy, gdyby obydwa od dziecka nie byli zepsuci przyzwyczajeniami i dobranem towarzystwem, jakże uradowaliby się dziś sobie wzajemnie, jakże chętnie wybaczaliby sobie wzajemnie wady, ceniąc się za to, co jest w każdym z nich dobrego. Przecież nawet choćby tylko ze-

wnętrze przyzwoitych ludzi jest tak mało na świecie! Prawda, że Łajewskij, to narwaniec, dziwak, rozpuszczony, ale wszak nie ukradnie, nie charknie głośno na podłogę, nie powie do żony: „zresz, a pracować nie chcesz”, nie skatuje dziecka lejcam i nie będzie żywił swej służby cuchnącą słoniną. Czyż więc to wszystko nie wystarcza, by ustosunkować się doń pobłażliwie? W dodatku, przecież to przedewszystkiem on cierpi naskutek swych wad tak, jak chory cierpi naskutek ran. To też, miast doszukiwać się w sobie nawzajem z nudów, czy przez jakieś nieporozumienie — wypaczenia, wymierania, dziedziczności i innych, mało zrozumiałych historyj, miast tego wszystkiego, nie lepiejby to było zstąpić niżej i skierować gniew swój i nienawiść tam, kędy całe ulice rozbrzmiewają jękiem w szponach brutalnej ciemnoty, chciwości, wymawiań, brudu, wymysłów, kobiecych lamentów.

Zaleciał turkot powozu i przerwał myśli djakona. Djakon wyjrzał przez drzwi, dostrzegł powozik, a w nim trzech mężczyzn: Łajewskiego, Szeszkowskiego i naczelnika biura pocztowo - telegraficznego.

— Stop! — powiedział Szeszkowskij.

Wszyscy trzej wysiedli i spojrzeli po sobie.

— Niema ich jeszcze — zauważył Szeszkowskij, czyszcząc ubranie z błota. — Więc cóż? W oczekiwaniu dalszego ciągu, chodźmy poszukać odpowiedniejszego miejsca. Tu niema gdzie obrócić się.

Podążyli w górę rzeki i wkrótce znikli z oczu. Stangret - tatar usiadł w powoziku, pochylił głowę na ramię i usnął. Djakon przeczekał z dziesięć minut, poczem wyszedł z suszarni, zdjął czarny kapelusz, żeby nie wpadać ludziom w oczy, i kucając i oglądając

się, zaczął skradać się wzdłuż brzegu między krzakami i zagonami; z drzew i krzewów sypały się nań wielkie krople, trawa i kukurydza były mokre.

— Wstyd i hańba! — mrucał, unosząc swe zmoczone, brudne poły. — Żebym wiedział, tobym nie poszedł.

Wkrótce usłyszał głosy i zobaczył ludzi. Łajewskij, zgarbiony, z rękami założonemi w rękawy, przechadzał się z pośpiechem tam i spowrotem po niewielkiej polance; jego sekundanci stali przy samym brzegu i skręcali papierosy.

„Dziwne... — pomyślał djakon, nie poznając ruchów Łajewskiego. — Jakby był starcem”.

— Jak to niegrzecznie z ich strony! — odezwał się urzędnik pocztowy, spoglądając na zegarek. — Może to i wypada według panów uczonych spóźnić się, ale według mnie, to jest świństwo.

Szeszkowskij, otyły z czarną brodą jegomość, nasłuchiwał przez chwilę i oświadczył:

— Jada!

XIX.

— Poraz pierwszy w życiu widzę! Jakie to ładne! — powiedział von Koren, ukazując się na polanie i wyciągając obydwie ręce ku wschodowi. — Spójrzcie, panowie: zielone promienie!

Na wschodzie spoza gór wyjrzały dwa zielone promienie, i to istotnie było ładne. Wschodziło słońce.

— Dzieńdobry! — ciągnął zoolog, kłaniając się sekundantom Łajewskiego. — Nie spóźniłem się?

Za nim kroczyli jego sekundanci — dwóch w białych kitlach, bardzo młodych, jednakowej postawy oficerów — Bojko i Goworowski, oraz chudy mruk i odludek, doktor Ustimowicz. Doktor Ustimowicz w jednej ręce niósł jakiś węzeł, drugą miał założoną wtył; zgodnie ze zwyczajem, trzymał wzdłuż pleców wyciągniętą laskę. Złożywszy węzeł na ziemi i nie witając się z nikim, drugą rękę wyekspedjował również za plecy i zaczął przechadzać się po polanie.

Łajewskij odczuwał znużenie i zażenowanie, jak człowiek, który możliwe, że wkrótce umrze i tem zwraca na siebie ogólną uwagę. Pragnął, żeby go jak najprędzej zabito, lub odwieziono do domu. Wschód słońca widział dziś poraz pierwszy w życiu; ten wczesny poranek, zielone promienie i ludzie w przemoczonych butach — wszystko to wydawało mu się zbędne w jego życiu, niepotrzebne i krępujące; wszystko to nie miało związku z przeżytą nocą, z rozmyślaniami i z poczuciem winy, więc najchętniej odszedłby stąd, nie czekając na pojedynek.

Von Koren był wyraźnie podniecony i starał się pokryć podniecenie udawaniem, że największe zainteresowanie budzą w nim zielone promienie. Sekundanci byli zmieszani, spoglądali po sobie, jakby pytając, poco oni tu właściwie są i co mają robić?

— Panowie, przypuszczam, że dalej niema co iść — odezwał się Szeszkowski. — Miejsce dość odpowiednie.

— Tak, oczywiście — zgodził się von Koren.

Nastąpiło milczenie. Ustimowicz w marszu swym gwałtownie skręcił w stronę Łajewskiego i oświadczył półgłosem, dysząc mu prosto w twarz:

— Prawdopodobnie nie zdążono panu zakomunikować moich warunków. Każda strona płaci mi po 15 rubli, w razie zaś śmierci jednego z przeciwników, pozostały przy życiu płaci całe trzydzieści.

Łajewskij znał już dawniej tego człowieka, ale dopiero teraz poraz pierwszy dostrzegł wyraźnie jego przygaste oczy, szorstkie wąsy i wychudzoną suchotniczą szyję; lichwiarz, nie doktor! Oddech jego miał niemiły zapach gotowanego mięsa.

„Co za ludziska są na tym świecie” — pomyślał Łajewskij i odpowiedział:

— Dobrze.

Doktor kiwnął głową i znowu rozpoczął swój marsz. Było wyraźne, że wcale nie chodzi mu o pieniądze, o pieniądzech zaś mówił poprostu dlatego, że go przepętnia nienawiść. Wszyscy czuli, że czas już zacząć, lub skończyć to, co zostało rozpoczęte, nie zaczęli jednak i nie kończyli, tylko spacerowali, przystawali, palili papierosy. Młodzi oficerowie, którzy poraz pierwszy asystowali przy pojedynku, nawet teraz niebardzo jeszcze wierzyli w ten cywilny, zdaniem ich niepotrzebny pojedynek, oglądali uważnie własne mundury i wygładzali rękawy. Szeszkowskij zbliżył się do nich i rzekł pocichu:

— Panowie, powinniśmy użyć wszelkich wysiłków, żeby ten pojedynek nie odbył się. Należy doprowadzić do zgody.

Zaczerwienił się i ciągnął dalej:

— Wczoraj był u mnie Kirilin i użalał się, że Łajewskij zastał go wczoraj z Nadieżdą Fiodorowną i takie tam historje.

— Tak, nam to również jest wiadome — powiedział Bojko.

— No, więc uważacie panowie... Łajewskiemu drżą ręce i takie tam historje... Nawet nie uniesie pistoletu. Bić się z nim byłoby równie nieludzko, jak z pijanym lub chorym na tyfus. Gdyby nie doszło do zgody, to trzebaby choć odłożyć pojedynek, czy co... Taki galimatjas, że nie patrzyłbym najchętniej.

— Niech pan pomówi z von Korenem.

— Na przepisach pojedynkowych, pal je djabli raz na zawsze, nie znam się i znać się nie chcę; może on pomyśli, że Łajewskij stchórzył i nasłał mnie na niego? Zresztą, jak mu się tam podoba, pogadam.

Niezdecydowanie, utykając zlekka, jakby miał ścierpniętą nogę, Szeszkowski skierował się w stronę von Korena i gdy tak szedł i pochrząkiwał, cała jego postać tchnęła lenistwem.

— Otóż to właśnie, muszę jedną rzecz oświadczyć panu, łaskawco — zaczął, przypatrując się uważnie kwiatom na rubaszce zoologa. — To poufnie... Na przepisach pojedynkowych, pal je djabli raz na zawsze, nie znam się i znać się nie chcę i rozumiem nie jako sekundant i takie tam historje, tylko jak człowiek i kwita.

— Tak. Więc?

— Gdy sekundanci proponują zgodę, to zazwyczaj nikt ich nie słucha, uważa się to poprostu za formalność. Ambicja i kwita. Ale proszę pana o łaskawe zwrócenie uwagi na Iwana Andreicza. Nie jest dziś, że tak powiem, w normalnem usposobieniu, odchodzi od zmysłów, jest w litości godnym stanie. Wydarzyło mu się nieszczęście. Nie znoszę plotek — Szeszkowski

zaczerwienił się i obejrzał się — jednak ze względu na mający się odbyć pojedynek, uważam za wskazane zakomunikować panu. Wczoraj wieczorem Łajewskij przyłapał swoją damę w domu Miuridowa z... jednym jegomościem.

— Co za ohyda! — wyszeptał zoolog; zbladł, skrzywił się i głośno splunął: — Tfu!

Dolna warga mu zadrżała; odszedł od Szeszkowskiego, nie chcąc go słuchać dłużej, i jakby spróbawszy przypadkiem czegoś gorzkiego, znów splunął głośno i poraz pierwszy w ciągu tego rana spojrzął z nienawiścią na Łajewskiego. Podniecenie i zażenowanie opuściły go, potrząsnął głową i zapytał głośno:

— Panowie, na cóż czekamy? Dlaczego nie zaczynamy?

Szeszkowskij zamienił spojrzenie z oficerami i wzruszył ramionami.

— Panowie! — odezwał się głośno, nie zwracając się do nikogo specjalnie. — Panowie! Proponujemy, żebyście się pogodzili!

— Zakończmy raz te formalności — powiedział von Koren. — O zgodzie była już mowa. Jaka jest kolejna formalność? Prędzej panowie, bo czas nagli.

— My jednak obstajemy przy zgodzie — powtórzył Szeszkowskij tonem człowieka, który zmuszony jest do mieszania się w cudze sprawy, ale go to żenuje; zaczerwienił się, położył dłoń na sercu i ciągnął: — Panowie, my nie widzimy przyczynowego związku między obelgą a pojedyńkiem. Między obelgą, którą niekiedy, naskutek swej ułomności ludzkiej, rzucamy sobie wzajemnie, a pojedyńkiem niema nic wspólnego. Obydwaj panowie byliście na uniwersytecie, je-

steście ludźmi kulturalnymi i, oczywiście, sami patrzy-
cie na pojedynek, jako na przestarzałą, czczą formal-
ność i takie tam historje. My właśnie też tak zapatru-
jemy się, w przeciwnym razie nie przyjechalibyśmy
tu, bo nie możemy zezwolić, żeby w naszej obecności
ludzie strzelali do siebie i kwita. — Szeszkowskij otarł
pot z twarzy i ciągnął. — Zlikwidujcież panowie swe
nieporozumienie, podajcie sobie ręce i pojedźmy do
domu wypić na zgodę. Słowo honoru, panowie!

Von Koren milczał. Łajewskij zauważył, że
wszyscy patrzą na niego, więc powiedział:

— Nic nie mam przeciwko Nikołajowi Wasyli-
czowi. O ile on uważa, że zawiniłem, to gotów jestem
przeprosić.

Von Koren obraził się.

— Najwidoczniej, moi panowie — powiedział —
życzycie sobie, żeby pan Łajewskij wrócił do domu
jako wspaniałomyślny rycerz; niestety, nie jestem w
stanie dostarczyć panom i jemu tej przyjemności. I
nie było potrzeby zrywać się o świcie i jechać dziesięć
wiorst za miasto dlatego jedynie, żeby pić na zgodę,
przegryzać i tłumaczyć mi, że pojedynek, to przesta-
rzała formalność. Pojedynek jest pojedyńkiem i nie
należy czynić z niego rzeczy głępszej i fałszywszej, niż
jest w rzeczywistości. Ja chcę bić się!

Zapadło milczenie. Oficer Bojko wy dostał z wa-
lizki dwa pistolety: jeden podano von Korenowi, dru-
gi Łajewskiemu, zaczem nastąpiło zamieszanie, które
na krótką chwilę rozweseliło zoologa i sekundantów.
Wyszło na jaw, że spośród wszystkich obecnych nikt
ani razu nie asystował przy pojedyńku i nikt dokład-
nie nie wiedział, jak należy ustawić się, oraz co winni

mówić i czynić sekundanci. Ale później Bojko przypomniał sobie i z uśmiechem zaczął tłumaczyć.

— Panowie, kto pamięta, jak to opisuje Lermontow? — Zapytał ze śmiechem von Koren. — U Turgieniewa też z kimś tam strzelał się Bazarow...

— Poco tu pamiętać? — Rzucił niecierpliwie Ustymowicz, przystając. — Odmierzyć odległość — o to wszystko.

I postąpił trzy kroki ku przodowi, jakby pokazując, jak należy odmierzać. Bojko odliczył kroki, zaś jego kolega wyjął szablę i zadrapał ziemię na przeciwnych punktach, żeby zaznaczyć stanowiska.

Przy ogólnem milczeniu przeciwnicy zajęli swe miejsca.

„Krety” — przypomniał sobie, siedzący w krzakach djakon.

Coś-tam mówił Szeszkowskij, coś-tam tłumaczył znów Bojko. Ale Łajewskij nie słyszał, czy też, właściwie mówiąc, słyszał, lecz nie rozumiał. Gdy nastąpiła odpowiednia chwila, odwiódł kurek i podniósł ciężki, zimny pistolet lufą ku górze. Zapomniał rozpiąć palto, więc czuł silny ucisk na ramieniu i pod pachą, zaś ręka unosiła się tak niezgrabnie, jakby rękaw był sporządzony z blachy. Przypomniał sobie swoją wczorajszą nienawiść do śniadego czoła i kręconych włosów i pomyślał, że nawet wczoraj, w momencie przemożnej nienawiści i gniewu, nie byłby w stanie strzelić do człowieka. W obawie, żeby kula jakoś nie-umyślnie nie trafiła w von Korena, podnosił pistolet wciąż wyżej i wyżej, i czuł, że ta nazbyt uzewnętrzniona wspaniałomyślność nie jest delikatna ani wspaniałomyślna, inaczej jednak nie umiał i nie

mógł. Patrząc w bladą, uśmiechniętą szyderczo twarz von Korena, który, najwidoczniej, od początku był pewny, że przeciwnik wystrzeli w powietrze, Łajewskij myślał, że zaraz chwala Bogu, wszystko to skończy się, i że trzeba tylko nieco mocniej nacisnąć cyngiel...

Mocne szarpnięcie w ramię, huk strzału i w górach odpowiedziało echo: tach-tach!

Von Koren też odwiódł kurek i spojrział w stronę Ustimowicza, który jak poprzednio, przechadzał się z rękami założonemi ku tyłowi i na nic nie zwracał uwagi.

— Doktorze — powiedział zoolog — z łaski swojej niech pan przestanie chodzić, niczem wahadło. Mi ga mi się w oczach przez pana.

Doktor przystanął. Von Koren zaczął mierzyć do Łajewskiego.

„Skończone!” pomyślał Łajewskij.

Lufa pistoletu, skierowana prosto w twarz, nienawiść i pogarda, bijące z pozy i całej postaci von Korena, i to morderstwo, które za chwilę w świetle białego dnia popełni porządny człowiek w obecności porządných ludzi, i ta cisza, i ta nieznaną potęgą, zmuszająca Łajewskiego, żeby stał i nie uciekał — jakież to wszystko tajemnicze, i niezrozumiałe, i straszne! Chwila, gdy go von Koren brał na cel, wydała się Łajewskiemu dłuższą od nocy. Spojrział błagalnie na sekundantów: nie ruszali się i mieli pobladłe twarze.

„Strzel-że prędzej!” — myślał Łajewskij i czuł, że jego blada, rozedrgana, zbiedzona twarz musi budzić w von Korenie jeszcze większą nienawiść.

„Zaraz zabiję go — myślał von Koren, mierząc

w czoło i opierając już palec na cynglu. — Tak, oczywiście zabiję go..”

— On go zabije! — rozległ się nagle gdzieś bardzo blisko przeraźliwy krzyk.

Równocześnie prawie huknął strzał. Widząc, że Łajewskij nie upadł, a stoi w miejscu, wszyscy spojrzeli w stronę, skąd doleciał krzyk, i zobaczyli djakona. Blady, z mokremi, lepiącymi się do czoła i policzków włosami, cały zmoczony i brudny, stał wśród kukurydzy na przeciwległym brzegu rzeczki, dziwnie jakoś uśmiechał się i powiewał mokrym kapeluszem. Szeszkowski wybuchnął radosnym śmiechem, rozpląkał się i odszedł nabok.

XX.

Po krótkiej chwili von Koren i djakon spotkali się przy mostku. Djakon był zdenerwowany, dyszał ciężko i unikał patrzenia w oczy. Wstydził się swego strachu i swego brudnego, przemoczonego ubrania.

— Wydało mi się, że pan chciał go zabić.. — mamrotał. — Jakież to sprzeczne z naturą ludzką! Cóż to za okropne wypaczenie!

— Jak się pan tutaj dostał? — Zapytał zoolog.

— Niech pan nie pyta — machnął ręką djakon. — Złe mnie kusiło: idź i idź.. Więc też poszedłem i o mało nie umarłem w kukurydzy ze strachu. Ale teraz już chwała Bogu, chwała Bogu.. Bardzo jestem z pana kontent — mamrotał djakon. — I wujo-tarantulla też będzie zadowolony.. A śmiechu. śmiechu co będzie! Tylko najmocniej upraszam, żeby nikomu nie

mówić, że byłem tutaj, bo jeszcze basarunek od władzy dostanę. Powiedzą, że djakon sekundantem był.

— Panowie! — powiedział von Koren. — Djakon prosi, żebyście nikomu nie mówili, żeście go widzieli tutaj. Może mieć nieprzyjemności.

— Jakież to sprzeczne z ludzką naturą! — westchnął djakon. — Niech mi pan najwspaniałomyślniej wybaczy, ale pan miał taką twarz, że aż pomyślałem, że pan go z pewnością zabije.

— Miałem mocną pokusę utrupić tego człowieka — odpowiedział von Koren. — Ale pan krzyknął, ręka drgnęła i spudłowałem. Bądź co bądź, cała ta procedura, z braku otrzaskania się, wstrętna mi jest i znużyła mnie, djakonie. Opadłem z sił. Jedźmy..

— Nie, już niech mi pan pozwoli iść piechotą. Muszę wyschnąć, bom przemókł i zmarzł.

— A więc, jak pan uważa — oświadczył znużonym głosem, osłabiony całkowicie zoolog, siadając na wózek i przymykając oczy. — Jak pan uważa..

Podczas gdy wszyscy kręcili się koło powozów i zajmowali w nich miejsca, Kerbałaj stał przy drodze, i trzymając się obydwoma rękami za brzuch, kłaniał się nisko i szczyrzył zęby; przypuszczał, że państwo przyjechali nacieszyć się przyrodą i napić się herbaty, więc nie rozumiał czemu teraz sadowią się do powozów. Orszak ruszył przy ogólnem milczeniu, przy duchanie zaś został tylko sam djakon.

— Duchan iść, herbata pić — zwrócił się do Kerbałaja. — Moja chceć jeść.

Kerbałaj dobrze mówił po rosyjsku, lecz djakon myślał, że tatar łatwiej go zrozumie, jeżeli będzie się do niego mówiło łamanym językiem.

— Jajecznicza smażyć, ser dawać...

— Chodź, popie, chodź — powiedział Kerbałaj z niskim pokłonem. — Wszystko dam... I ser jest i wino jest... Jedz, co chcesz.

— Jak po tatarsku — Bóg? — Dopytywał się djacon, wchodząc do duchanu.

— Twój Bóg, czy mój Bóg, to wszystko jedno — odpowiedział Kerbałaj, nie rozumiejąc pytania. — Dla wszystkich Bóg jest ten sam, tylko ludzie różni są. A to rosjanie, a to turcy, albo anglicy — ludzi różnych dużo, a Bóg jeden.

— No, dobrze. Jeżeli wszystkie narody wielbią tego samego Boga, to czemuż wy, muzułmanie, uważacie chrześcijan za swych odwiecznych wrogów?

— Dlaczego gniewasz się? — Powiedział Kerbałaj, chwytając się obydwoma rękami za brzuch. — Ty jesteś pop, ja muzułmanin, ty gadasz — jeść chcę, ja daję... Tylko bogaty uważa, jaki Bóg twój, a jaki mój, biednemu jest wszystko jedno. Jedz, proszę bardzo.

Gdy w duchanie odbywała się teologiczna dysputa, Łajewskij jechał do domu i przypominał sobie, z jak okropnem uczuciem przejeżdżał tędy o świcie, kiedy droga, skały i góry były wilgotne i ciemne, a nieznana przyszłość wydawała mu się straszną, niby przepaść, której dna nie można dojrzeć; teraz krople dżdżu, wiszące na trawie i na kamieniach połyskiwały słońcem, niczem djamenty, przyroda uśmiechała się radośnie, a straszna przyszłość była już poza nim. Spoglądał to na posępną, zapłakaną twarz Szeszkowskiego, to na dwa, zdążające przodem powoziki, któremi jechali von Koren, sekundanci i doktor, i miał

wrażenie, jakgdyby wszyscy oni razem powracali z cmentarza, kędy tylko-co został pogrzebany nieznośny, ciężki człowiek, który wszystkim był zawadą w życiu.

„Wszystko skończone” — myślał Łajewskij o swojej przeszłości, ostrożnie dotykając palcami szyi.

Z prawej strony szyi, nad kołnierzykiem, miał niewielkie wygórze, długości i szerokości małego palca i czuł ból taki, jak po dotknięciu rozpalonem żelazkiem. Był to ślad kontuzji.

Następnie, po przybyciu do domu, rozpoczął się dlań długi, dziwny, słodki i nierealny, jak oszołomienie, dzień. Niby wypuszczony z więzienia, czy ze szpitala, wpatrywał się w dawno znajome przedmioty i dziwił się, że stoły, krzesła, okna, światło i morze budzą w nim żywą, dziecinną radość, jakiej już od dawien-dawna nie doświadczał. Błada i wymizerowana bardzo Nadieżda Fiodorowna nie poznawała wprost jego łagodnego głosu i dziwnych zmienionych ruchów. Pragnęła jaknajprędzej opowiedzieć wszystko, co było... Zdawało jej się, że Łajewskij prawdopodobnie źle słyszy, czy nie rozumie, i że gdy dowie się wszystkiego, to przeklnie ją i zabije. Lecz on słuchał, głaśniał ją po twarzy i włosach, patrzył w oczy i powtarzał:

— Nie mam nikogo prócz ciebie.

Potem długo siedzieli w ogródku, tulili się do siebie i milczeli, lub też marząc głośno o swej szczęśliwej przyszłości, przerzucali się krótkimi urywanymi zdaniami, a Łajewskiemu zdawało się, że nigdy dotąd nie przemawiał tak długo i tak pięknie.

XXI.

Minęło trzy miesiące zgorą.

Nadszedł dzień, wyznaczony przez von Korena na odjazd. Od wczesnego ranka padał kroplisty, zimny deszcz, wiał północno-zachodni wicher i morze burzyło się gwałtownie. Mówiono, że w taką pogodę okręt prawdopodobnie nie stanie na redzie. Zgodnie z rozkładem, powinien był przyjść na dziesiątą rano, ale von Koren chodził na wybrzeże w południe i po obiedzie i nie dopatrzył się przez lornetkę niczego, prócz szarych fal i deszczu, zasnuwającego horyzont.

Pod koniec dnia deszcz przestał padać, wiatr zaś zaczął wyraźnie ściszać się. Von Koren zgodził się już z myślą, że nie uda mu się dziś wyjechać i zasiadł z Samojlenką do warcabów; lecz gdy ściemniło się, deńszczyk zameldował, że na morzu ukazały się światła i że widziano rakiety.

Von Koren zaczął krzątać się pośpiesznie. Założył torebkę podróżną przez ramię, pocałował się z Samojlenką i z djakonem, bez jakiegokolwiek widocznej potrzeby obszedł wszystkie pokoje, pożegnał się z deńszczykiem i z kucharką i wyszedł na ulicę z takim uczuciem, jakgdyby coś zapomniał u doktora, albo u siebie w mieszkaniu. Ulicą szedł obok Samojlenki, za nim djakon z kufrem, zaś za wszystkimi w tyle deńszczyk z dwiema walizkami. Jedyne Samojlenko i deńszczyk odróżniali na morzu zamglone światelka, pozostali wpatrywali się w mroki i nie widzieli nic. Okręt zatrzymał się daleko od brzegu.

— Prędeż, prędeż — naglił von Koren. — Obawiam się, że odejdzie.

Mijając trzyokienny domek, do którego przeniósł się wkrótce po pojedynku Łajewskij, von Koren nie wytrzymał i zajrzał w okno. Łajewskij zgarbiony siedział plecami do okna przy biurku i pisał.

— Podziwiam — odezwał się pocichu zoolog — jak on siebie przełamał!

— Tak, godne podziwu — westchnął Samojlenko. — Siedzi tak od rana do wieczora, wciąż siedzi i pracuje. Chce długi pospłacać. A żyje, kochanku, gorzej, niż żebrak!

Pół minuty upłynęło w milczeniu. Zoolog, diaakon i doktor stali pod oknem i wciąż patrzyli na Łajewskiego.

— I nie wyjechał stąd, biedaczysko — powiedział Samojlenko. — A pamiętasz, jak starał się o to?

— Tak, mocno przełamał siebie — powtórzył von Koren. — Jego ślub, ta całodzienna praca na kawałek chleba, jakiś nowy wyraz twarzy, nawet ruchy — wszystko to jest w takim stopniu niezwykle, że nie wiem nawet jak to nazwać. — Zoolog wziął Samojlenkę za rękaw i ciągnął wzruszonym głosem: — Oświadcz mu i żonie jego, że na wyjeźdźnym podziwiałem ich, życzyłem wszystkiego najlepszego... i poproszę go, żeby, o ile może, nie zachował o mnie złej pamięci. On mnie zna. Wie, że gdybym potrafił wówczas przewidzieć tę zmianę, to mógłbym zostać jego najlepszym przyjacielem.

— Wstąp do niego, pożegnaj się.

— Nie. To nie wypada.

— Dlaczego? Bóg raczy wiedzieć, może go już nigdy nie zobaczysz.

Zoolog pomyślał i powiedział:

— To prawda.

Samojlenko lekko zapukał palcem w okno. Łajewskij drgnął i obejrzał się.

— Wania, Nikołaj Wasylicz chce się z tobą pożegnać — powiedział Samojlenko. — Wyjeżdża już.

Łajewskij wstał od biurka i wyszedł do sieni, żeby otworzyć drzwi. Samojlenko, von Koren i djakon weszli do domu.

— Ja na chwileczkę — zaczął zoolog, zdejmując w sieni kalosze i już żałując, że poddał się uczuciu i wszedł tu bez zaproszenia. „Wygląda, jakbym się narzucał — pomyślał — a to jest idjotyczne”. — Przepraszam, że niepokoję — powiedział, wchodząc za Łajewskim do jego pokoju — ale zaraz wyjeżdżam, a coś parło mnie do pana. Bóg wie, czy jeszcze kiedy zobaczymy się.

— Bardzo mi przyjemnie.. Proszę uprzejmie — powiedział Łajewskij i niezgrabnie, jakby pragnął zatarasować im drogę, podał gościom krzesła. Stał pośrodku pokoju i tarł dłonie.

„Szkoda, że świadków nie zostawiłem na ulicy” — pomyślał von Koren i rzekł z mocą: — Niech pan nie wspomina mnie źle, Iwanie Andreiczu. Zapomnieć przeszłości, rzecz prosta, nie można, nazbyt jest smutna, nie poto też przyszedłem, żeby usprawiedliwiać się, czy też dowodzić, że nie jestem winien. Postępowałem szczerze i zapatrywań swoich od tego czasu nie zmieniłem.. Wprawdzie, jak teraz, ku wielkiej swej radości widzę, omyliłem się w stosunku do pana, ale

wszak można potknąć się nawet na równej drodze, i taki już jest los człowieka, że jeżeli nawet ktoś nie myli się w rzeczy zasadniczej, to będzie się mylił co do szczegółów. Nikt nie zna istotnej prawdy.

— Tak, nikt nie zna prawdy... — powiedział Łajewskij.

— No, żegnam... Niechże nam Bóg ześle wszystko najlepsze.

Von Koren podał Łajewskiemu dłoń; ów ścisnął ją i skłonił się.

— Niechże mnie pan źle nie wspomina — powiedział von Koren. — Proszę pokłonić się ode mnie żonie i powiedzieć jej, że bardzo żałowałem, że nie mogę jej pożegnać.

— Jest w domu.

Łajewskij zbliżył się do drzwi drugiego pokoju i zawołał:

— Nadiu, Nikołaj Wasylicz chce się pożegnać z tobą.

Weszła Nadieżda Fiodorowna, zatrzymała się koło drzwi i spojrzała nieśmiało na gości. Na twarzy miała wyraz skruchy i lęku, a ręce trzymała tak, jak uczennica, którą strofuje nauczycielka.

— Wyjeżdżam już, Nadieżdo Fiodorowno — powiedział von Koren — i przyszedłem pożegnać się.

Niezdecydowanie wyciągnęła rękę, Łajewskij zaś skłonił się.

„Jakże nędznie wyglądają oboje” — pomyślał von Koren. — „Niełatwo przychodzi im takie życie”. — Będę w Moskwie i Petersburgu — oświadczył. — Czy nie przysłać państwu czegoś stamtąd?

— Ale co? — bąknęła Nadieżda Fiodorowna i

zamieniła z mężem niespokojne spojrzenie. — Chyba nic..

— Tak, nic... — powiedział Łajewskij, trąc rękę.
— Niech pan się pokłoni.

Von Koren nie wiedział, co jeszcze można i należy powiedzieć. A przedtem, gdy tu wchodził, zdawało mu się, że powie dużo słów dobrych, serdecznych i ważkich. W milczeniu uściśnął dłoń Łajewskiego i jego żony i z ciężkiem sercem opuścił ich dom.

— Jacyż to ludzie — mówił djakon półgłosem, krocząc wtył. — Mój Boże, jacy to ludzie! Zaprawdę, Bóg prawicą Swoją zasadził winnicę oną. O, Panie, Panie! Jeden pokonał tysiące, drugi zasię mroki pokonał. Nikołaju Wasyliczu — ciągnął entuzjastycznie — winien pan wiedzieć, iż dziś pokonał pan najgorszego wroga ludzkości — pychę!

— Co tam, djakonie! Ładni z nas zwycięzcy... Zwycięzcy niczem orły puszą się, on zaś zbiedzony jest, onieśmielony, zahukany, kłania się, jak chiński bałwanek, a mnie... mnie smutno.

Wtył rozległy się kroki. To dopędzał Łajewskij, żeby odprowadzić. Na przystani stał dieńszczyk z dwiema walizkami, nieco dalej — czterech wioślarzy.

— Dmucha jednak... brrr! — wstrząsnął się Samojlenko. — Na morzu teraz pewnie sztormisko — oj, oj! Nie w porę wybrałaś się, Kolu.

— Nie obawiam się morskiej choroby.

— Nie o to chodzi... Żeby cię tylko te osły nie wyrzuciły. Należałoby popłynąć ajencyjną szalupą. Gdzie ajencyjna szalupa? — Krzyknął do wioślarzy.

— Odeszła, ekscelencjo.

— A celna?

— Też odeszła.

— Czemuż nie meldowaliście? — Rozgniewał się Samojlenko. — Jołopy!

— Wszystko jedno, nie denerwuj się... — powiedział von Koren. — No, dowidzenia. Niech was Bóg ma w opiece.

Samojlenko uściskał von Korena i przeżegnał go trzykrotnie.

— Pamiętaj o nas, Kolu... Pisz! Będziemy cię oczekiwać na przyszlą wiosnę.

— Dowidzenia, djakonie — rzekł von Koren, ściskając dłoń djakona. — Dziękuję za towarzystwo i za miłe gawędy. Niech pan namyśli się co do ekspedycji.

— A, mój Boże, bodajby na koniec świata! — roześmiał się djakon. — Czym ja przeciwny?

Von Koren poznał w ciemności Łajewskiego i w milczeniu wyciągnął doń rękę. Wioślarze stali już na dole i przytrzymywali łódkę, która uderzała o pale, chociaż molo osłaniało ją od większej fali. Von Koren zstąpił po schodkach, skoczył w łódkę i zasiadł przy sterze.

— Pisz! — krzyknął Samojlenko. — Dbaj o zdrowie!

„Nikt nie zna istotnej prawdy” — myślał Łajewskij, nastawiając kołnierz palta i wsuwając ręce w rękawy.

Łódka w ostrem tempie minęła przystań i wypłynęła na wolne morze. Zanurzyła się w falach, lecz natychmiast wyślizgnęła się z głębokiego dołu na wysoki grzbiet tak, że można było odróżnić i ludzi, i na-

wet wiosła. Łódka uszła ze trzy sążnie i została odrzucona na dwa sążnie wtył.

— Pisz! — krzyknął Samojlenko. — Poniosło cię lichy na taką pogodę!

„Tak, nikt nie zna istotnej prawdy...” myślał Łajewskij, smętnie wpatrując się w niespokojne, ciemne morze.

„Łódkę odrzuca wtył — myślał. — Zdoła upłynąć dwa kroki ku przodowi, a cofa się znowu o krok, ale wiosłarze są uparci, niestrudzenie poruszają wiosłami i nie lękają się wyniosłych fal. Łódka posuwa się wciąż naprzód i naprzód, już jej nawet nie widać, a za jakie pół godziny wiosłarze zobaczą wyraźnie światła okrętu, za godzinę zaś zatrzymają się przed zaburtowemi schodkami. Taksamo jest w życiu... W poszukiwaniu prawdy postępują ludzie dwa kroki ku przodowi, a jeden wtył. Cierpienia, omyłki i nuda odrzucają wtył, lecz pragnienie prawdy, uparta wola pcha naprzód, naprzód. I kto wie? Może dopłyną do istotnej prawdy...”

— Dowidzenia-a-a! — krzyknął Samojlenko.

— Nie widać i nie słyhać — powiedział djakon.

— Szczęśliwej podróży! ,
Zaczął kropić deszcz.

W R O G O W I E

W ciemny wrześnieowy wieczór, o dziesiątej godzinie umarł na dyfteryt Andriej, sześćoletni jedynek lekarza ziemstwa, Kiryłowa. Gdy doktorowa, owładnięta pierwszym atakiem rozpaczki, osunęła się na kolana przed łóżeczkiem zmarłego dziecka — w przedpokoju zadźwięczał gwałtowny dzwonek.

Z racji dyfterytu cała służba jeszcze rano była wysłana z domu. Kiryłow, tak jak stał, bez marynarki, w rozpiętej kamizelce, z nieotartą wilgotną twarzą i rękoma spalonymi karbolem, poszedł otworzyć drzwi. W przedpokoju było ciemno, można więc było tylko dostrzec, że człowiek, który wszedł, jest średniego wzrostu, ma biały szalik i dużą, niezwykle bladą twarz, tak bladą, iż wydawało się, że naskutek zjawienia się tej twarzy w przedpokoju zrobiło się jaśniej..

— Czy doktor jest? — Pośpiesznie spytał przybyły.

— Jestem, — odpowiedział Kiryłow — Czego pan sobie życzy?

— Ach, to pan? Tak się cieszę! — uradował się przybyły i zaczął szukać pociemku dłoni doktora. Znalazł i ścisnął mocno w swych dłoniach. — Ogromnie... ogromnie cieszę się! Znamy się ze sobą! Jestem Abo-gin... miałem przyjemność spotkać pana w lecie u Gnuczewa. Bardzo się cieszę, że pana zastał. Na Boga, niechże pan nie odmówi i jedzie natychmiast ze

mną... Żona zachorowała mi niebezpiecznie.. Powóz mam tutaj..

Z głosu i ruchów przybyłego znać było, że znajdował się w stanie wielkiego wzburzenia. Niczem wystraszony przez pożar czy wściekłego psa, z trudem wstrzymywał swój przyspieszony oddech, mówił z pośpiechem, drżącym głosem i coś istotnie szczerego, dziecinnie zalęknionego drgało w jego słowach. Jak wszyscy ludzie przerażeni i oszołomieni, mówił krótkimi urywanymi zdaniem i wypowiadał wiele zbytecznych, nie mających wcale związku ze sprawą wyrazów.

— Bałem się, że pana nie zastanę — mówił — stargałem sobie duszę w czasie jazdy do pana.. Niechże się pan ubiera i jedźmy, na miłość Boską... Wydarzyło się to w następujący sposób. Przyjechał do mnie Papczinskij, Aleksandr Siemionowicz, którego pan zna... Pogadaliśmy, następnie siedliśmy do herbaty; raptem żona krzyczy, chwyta się za serce i pada na poręcz fotela. Zanieśliśmy ją do łóżka i... nacierałem jej skronie amonjakiem, i wodą kropilem... leży, jak martwa. Obawiam się, że to aneurizm. Jedźmy! Ojciec jej również zmarł na aneurizm..

Kiryłow słuchał i milczał, jakby nie rozumiał po rosyjsku.

Kiedy Abogin raz jeszcze wspomniał o Papczinskim i o ojcu swej żony, i raz jeszcze zaczął szukać w ciemnościach dłoni, doktor potrząsnął głową i rzekł apatycznie, rozwlekając każdy wyraz:

— Przepraszam, ale nie mogę jechać... Przed pięcioma minutami.. umarł mi syn..

— Czy być może? — Wyszeptał Abogin, o krok

cofając się. — Mój Boże, w jakże fatalnej godzinie przybyłem? Zdumiewająco nieszczęśliwy dzień... zdumiewająco! Co za zbieg okoliczności! Jakby umyślnie!

Abogin ujął kłamkę i w zamyśleniu pochylił głowę. Wahał się najwyraźniej i nie wiedział, co zrobić: odejść, czy też w dalszym ciągu molestować doktora.

— Niech pan posłucha, — rzekł gorąco, porywając Kiryłowa za rękaw: — doskonale rozumiem pański stan! Bóg widzi, że się wstydzę, iż w takiej chwili usiłuję zawładnąć pańską uwagą, ale co mam robić? Niech pan sam powie, do kogo mam jechać? Wszakże prócz pana niema tu innego lekarza. Jedźmy, na miłość Boską! Nie dla siebie przecież proszę... Nie ja jestem chory!

Zaległo milczenie. Kiryłow odwrócił się plecami do Abogina, postać chwilę i powoli wyszedł z przedpokoju do salonu. Wnosząc z jego niepewnego, machinalnego chodu, z owej pieczołowitości, z którą poprawiał w salonie puszysty abażur na niezapalanej lampie i zajrzał do grubej, leżącej na stole książki, nie miał w tych chwilach Kiryłow ani zamiarów, ani pragnień, nie myślał o niczem i prawdopodobnie nie pamiętał już, że w przedpokoju czeka obcy człowiek. Półmrok i cisza najwidoczniej wzmogły w nim szaleństwo. Krocząc z salonu do swego gabinetu, Kiryłow podnosił prawą nogę wyżej, niż potrzeba, szukał rękami futryn w drzwiach, w całej zaś postaci wyczuwało się niejake zdziwienie; jakgdyby dostał się do cudzego mieszkania, albo jakby poraż pierwszy w życiu upił się i teraz w oszołomieniu oddawał się nowym wrażeniom. Przez jedną ścianę gabinetu, poprzez szafy z książkami przebiegała szeroka smuga światła. —

Wraz z ciężkim duszącym zapachem karbolu i eteru, światło to wpadało zpoza uchylonych lekko drzwi, prowadzących z gabinetu do sypialni.. Doktor osunął się na fotel przed biurkiem; przez chwilę patrzył sennie na swe oświetlone książki, następnie wstał i poszedł do sypialni.

Tu, w sypialni panował martwy spokój. Wszystko, aż do najmniejszych szczegółów dobitnie świadczyło o niedawno przeżytej burzy, o znużeniu, i wszystko odpoczywało. Świeca, stojąca na stołku pośród stłoczonej ciżby słoików, pudełeczek i butelek oraz duża lampa na komodzie jaskrawo oświetlały pokój. Na łóżku, pod samem oknem, leżał chłopczyk z otwartymi oczami i ze zdziwioną twarzyczką. Nie ruszał się, lecz zdawało się, iż jego otwarte oczy z każdą sekundą mocniej ciemniały i zapadały się wgłąb czaszki. Złożywszy ręce na ciele dziecka, z twarzą ukrytą w załamach posłania, klęczała przed łóżkiem matka. Podobnie jak chłopiec — nie ruszała się, lecz ileż żywego ruchu wyczuwało się w zgięciach jej ciała i w rękach! Przylegała do łóżka całym swym jestestwem, z siłą i łapczywością, jakby bała się zmienić spokojne i wygodne położenie, które wreszcie znalazła dla swego znużonego ciała. Kołdry, ścierki, miednice, na podłodze kałuże, porozrzucane wszędzie pendzelki i łyżeczki, biała butla z wodą wapienną, samo powietrze duszące i ciężkie — wszystko zamarło i zdawało się być pogrążone w spokoju.

Doktor stanął obok żony, wsunął ręce w kieszenie spodni i pochylając nabok głowę, skierował wzrok na syna. Twarz doktora miała wyraz obojętności, je-

dynie z połyskujących na brodzie kropelek widać było, że niedawno płakał.

Owego odstręczającego przerażenia, o którem się myśli, kiedy się mówi o śmierci, w sypialni nie było. W osłupieniu ogólnem, w postawie matki, w obojętności twarzy doktora, spoczywało coś pocieszającego, wzruszającego, mianowicie owo subtelne, ledwie dostrzegalne piękno ludzkiego bólu, które nie prędko jeszcze nauczą się wyczuwać i opisywać, a które umie odzwierciedlić chyba tylko muzyka.

Piękno również wyczuwało się w ponurej ciszy. Kiryłow i jego żona milczeli, nie płakali, jakgdyby prócz ciężaru straty wnikali jeszcze w cały liryzm swego położenia: jak niegdyś w swoim czasie odeszła młodość, tak obecnie wraz z tym chłopcem odchodziło zawsze do wieczności ich prawo do tego, by mieć dzieci! Doktor ma 44 lata, jest już siwy i wygląda na starca; jego wyblakła i chora żona ma lat 35. Andriej był nietylko jedynym, ale i ostatnim.

W przeciwieństwie do żony, doktor należał do tych natur, które w czasie męki duchowej mają potrzebę ruchu. Stał obok żony z pięć minut, poczem, unosząc wysoko prawą nogę, wyszedł z sypialni do małego, w połowie zastawionego szeroką kanapą pokoiku; stamtąd poszedł do kuchni. Powąłęsał się koło pieca i koło łóżka kucharki, schylił się i przez małe drzwiczki wszedł do przedpokoju.

Tutaj zobaczył znów biały szalik i bladą twarz.

— Nareszcie! — westchnął Abogin, ujmując klamkę. — Jedziemy, służę!

Doktor drgnął, spojrział na niego i przypomniał sobie...

— Proszę pana, przecież już mówiłem, że nie mogę jechać! — powiedział, ożywiając się. — To do prawdy dziwne!

— Doktorze, nie jestem z drzewa, doskonale zdaję sobie sprawę z pańskiego stanu.. współczuję panu! — rzekł błagalnie Abogin, przykładając rękę do swego szalika. — Ale przecież nie dla siebie proszę... Umięra moja żona! Gdyby pan słyszał ten krzyk, widział jej twarz, to zrozumiałby pan moje naleganie! Mój Boże, a ja już myślałem, że pan poszedł ubrać się! Doktorze, czas jest drogi! Jedźmy, błagam pana!

— Jechać nie mogę! — rzekł dobitnie Kiryłow i postąpił ku salonowi.

Abogin poszedł za nim i porwał go za rękaw.

— Pan jest zboląły, rozumiem, ale wszak ściągam pana nie na leczenie zębów, nie w charakterze eksperta, tylko dla uratowania życia ludzkiego! — błagał w dalszym ciągu, jak żebrak. — Życie to stoi ponad wszelkim bólem osobistym! Więc błagam pana o męstwo, o czyn bohaterski. W imię miłości bliźniego!

— Miłość bliźniego — to kij o dwóch końcach,— z rozdrażnieniem odparł Kiryłow. — W imię tej samej miłości bliźniego proszę, żeby pan nie zabierał mnie stąd. Dziwne to, jak Boga kocham! Ledwo na nogach się trzymam, a pan mnie miłością bliźniego straszy! Jestem teraz do niczego.. za nic nie pójdę, z kimbym zresztą żonę zostawił? Nie, nie!

Kiryłow zatrzepotał rękami i jął się cofać.

— I... nawet niech pan nie prosi! — ciągnął z przestraczem. — Proszę mi wybaczyć... Zgodnie z XIII tomem kodeksu cywilnego mam obowiązek jechać, pan zaś ma prawo ściągnąć mnie za kark... I ow-

szem, niech mnie pan ciągnie! Jestem do niczego... Nawet mówić nie jestem w stanie. Wybacz pan..

— Niepotrzebnie, doktorze, mówi pan ze mną takim tonem! — powiedział Abogin, znów biorąc doktora za rękaw. — Dajmy sobie spokój z tym XIII-ym tomem! Gwałcić pańskiej woli nie mam najmniejszego prawa. Zechce pan, to pan pojedzie, nie — to trudno, lecz nie do woli pańskiej zwracam się, tylko do uczucia. Umiera młoda kobieta! Mówi pan, że teraz umarł panu syn, któż więc lepiej niżli pan zrozumie moją rozpacz?

Głos Abogina drżał ze wzruszenia; w drżeniu tem i w tonie było o wiele więcej mocy przekonywującej, niż w słowach. Abogin był szczery, lecz dziwne: wszystkie zdania, wypowiedane przez niego wyglądały tak, jakby spadały z wysokości szczydeł, były bezduszne, nieodpowiednio kwieciste i zdawały się nawet obrażać powietrze w mieszkaniu doktora oraz ową umierającą gdzieś-tam kobietę. Abogin sam to wyczuwał, w obawie więc, że nie zostanie zrozumiany, usiłował nadać głosowi swemu miękkość i czułość, by zwyciężyć bodaj szczerością tonu, skoro nie słowami. Wogóle słowo, bez względu na swe piękno i głębię, działa tylko na tych, którzy są obojętni, nie zawsze jednak może zaspokoić tych, co są szczęśliwi, lub nieszczęśliwi. Dlatego też najwyższym wyrazem szczęścia, czy nieszczęścia jest najczęściej milczenie; kochankowie rozumieją się najlepiej, gdy milczą, zaś ognista namiętna mowa, wypowiedziana na pogrzebie, wzrusza tylko obcych, wdowie zaś i dzieciom zmarłego wydaje się zimną i bez treści.

Kiryłow stał i milczał. Gdy Abogin wypowie-

dział jeszcze kilka zdań o szczytnem powołaniu lekarza, o ofiarności i t. p. doktor spytał pośpiesznie:

— Daleko to?

— Jakieś 13 — 14 wiorst. Mam wspaniałe konie, doktorze! Daję panu słowo honoru, że odstawię pana tam i spowrotem w ciągu godziny. Tylko jedna godzina!

Ostatnie wyrazy podziały na doktora mocniej, niż odwoływanie się do miłości bliźniego, czy szczytności powołania lekarza. Pomyślał przez chwilę i rzekł z westchnieniem:

— Dobrze, jedźmy!

Pośpiesznie, pewnym już krokiem poszedł do swego gabinetu i po chwili powrócił w długim surducie. Drobnopodreptując obok niego i suwając nogami, ucieszony Abogin pomógł mu włożyć palto i wraz z nim wyszedł z domu.

Na dworze było ciemno, jaśniej jednak niżli w przedpokoju. W mroku wyraźnie odcinała się wysoka przygarbiona postać doktora z długą wąską brodą i z orlim nosem. Co do Abogina, to prócz bladej twarzy widać było obecnie dużą głowę i malutką studencką czapkę, zaledwie okrywającą skroń. Szalik łyskał jedynie sprzodu, styłu krył się obecnie pod długimi włosami

— Niech mi pan wierzy, potrafię ocenić pańską wspaniałomyślność — mamrotał Abogin, sadowiąc doktora w powoziku. Dojedziemy prędiutko. Ty zaś, kochany Łuka, pędź co koń wyskoczy! Proszę cię!

Furman jechał prędko. Zrazu ciągnął się szereg niepozornych budynków, stojących wzdłuż szpitalnego dziedzińca; wszędzie było ciemno tylko w głębi dzie-

dzińca poprzez ogródek, przebijało się jaskrawe światło i trzy okna górnego piętra szpitalnego gmachu wydawały się bledsze od powietrza. Następnie powozik wjechał w gęsty mrok; pachniało tutaj grzybami oraz wilgocią i słycać było szept drzew; wrony, zbudzone stukotem kół, wszczęły zgiełk wśród gałęzi, jęły krakać żałobnie, jakgdyby wiedziały, że doktorowi umarł syn, a Aboginowi zachorowała żona. Lecz oto zatańczyły samotne drzewa, krzaki; błysnął posepnie staw, na którym spały wielkie czarne cienie — i powozik potoczył się po gładkiej równinie. Słycać jeszcze było daleko wtyle przytłumione krakanie wron, lecz po krótkim czasie zmiłkło i ono.

Przez całą prawie drogę Kiryłow i Abogin milczeli. Raz tylko Abogin westchnął głęboko i wyszeptał:

— Męcący stan! Nigdy się tak nie kocha swych najbliższych, jak wówczas, gdy istnieje możliwość utracenia ich.

A gdy powozik wolno przejeżdżał przez rzekę, Kiryłow drgnął raptownie, jakby przestraszony pluśkiem wody i zaczął poruszać się niespokojnie.

— Proszę pana, niech mnie pan puści — rzekł z rozpaczą.—Przyjadę do pana później. Chciałbym tylko felczera do żony posłać. Przecież ona jest zupełnie sama!

Abogin milczał. Powozik, kiwając się i stukając po kamieniach, minął piaszczysty brzeg i potoczył się dalej. Kiryłow jał szarpać się w udęce i rozejrzał się wokoło. Wtyle, poprzez skąpą poświatę gwiezdną, widać było drogę i ginące w mroku nadbrzeżne wierby. Naprawo leżała równina taka sama płaska i nie-

ograniczona, jak niebo; w oddali, tu i tam, prawdopodobnie na torfowiskach, pełgały przyćmione światła. Nalewo, równoległe do drogi ciągnęło się wzgórze, fryzowane drobnymi krzaczkami, nad wzgórzem zaś nieruchomo tkwił duży półksiężyc, zaczerwieniony, powleczone zlekka mgłą i otoczony drobnymi obłoczkami, które zdawały się oglądać go ze wszystkich stron, pilnując, by nie uciekł.

Całe otoczenie tchnęło jakąś beznadziejnością i charłactwem. Ziemia, niczem upadła kobieta, co siedzi samotna w pokoju i stara się nie myśleć o przeszłości, dręczyła się wspomnieniami o wiosnie i lecie i apatycznie czekała na nieuniknioną zimę. Kędy tylko padło spojrzenie, wszędzie przyroda robiła wrażenie ponurego, bezgranicznie głębokiego i zimnego dołu, z którego nie ucieknie już ani Kiryłow, ani Abogin, ani czerwony półksiężyc.

Im bliżej celu był powozik, tem niecierpliwszy stawał się Abogin. Kręcił się, unosił się z miejsca, wpatrywał się ponad ramieniem stangreta w przestrzeń. A gdy wreszcie powozik stanął przed ładnie zadrapowanym pasiastym płótnem gankiem i gdy Abogin spojrział w oświetlone okna pierwszego piętra — słychać było jego urywany oddech.

— Gdyby się coś stało, to... nie przeżyję — rzekł, wchodząc z doktorem do przedpokoju i pocierając w zdenerwowaniu dłoń. — Ale nie słychać bieganiny, czyli, że chyba jeszcze wszystko w porządku — dodał, wsłuchując się w ciszę.

W przedpokoju nie słychać było ani głosów, ani kroków; dom, mimo jaskrawego oświetlenia, wydawał się uśpiony. Przebywający dotychczas w ciemności,

doktór i Abogin obecnie mogli się już sobie przypatrzeć wzajemnie. Doktor był wysoki, przygarbiony, nieporządnie ubrany, twarz miał nieładną. Coś niemile ostrego, nieuprzejmego i surowego malowało się w jego grubych, jak u murzyna wargach, w orlim nosie i w przygnębionem, obojętnem spojrzeniu. Nieuczesana głowa, zapadnięte skronie, przedwczesna siwizna w długiej, wąskiej brodzie, przez którą przeświecała skóra, szarawa cera i niedbałe, kanciaste ruchy — wszystko swą oschłością przypominało przeżyty niedostatek, niedole, zmęczenie życiem i ludźmi. Patrząc na tę suchą postać, nie można było dać wiary, że człowiek ów miał żonę, że mógł płakać po dziecku. Abogin zaś posiadał całkowicie odmienny wygląd. Był to tęgi, stateczny, o wielkiej głowie i wydatnych, lecz łagodnych rysach twarzy blondyn, ubrany wykwintnie, zgodnie z najostatniejszymi wymaganiami mody. W jego postaci, w dokładnie zapiętej marynarce, w grzywce i w twarzy wyczuwało się coś szlachetnego, lwiego; trzymał się prosto, z podniesioną głową i wypiętą pierśią, głos miał o miłym, barytonowym brzmieniu, w sposobie zaś zdejmowania szalika, poprawiania włosów na głowie, przebijała subtelna, prawie kobieca wytworność. Nawet bladość i dziecinny strach, z którym spoglądał, rozbierając się, w górę schodów, nie psuły jego sylwetki, nie odejmowały zażywności, zdrowia i pewności siebie, którą tchnęło całe jego jestwo.

— Nikogo niema i nic nie słyhać — rzekł, idąc po schodach. — Bieganiny niema. Żebyż to Bóg dał!

Wprowadził doktora przez przedpokój do dużego salonu, w którym czerniał fortepian i wisiał żyran-

dół w białym pokrowcu; stamtąd przeszli obydwaj do małego, bardzo zaciszego i ładnego saloniku, zalanego miłym różowym półmrokiem.

— Niech pan zaczeka tutaj, doktorze — rzekł Abogin. — Ja... natychmiast. Zajrzę tylko i uprzedzę.

Kiryłow został sam. Elegancja saloniku, miły półmrok, nawet sama, nosząca charakter przygody, obecność jego w obcym, nieznanym domu, najwidoczniej nie przejmowała go. Siedział w fotelu i oglądał swe spalone karbolem ręce. Przelotnie tylko dostrzegł jaskrawy abażur, futerał do wiolonczeli i, rzuciwszy okiem w stronę, gdzie cykał zegar, zauważył wypchanego wilka, równie statecznego i zażywnego, jak sam Abogin.

Było cicho.. Gdzieś daleko w sąsiednich pokojach ktoś głośno wyrzekł „a”! — brzękły oszklone drzwi, prawdopodobnie drzwi szafy, i znowu wszystko ucichło. Po upływie pięciu minut Kiryłow przestał oglądać ręce i podniósł wzrok na drzwi, za którymi zniknął Abogin.

W progu tych drzwi stał Abogin, zgoła inny, niż przed chwilą. Wyraz sytości i subtelnej wytworności znikł bez śladu; twarz, ręce, postawa, były skażone ohydny grymasem przerażenia, czy bólu fizycznego. Nos, usta, wąsy, każdy rys drgał i, zdawało się, pragnął się oderwać od twarzy, oczy zaś, jakby się śmiały z bólu...

Abogin ciężkim, szerokim krokiem, znalazł się na środku saloniku, schylił się, jęknął i potrzęsnał pięściami.

— Oszukała! — wykrzyknął, kładąc mocny akcent na sylabie „ka”. — Oszukała! Poszła! Zachoro-

wała i wysłała mnie po doktora tylko dlatego, żeby uciec z tym błaznem Papczynskim! O Boże!

Abogin ciężko postąpił ku doktorowi, wyciągnął przed jego twarzą swe miękkie białe pięści i potrząsając nimi ryczał:

— Poszła!! Oszukała! I pocóż to kłamstwo?! Boże mój! Boże! Naco ten brudny, szulerski wybieg, ta djabelska, wężowa gra? Co ja jej zrobiłem? Odeszła!

Łzy trysnęły mu z oczu. Wykręcił się na jednej nodze i jał kroczyć po saloniku. W krótkiej marynarce, w modnych wąskich spodniach, w których nogi wydawały się nieproporcjonalnie cienkie w stosunku do korpusu, z wielką głową i grzywką, był Abogin teraz niezmiernie podobny do lwa. Na obojętnej twarzy doktora odbiło się zaciekawienie. Kiryłow wstał i przyjrzał się Aboginowi.

— Przepraszam, gdzie jest chora? — Zapytał.

— Chora? Chora! — krzyknął Abogin, śmiejąc się, płacząc i wciąż jeszcze potrząsając pięściami. — To nie chora, tylko przekłeta! Ohyda! Podłość, od której wstrętniejszej nie wymyśliłby sam szatan! Wysłała mnie, żeby uciec, uciec, uciec z błaznem, z głupim pajacem, z alfonsem! O, Boże, bodajby lepiej była umarła! Nie zniosę! Ja tego nie zniosę!

Doktor wyprostował się. Powieki jęły mu latać, oczy napęłniły się łzami, wąska broda poruszała się naprawo i nalewo wraz ze szczęką.

— Przepraszam, więc jakżeż to? — Spytał, rozglądając się dokoła z ciekawością. — Dziecko mi umarło, żona w rozpaczycy sama jedna w całym domu... ja sam z trudem trzymam się na nogach, przez trzy noce nie spałem — i cóż? Zmuszają mnie do wystę-

powania w jakiejś płaskiej farsie, do odgrywania roli teatralnego rekwizytu! Nie... nie rozumiem!

Abogin otworzył jedną pięść, cisnął na podłogę stłamszony liścik i nastąpił nań, jak na robaka, którego się pragnie rozdeptać.

— A ja nie wiedziałem... nie rozumiałem! — Mówił przez zaciśnięte zęby, potrząsając sobie przed twarzą jedną pięścią, z takim wyrazem, jakby mu ktoś nastąpił na odcisk. — Ciemięga!

— Nie.. nie rozumiem! — mruczał doktor. — Cóż to jest takiego! Przecież to znęcanie się nad człowiekiem, natrząsanie się z ludzkiego cierpienia! To coś niemożliwego... poraz pierwszy w życiu widzę!

Z otępiąłym wyrazem człowieka, który dopiero co zaczął rozumieć, że został ciężko znieważony, doktor wzruszył ramionami, rozłożył ręce, i nie wiedząc co ma powiedzieć, co ma robić, padł znużony na fotel.

— Dobrze więc, przestała kochać, pokochała innego — trudno, ale poco kłamstwo, poco ten podły, zdradziecki fortel? — Mówił płaczącym głosem Abogin. — Poco? I zaco? Co ja ci zrobiłem? Niech pan posłucha, doktorze — rzekł z przejęciem, zbliżając się do Kiryłowa. — Pan został mimowolnym świadkiem tego nieszczęścia, nie będę więc przed panem ukrywał prawdy. Przysięgam panu, że kochałem tę kobietę. Kochałem pobożnie, niczem niewolnik! Poświęciłem dla niej wszystko: poróżniłem się z rodziną, opuściłem posadę, zaniedbałem muzykę, wybaczyłem jej to, czego bym nie wybaczył matce, czy siostrze.. Ani razu nie spojrziałem na nią krzywo... nie dawałem najmniejszego powodu! Pocóż więc to kłamstwo? Nie wymagam miłości, ale poco to nikczemne oszustwo?

Skoro przestałaś kochać, to powiedz szczerze, uczciwie, tembardziej, że znasz moje poglądy na te sprawy...

Ze łzami w oczach, dygocąc całym ciałem, wywnętrzał Abogin szczerze przed doktorem swą duszę. Mówił z przejęciem, cisnąc obie dłonie do serca, wyjawiał swe tajemnice rodzinne bez najmniejszego wahania i nawet jakgdyby cieszył się, że wreszcie te tajemnice wyrwały się z jego piersi nazewnątrz. Gdyby się mógł wywnętrzać w ten sposób w ciągu jakiejś godziny, gdyby mógł wypowiedzieć się z głębi duszy, uczyniłoby mu to niewątpliwie wielką ulgę. Gdyby go doktor wysłuchał, gdyby mu współczuł po przyjacielsku — któż wie? Możliwe, że jak to się często zdarza, pogodziłby się Abogin ze swą rozpaczą bez protestu, nie czyniąc zbytecznych głupstw... Stało się jednak inaczej. Podczas gdy Abogin mówił, znieważony doktor mienił się na twarzy. Obojętność i zdziwienie zwołna ustąpiły przed wyrazem dotkliwej obrazy, oburzenia i gniewu. Rysy twarzy doktora uczyniły się jeszcze ostrzejsze, oschlejsze, bardziej odpychające. Gdy Abogin podsunął mu przed oczy fotografię młodej kobiety o ładnej lecz oschłej i niewyrazistej, jak u mniszki, twarzy i zapytał, czy można, patrząc na to oblicze przypuścić bodaj, że może ono być kłamliwem, doktor zerwał się raptownie, błysnął oczami i powiedział brutalnie, kładąc nacisk na każdym wyrazie:

— Poco mi pan to mówi? Nie życzą sobie służyć tego! Nie życzę sobie! — krzyknął i walnął pięścią w stół. — Niepotrzebne mi są pańskie nikczemne tajemnice, pal je diabli! Niech się pan nie ośmiela opowiadać mi tych błazeństw! Czy pan może myśli, że jestem jeszcze niedość mocno znieważony? Cóż to,

lokajem jestem, którego można wciąż znieważać, czy co? He?

Abogin cofnął się przed Kiryłowem i ze zdumieniem wpatrzył się w niego.

— Poco pan mnie tu przywiózł? — Ciągnął doktor, trzęsąc brodą.—Że się pan z fanaberji żeni, z fanaberji wścieka i odgrywa melodramaty, to cóż ja mam do tego wszystkiego? Co ja mam wspólnego z pańskimi romansami? Niech mi pan da spokój! Niech się pan ćwiczy w szlachetnem kołtuństwie, niech się pan popisuje humanitarnemi ideałami, niech pan gra (doktor spojrział zezem na futerał z wiolonczelą), niech pan gra na basetli i trombonie, tyje jak kapłon, lecz wara od znęcania się nad człowiekiem. Nie umiesz go pan uszanować, to chociaż nie obdarzaj go łaskawie swą uwagą!

— Przepraszam, ale co to wszystko ma znaczyć? — spytał Abogin, czerwieniąc się.

— A to ma znaczyć, że takie bawienie się ludźmi jest podłe i nikczemne! Jestem lekarzem, wy uważacie lekarzy i wogóle ludzi pracy, którzy nie wonieją perfumami ani prostytutką, za swych lokajów i prostaków. Uważajcie więc sobie, ale nikt wam nie dał prawa robić z człowieka, który cierpi, teatralnego rekwizytu!

— Jak pan śmie mówić to do mnie? — Zapytał cicho Abogin, zaś twarz mu zadrgała znowu, tym razem już wyraźnie z wściekłości.

— Nie, jak pan śmiał, wiedząc, że mam takie smartwienie, przywieźć mnie tutaj na wysłuchiwanie tych błazeństw? — Krzyknął doktor i znów uderzył

pięścią w stół. — Kto panu dał prawo tak szydzić z czyjejs rozpaczy?

— Pan zwarjował! — Krzyknął Abogin. — To nieszlachetnie! Ja sam jestem bardzo nieszczęśliwy i.. i..

— Nieszczęśliwy — pogardliwie uśmiechnął się doktor. — Niech pan nie dotyka tego wyrazu, on do pana nie stosuje się. Świszczypały, co nie znajdują pieniędzy na weksel również mają się za nieszczęśliwych, kapłan, którego dusi nadmiar tłuszczu też jest nieszczęśliwy. Nikczemni ludzie!

— Szanowny panie, pan się zapomina! — wrzasnął Abogin. — Za takie słowa.. bije się! Rozumiesz pan?

Abogin pośpiesznie sięgnął do bocznej kieszeni, wyjął pugilares, wyciągnął dwa banknoty i cisnął je na stół.

— Ma pan za pańską wizytę! — rzekł z rozdzętemi nozdrzami. — Jest pan opłacony!

— Jak pan śmie dawać mi pieniądze! — krzyknął doktor i zrzucił banknoty ze stołu na podłogę. — Za zniewagę pieniędzmi się nie płaci!

Abogin i doktor stali twarzą w twarz i w gniewie zarzucali się wciąż nowemi, niezasłużonemi obelgami. Chyba nigdy w życiu, nawet w malignie nie wypowiedzieli tyle niesprawiedliwych, okrutnych i bezsensownych zdań. Przez obydwuch przemawiał potworny egoizm ludzi nieszczęśliwych. Nieszczęśliwcy, to egoiści źli, niesprawiedliwi, okrutni i mniej, niżli głupcy, zdolni do zrozumienia się wzajemnego. Nie jednoczy, lecz dzieli ludzi nieszczęście, i nawet wówczas, gdy zdawałoby się, iż winni być złączeni wspólnością nieszczęścia, nawet wtedy wybucha o wiele wię-

cej niesprawiedliwości i okrucieństw, niż w środowisku stosunkowo zadowolonym.

— Zechce mnie pan odesłać do domu! — krzyknął doktor, z trudem łapiąc oddech.

Abogin głośno zadzwonił. Ponieważ na wezwanie nikt nie zjawił się, zadzwonił raz jeszcze i gniewnie cisnął dzwonkiem o podłogę; dzwonek głucho uderzył o dywan, wydając żalony, zda się przedśmiertny jęk. Zjawił się lokaj.

— Gdzieście się pochowali, pał was diabli? — rzucił się na niego gospodarz z zaciśniętymi pięściami. — Gdzieś ty był teraz? Idź, powiedz, żeby temu panu dano powóz, a dla mnie każ zaprząć karetę! Czekaj! — krzyknął, gdy lokaj zawrócił, by odejść. — Żeby mi jutro ani jeden przedawczyk nie pozostał w tym domu! Wszyscy precz! Wynajmę nowych! Gadziny!

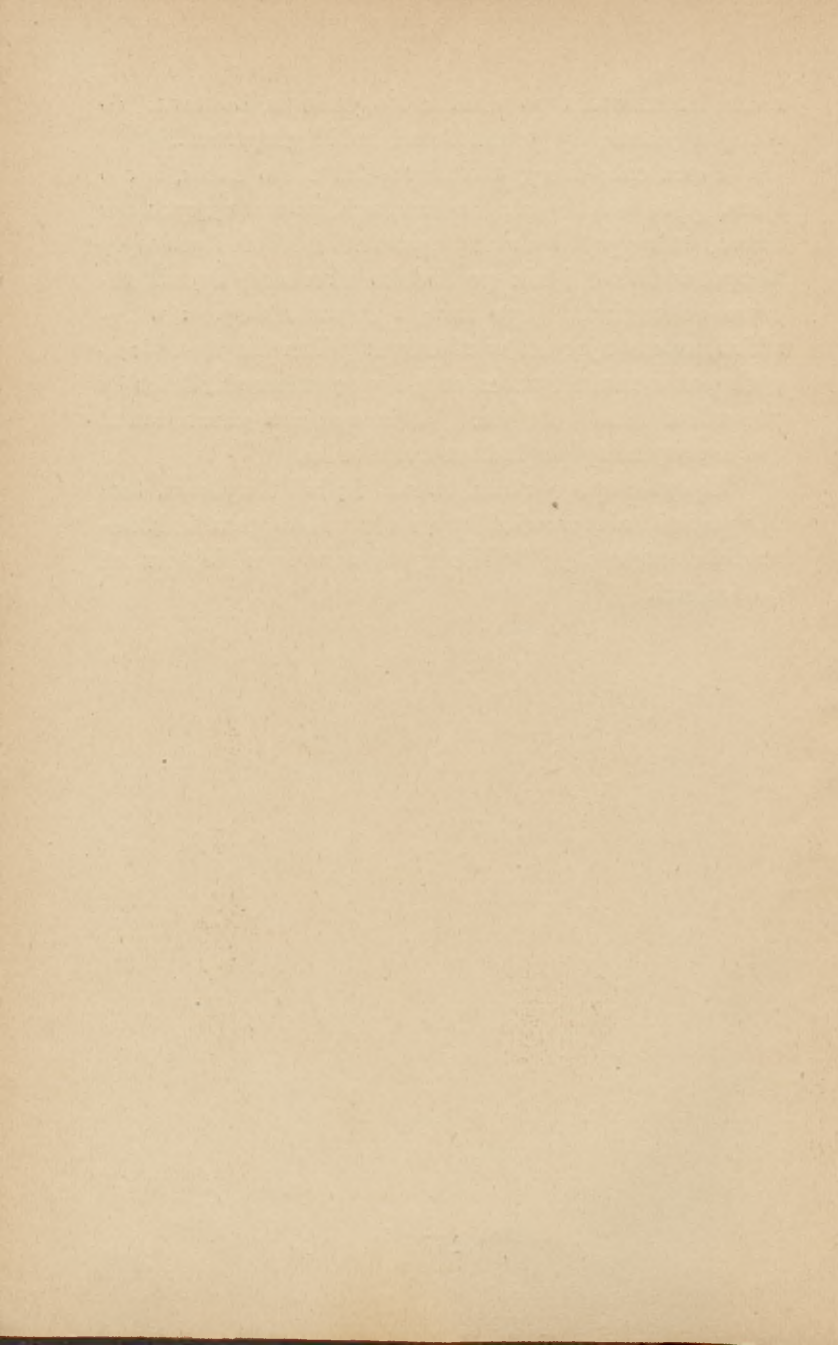
Czekając na konie, doktor i Abogin milczeli. Pierwszemu powrócił już wyraz sytości i subtelnej wytworności. Przemierzał krokami salonik, potrząsał wytwornie głową, i najwidoczniej, coś postanawiał. Gniew w nim jeszcze nie ostygł, lecz Abogin starał się udawać, że nie dostrzega swego wroga... Doktor zaś stał, trzymał się jedną ręką krawędzi stołu i patrzył na Abogina z ową głęboką, nieco cyniczną i nieładną pogardą, z którą umie patrzeć jedynie rozpacz i niedola, gdy widzi przed sobą sytość i wytworność.

Gdy po niedługim czasie doktor wsiadł do powoziku i pojechał, oczy jego wciąż jeszcze patrzyły pogardliwie. Było ciemno, o wiele ciemniej, niż przed godziną. Czerwony półksiężyc powędrował już za wzgórze, pilnujące go zaś chmury, niby ciemne plamy leżały obok gwiazd. Karetą z czerwonymi latar-

niami zaturkotała po drodze i wyminęła doktora. To Abogin jechał, by protestować, robić głupstwa...

Przez całą drogę doktor myślał nie o żonie, nie o synu, tylko o Aboginie i o ludziach, mieszkających w domu, który przed chwilą opuścił. Myśli doktora były niesprawiedliwe i nie po ludzku okrutne. Sądził surowo i Abogina, i jego żonę, i Papczńskiego, i wszystkich, mieszkających w różowym półmroku i woniących perfumami. I przez całą drogę nienawidził ich i pogardzał nimi boleśnie. W mózgu zaś ukształtował mu się wyraźny pogląd na tych ludzi.

Upłynie sporo czasu, zatrze się ból Kiryłowa, lecz ów pogląd, niesprawiedliwy i niegodny serca ludzkiego, nie zatrze się i będzie trwał w mózgu doktora aż do śmierci.



PRZYKROŚĆ



Lekarz ziemstwa, Grigorij Iwanowicz Owczynnikow, 35-letni, cherlawy i nerwowy człek, znany pomiędzy kolegami z niewielkich prac z zakresu medycyny i namiętności do tak zwanych „kwestyj życiowych”, pewnego ranka dokonywał obchodu sal w swoim szpitalu. Za nim, jak zazwyczaj, postępował felczer Michaił Zacharowicz, podstarzały jegomość o otyłej twarzy, ulizanych zatłuszczonych włosach, i z kolczykiem w uchu.

Natychmiast po rozpoczęciu obchodu, w doktorze zaczęła budzić podejrzenie pewna nieznacząca okoliczność. A mianowicie: kamizelka felczera była wygnieciona i uparcie zadzierała się w górę, mimo że wciąż obciągał ją i poprawiał. Półkoszulek był również wygnieciony i odstawał; na czarnym długim surducie oraz na spodniach, a nawet na krawacie tu i owdzie bielilo się pierze.. Najwidoczniej felczer przespał całą noc w ubraniu, wnosząc zaś z miny, którą miał przy obciąganiu kamizelki i poprawianiu krawata — ubranie zawadzało mu.

Doktor przyjrzał mu się uważnie i zrozumiał co się święci. Felczer nie ślaniał się, dorzecznie odpowiadał na pytania, ale ponury, tępy wyraz twarzy, przyćmiony wzrok, drżenie, przebiegające wzdłuż szyi i rąk, nieład w ubraniu i — co najważniejsze — wyte-

żony wysiłek w stosunku do samego siebie oraz chęć zamaskowania swego stanu, świadczyły, iż tylko co wstał z łóżka, że nie wyspał się i był pijany. Pijany potwornie, od wczoraj.. Przeżywał męczący okres „przepicia się”, cierpiał i najwidoczniej był bardzo niezadowolony z siebie.

Doktór, który nie lubił felczera, mając zresztą ku temu swe przyczyny, doświadczył mocnej chęci powiedzenia mu: „Widzę, że pan jest pijany!” Uczuł nagły wstręt do kamizelki, do długopolego surduta, do kołczyka w mięsistym uchu, lecz zapanował nad brzydkim popędem i powiedział uprzejmie i grzecznie, jak zazwyczaj:

— Czy Gerasimowi dawano mleko?

— Dawano... — odpowiedział Michaił Zacharycz również uprzejmie.

Rozmawiając z chorym Gerasimem, doktor spojrział na kartę gorączkową i czując nowy przypływ nienawiści, powstrzymał oddech, żeby nic nie powiedzieć. Nie wytrzymał jednak i spytał ostro, łapiąc powietrze:

— Czemu temperatura nie zanotowana?

— Owszem, zanotowana! — odparł uprzejmie Michaił Zacharowicz, lecz spojrzawszy na kartę i przekonawszy się, że temperatura istotnie nie jest zanotowana, zmieszał się, wzruszył ramionami i wymrucał: — Nie wiem, to pewnie Nadieżda Osipowna...

— I wczorajsza wieczorowa niezapisana też! — ciągnął doktor. — Urzyna się pan tylko, bierz pana djabli! Teraz też jest pan pijany, jak szewc! Gdzie Nadieżda Osipowna?

Akuszerki Nadieżdy Osipowny nie było na sa-

lach, mimo, iż powinna była co rano być obecną przy opatrunkach. Doktor rozejrzał się wokół i zaczęło mu się wydawać, że na sali nie sprzątno, że wszystko jest porozrzucane, że nic nie zrobiono z tego, co potrzeba i że wszystko taksamo fałduje się, jest wygniecione i przyprószone pierzem, jak wstrętna kamizelka felczera. Doktor zapragnął zerwać z siebie białe fartuch, nawymyślać, rzucić wszystko, splunąć i odejść. Lecz uczynił wysiłek i ciągnął dalej obchód.

Po Gerasimie następował chory chirurgiczny, cierpiący na zapalenie tkanki podskórnej całej prawej ręki. Należało zrobić mu opatrunek. Doktor usiadł przy nim na stołku i zabrał się do ręki.

„To oni sobie wczoraj tak używali na imieninach... — myślał, zdejmując powoli bandaż. — Czekaście, pokażę ja wam imieniny! Zresztą, cóż ja mogę zrobić? Nie mogę nic”.

Wymacał na zbrzękniętej, karmazynowej ręce ropień i powiedział:

— Skalpel!

Michaił Zacharowicz, pragnąc udowodnić, że się mocno trzyma na nogach i że jest w stanie pracować, zerwał się z miejsca i błyskawicznie podał skalpel.

— Nie ten! Proszę dać z nowych — powiedział doktor.

Felczer podreptał ku krzesłu, na którym stała puszka z materiałami opatrunkowymi i zaczął grzebać w niej z pośpiechem. Długo szeptał o czymś z pielęgniarkami, szurał puszką po krześle, szeleścił, że dwa razy coś upuścił. Doktor zaś siedział, czekał i odczuwał dotkliwe rozdrażnienie w plecach, spowodowane tym właśnie szeptem i szelestem.

— Czy prędko? — spytał. — Pan je pewnie zapomniął na dole...

Felczer podbiegł do doktora i podał mu dwa skalpele. Nie ustrzegł się jednak i chuchnął w jego stronę.

— To nie te! — z irytacją oświadczył doktor. — Mówię do pana wyraźnie, żeby mi pan dał z nowych. Zresztą proszę sobie iść i przespać się, cuchnie od pana, jak z szynku! Jest pan nieprzytomny!

— Jakich więc noży trzeba panu? — zapytał z rozdrażnieniem felczer i zwolna wzruszył ramionami.

Zły był na siebie i wstyd mu było, że mu się przypatrują badawczo chorzy i pielęgniarce, chcąc więc pokazać, że się nie wstydzi, uśmiechnął się z przymusem i powtórzył:

— Jakich więc noży trzeba panu?

Doktor uczuł łyzy w oczach i drżenie w plecach. Pohamował się jednak i wyrzekł drżącym głosem:

— Proszę iść się przespać! Nie mam chęci do rozmowy z pijanym..

— Pan może mieć do mnie pretensję tylko o pracę — ciągnął felczer. — O ile zaś ja, dajmy na to, piłem, to nikt nie ma prawa robić mi uwag. Przecież pracuję? Czegóż pan chce więcej! Przecież pracuję?

Doktor zerwał się i nie zdając sobie sprawy ze swych odruchów, zamierzył się i z całej siły uderzył felczera w twarz. Nie rozumował, dlaczego to robi, lecz uczuł wielkie zadowolenie, że uderzenie pięści padło właśnie na twarz i że ten stateczny, solidny, pobożny, ceniący siebie familjant podskoczył, niczem piłka i siadł na stołku. Doktor namiętnie zapragnął uderzyć jeszcze raz, ale spostrzegłszy obok znienawidzonej twarzy blade i wylękłe twarze pielęgniarek, prze-

stał doświadczać uczucia zadowolenia, machnął ręką i wybiegł z sali.

Na dziedzińcu spotkał idącą do szpitala Nadieżdę Osipownę, 27-letnią pannicę o blado-żółtem obliczu i rozpuszczonych włosach. Miała różową perkalową suknię, mocno ściągniętą w dole, skutkiem czego posuwała się drobnymi i przyśpieszonymi kroczkami. W takt kroczków szeleściła suknią, wzruszała ramionami i kiwała głową, jakgdyby w myśli podśpiewywała sobie wesoło.

„Aha, rusalka”! — pomyślał doktor, przypomniawszy sobie, że w szpitalu akuszerkę nazywano rusalką. I zrobiło mu się przyjemnie na myśl, że zaraz utrze nosa tej drobnokroczącej, zakochanej w sobie strojnisi.

— Gdzież to pani ginie? — krzyknął, zrównawszy się z nią. — Czemu pani nie jest w szpitalu? Temperatura nie zanotowana, wszędzie nieład, felczer spity, pani śpi do dwunastej w południe! Zechce pani sobie poszukać innej posady. Tutaj już pani nie pracuje!

Po powrocie do mieszkania, doktor zdarł z siebie białe fartuch i ręcznik, którym był opasany, cisnął ze złością jedno i drugie w kąt i rozpoczął spacer po gabinecie.

— Boże, co za ludzie! — wyrzucił z siebie wreszcie. — To nie pomocnicy przy pracy, tylko wrogowie! Brak mi sił do dalszej pracy! Nie podołam! Odejdę!

Serce w nim łomotało, dygotał, miał chęć rozpłakać się. Żeby więc pozbyć się tych sensacyj, począł uspakajać się rozmyślaniami nad tem, jak wielką ma słuszność i jak dobrze zrobił, że uderzył felczera.

Przedewszystkiem już to jest brzydkie, rozważał, że felczer dostał się do szpitala nie w zwykły sposób, tylko przez protekcję swojej ciotki, która jest niańką u prezesa zarządu ziemstwa (ohyda bierze patrzeć na tę wpływową ciotunię, która przyjeżdżając po poradę, zachowuje się w szpitalu, niczem we własnym domu i ma pretensje do tego, by ją przyjmowano poza kolejką). Felczer jest źle dyscyplinowany, umie niewiele i zupełnie nie rozumie tego, co umie. Jest to pijak, zuchwalec, brudas, bierze od chorych łąpówki i cichaczem sprzedaje lekarstwa ziemstwa. Wszyscy też wiedzą, że zajmuje się praktyką i leczy młodych mieszczan na choroby sekretne, przyczem używa jakichś własnych środków. Gdyby to był zwykły sobie szarlatan, toby jeszcze jakoś uszło, ale to przecież szarlatan z przekonania i protestujący w skrytości ducha. W tajemnicy przed doktorem stawia ambulatoryjnym chorym bańki i puszcza im krew. Przy operacjach asystuje z nieumytemi rękami, dłubie w ranach zawsze brudną sondą — tego chyba dość, by zrozumieć, jak głęboko i odważnie gardzi wiedzą lekarską z jej uczonością i pedanterją pospołu.

Doktór poczekał aż drżenie w palcach ustało, usiadł przy biurku i napisał list do prezesa zarządu:

„Szanowny Lwie Trofimowiczu! O ile po otrzymaniu niniejszego listu Zarząd nie zwolni felczera Smirnowskiego i nie pozostawi mi prawa wyboru pracowników, to będę zmuszony (nie bez żalu, oczywiście) poprosić pana o nieuważanie mnie za lekarza. N-skiego szpitala i o wyszukanie następcy na moje miejsce. Łączę wyrazy uszanowania dla Lubowi Fiodorowny i dla Jusa. Z poważaniem G. Owczynnikow”.

Po przeczytaniu doktor doszedł do przekonania, że list jest za krótki i za mało chłodny. Na dobitkę wyrazi uszanowania dla Lubowi Fiodorowny i dla Jusa (tak przezywano młodszego syna pana prezesa) w urzędowym oficjalnym liście były gorzej, niż nie na miejscu.

„Jakiż tu u diabła Jus?” — Pomyślał doktor, podarł list i zaczął układać nowy.

„Szanowny Panie”.. — myślał, siadając przy otwartym oknie i obserwując kaczki i kaczęta, co telepiąc się i potykając, biegły przez drogę, prawdopodobnie do stawu; jedno kaczątko znalazło na drodze jakiś flak, udławiło się i zaczęło piszczeć rozpaczliwie; podleciało drugie, wyciągnęło mu z dziobu flak i również udławiło się.. Daleko pod parkanem, w koronkowym cieniu, który rzucały na trawę młode lipy, przesuwała się kucharka Darja, zbierająca szczaw na zupę.. Słysząc było głosy.. Furman Zot z uzdą w ręce i posługacz Manujło w brudnym fartuchu stali pod stodołą, rozmawiali o czymś i śmieli się.

„O tem, że felczera uderzyłem — myślał doktor, — dziś już cały powiat będzie wiedział o tym skandalu... A więc: „Szanowny Panie! O ile Zarząd nie zwolni”...

Doktor doskonale wiedział, że zarząd w żadnym wypadku nie wyrzeknie się go, kosztem zatrzymania felczera i raczej zgodzi się nie mieć ani jednego felczera w całym powiecie, niżli pozbyć się takiego nadzwyczajnego człowieka, jakim jest doktor Owczynnikow. Zapewne natychmiast po otrzymaniu listu przyjedzie do doktora trójką koni Lew Trofimowicz i zacznie: „Cóżes to pan, ojcaszku mój, wymyślił? Du-

szyczko, a cóż to takiego, niechże pana Bóg ma w o-
piece? POCO? Z jakiej racji? Gdzież on jest? Dawać
tutaj tę kanalję! Wypędzić! Wypędzić bezwzględnie!
Żeby mi jutro już tego szubrawca nie było tutaj!” —
Następnie spożyje obiad z doktorem, po obiedzie zaś
położy się brzuchem do góry, na tej oto malinowej ka-
napie, zasłoni twarz gazetą i będzie chrapał; wyśpi się,
wypije herbatę i zawiezie doktora do siebie, żeby u
niego nocował. Cała zaś heca skończy się tem, że i fel-
czer zostanie w szpitalu i doktor nie poda się do dy-
misji.

Doktor w głębi ducha pragnął nie takiego zakoń-
czenia. Chciał, żeby zatryumfowała ciotunia felczera
i żeby zarząd, nie bacząc na ośmioletnią uczciwą pracę
doktora, bez gadania, a nawet z zadowoleniem przyjął
jego dymisję. Marzył o tem, jak to on będzie opusz-
czał szpital, do którego się przyzwyczał, jak wysto-
suje list do czasopisma „Lekarz”, jak koledzy obda-
rzą go orędziem z wyrazami współczucia...

Na drodze ukazała się rusalka. Drobnokrocząco
i szeleszcząc spódniczkami zbliżyła się do okna i spy-
tała:

— Grigorij Iwanowiczu, czy pan będzie sam
przyjmował chorych, czy też pan rozkaże przyjmować
bez pana?

Oczy zaś jej mówiły: „Uniosłeś się, teraz jednak
ochłonąłeś i wstydzisz się. Ale jestem wspaniałomyśl-
na i nie dostrzegam tego”.

— Dobrze, idę natychmiast — powiedział doktor.

Znow włożył fartuch, opasał się ręcznikiem i po-
szedł do szpitala.

„To niedobrze, że uciekłem po tem, jak go ude-

rzyłem.. — myślał w drodze. — Wygląda tak, jakbym się zdetonował, czy przeraził. Sztubaka z siebie zrobiłem. Bardzo niedobrze!..

Zdawało mu się, że gdy wejdzie na salę, to chorym będzie głupio patrzeć na niego, on zaś sam uczuje wstyd. Ale gdy wszedł — chorzy spokojnie leżeli na łóżkach i zaledwie zwrócili nań uwagę. Na twarzy gruzlika Gerasima malowała się absolutna obojętność, mówiąca, zda się: „Nie dogodził ci, więc dałeś mu nauczkę... Bez tego, bracie, ani rusz”.

Doktór przeciął na karmazynowej ręce dwa ropy i nałożył opatrunek. Potem udał się na oddział kobiecy i zoperował jednej babie oko. Przez cały czas chodziła za nim rusalka i pomagała mu z taką miną, jakby nic nie zaszło i wszystko było w porządku. Po obchodzie sal nastąpiło przyjęcie dla chorych przychodzących. W malutkim gabinecie doktora okno było otwarte naoscież. Wystarczyło tylko usiąść na parapecie i nachylić się, żeby zobaczyć młodą trawkę w odległości jednego arszyna od siebie. Wczoraj wieczorem była straszna burza i ulewa, więc trawa jest nieco zgnieciona i połyskliwa. Ścieżka, która biegnie opodal okna i prowadzi do parowu, wygląda, jak umyta, rozrzucone po jej bokach potłuczone naczynia apteczne też są umyte, lśnią w słońcu i oślepiająco promieniują. A dalej, za ścieżką, tulą się do siebie młode choinki, ubrane we wspaniałe zielone suknie, za nimi stoją brzozy z białymi jak papier pniami, zaś poprzez zlekka kołyszące się na wietrze listowie widać błękitne, bezdenne niebo. Gdy się wyjrzy przez okno, wnet skaczące po ścieżce szpaki zwracają w stronę okna swe głupie dzioby i zastanawiają się: czy się

przerazić, czy nie? A postanowiwszy przerazić się, z wesołym wrzaskiem, jakby kpiąc z nieumiejącego latać doktora, wznoszą się ku wierzchołkom brzoź...

Poprzez ciężki zaduch jodoformu czuć świeżość i aromat wiosennego dnia... Dobrze jest oddychać!

— Anna Spiridonowa! — wywołuje doktor.

Do gabinetu weszła młoda baba w czerwonej sukni i pomodliła się do świętego obrazka.

— Co boli? — pyta doktor.

Baba nieufnie spojrzała zezem na drzwi, przez które weszła, oraz na drzwiczki, prowadzące do apteki, zbliżyła się do doktora i szepnęła:

— Dzieci nie mam!

— Kto się jeszcze nie zapisał? — Krzyczy w aptecce rusałka. — Proszę podchodzić i zapisywać się?

„Bydlę z niego już przez to jedno — myślał doktor, badając babę, — że zmusił mnie poraz pierwszy w życiu do bicia. Jak żyję nie biłem”.

Anna Spiridonowa poszła. Po niej przyszedł stary chłop z „paskudną chorobą”, po nim baba z trojgiem dzieci ze świerzbem i praca zawrzała. Felczer nie pokazywał się. Za drzwiczkami w aptecce, szeleszcząc suknią i dzwoniąc naczyniami, szczebiotała wesoło rusałka; co chwila wchodziła do gabinetu, żeby pomóc przy operacji albo zabrać recepty, wszystko zaś z taką miną, jakby wszystko było w porządku.

„Ona cieszy się, że uderzyłem felczera — myślał doktor, wsłuchując się w głos akuszerki. — Przecież żyła z felczerem, jak pies z kotem, więc dla niej to święto, że go zwolnią. I posługaczki też się cieszą. Jakie to wstrętne!”

W kulminacyjnym momencie przyjęcia zaczęło

mu się zdawać, że i akuszerka, i posługaczki, i nawet chorzy umyślnie starają się mieć wesoły i obojętny wygląd. Prawdopodobnie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że doktor wstydzi się i boleje, lecz przez delikatność udawali, że nie dostrzegają. Więc doktor, pragnąc pokazać, że mu wcale nie wstyd, krzyczał gniewnie:

— Hej, tam! Zamykać drzwi, bo przeciąg!

Ale już mu było wstyd i przykro. Po przyjęciu 45 chorych, doktor bez pośpiechu wyszedł ze szpitala. Akuszerka, która już zdążyła wpaść do swego mieszkania i narzucić na ramiona jaskrawą ponsową chustę, z papierosem w zębach i z kwiatkiem w rozpuszczonych włosach wychodziła dokądś ze szpitala, prawdopodobnie na praktykę, czy na wizytkę. Na progu szpitala siedzieli chorzy i w milczeniu wygrzewali się na słońcu. Szpaki, jak poprzednio, hałasowały i uganiały się za żuczkami. Doktor rozglądał się dokoła i myślał, że pośród tych cichych beztroskich istnień jaskrawo wyróżniały się i do niczego nie były zdatne, niby dwa zepsute klawisze w fortepianie, tylko dwa: on i felczer. Felczer teraz z pewnością położył się, żeby się przespać, ale w żaden sposób nie może zasnąć na myśl, że zawinił, został znieważony i stracił posadę. Sytuacja jego jest okropna. Doktor zaś, który dotychczas nikogo nie uderzył, czuł się tak, jakby utracił nazawsze niewinność. Nie winił już felczera i nie usprawiedliwiał siebie, tylko nie mógł wyjść z podziwu: jak to się mogło zdarzyć, że on, człowiek przyzwoity, który nie bił nawet psów, mógł uderzyć? Po powrocie do siebie, położył się w gabinecie na kana-

pie twarzą do oparcia i zaczął rozmyślać w sposób następujący:

„To człowiek niedobry, szkodliwy; w ciągu trzech lat odkąd tu pracuję, nabierało mi się sporo osadu w duszy, lecz mimo wszystko nic nie może usprawiedliwić mego postępu. Skorzystałem z prawa silniejszego. On jest moim podwładnym, zawinił i w dodatku spił się, ja zaś jestem zwierzchnikiem, mającym słuszość i trzeźwym... Czyli, że jestem silniejszy. Podrugie, uderzyłem go wobec ludzi, którzy uważają mnie za autorytet, czem więc dałem im wstrętny przykład..”

Doktora zawołano na obiad. Zjadł kilka łyżek kapuśniaku, wstał od stołu i znów położył się na kanapie.

„Cóż teraz począć? — ciągnął swe rozmyślenia.— Należy jaknajprędzej dać mu zadośćuczynienie... Ale w jaki sposób? Pojedynki, jako człowiek praktyczny, felczer uważa za głupotę, lub nie rozumie ich. O ilebym w tej samej sali wobec posługaczek i chorych przeprosił go, to przeprosiny te zadowolnią jedyntę mnie, nie zaś jego, to zły człowiek, przeprosiny moje zrozumie jako tchórzostwo, czy strach, żeby nie pskarżył się na mnie przed władzami. Nadobitek, takie moje przeprosiny doszczętnie podkopią dyscyplinę szpitalną. Zaproponować mu pieniądze? Nie, to jest nieetyczne i przypomina przekupstwo. Gdyby tak teraz, dajmy na to, zwrócić się do naszej bezpośredniej władzy, czyli do zarządu o rozstrzygnięcie sprawy... Mogliby mi zrobić wymówkę, albo zwolnić. Ale tego nie robią. Zresztą niezupełnie wypada wtajemniczać zarząd w intymne sprawy szpitala, w dodatku zarząd nie ma do tego żadnego prawa..”

W trzy godziny po obiedzie doktor szedł do stawu kąpać się i myślał:

„A możebym tak postąpił, jak postępują wszyscy w takich okolicznościach? Czyli—niech on mnie powie przed sąd. Bezwarunkowo jestem winien, nie będę się uniewinniał i sędzia pokoju skaże mnie na areszt. Tym sposobem obrażony będzie miał satysfakcję, ci zaś, którzy mnie uważają za autorytet, spostrzegą, że nie miałem słuszności.”

Ta idea uśmiechała mu się. Ucieszył się, nabrał przekonania, że kwestja jest roztrzygnięta w sposób właściwy i że sprawiedliwsze rozstrzygnięcie nie istnieje.

„Cóż, doskonale? — Myślał wchodząc do wody i obserwując uciekające przed nim roje drobnych, żółcistych karasi. — Niech pozywa!.. To mnie będzie tembardziej dogadzało, że nasze stosunki służbowe już są zerwane i że jeden z nas po tym skandalu i tak już nie może w szpitalu pozostać...”

Wieczorem doktor kazał zaprząć do szarabanu, jechał bowiem do komendanta poborowego na winta. Gdy w kapeluszu i palcie, zupełnie już gotowy do drogi, stał pośrodku gabinetu i wkładał rękawiczki, zewnętrzne drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i ktoś bezszelestnie wsunął się do przedpokoju.

— Kto tam? — Zapytał doktor.

— To ja... — Przytłumionym głosem odparł przybysz.

Serce doktora załomotało i doktor struchlał ze wstydu i z jakiegoś niezrozumiałego strachu. Felczer Michaił Zacharycz (on to był) chrząknął pocichu i nieśmiało wszedł do gabinetu. Po chwili milczenia odezwał się przytłumionym, pełnym poczucia winy głosem:

— Niech mi pan przebaczy, Grigorij Iwanowicz!

Doktór zmieszał się i nie wiedział, co odpowiedzieć. Zrozumiał, że felczer przyszedł upokorzyć się i prosić o przebaczenie nie przez pokorę chrześcijańską i nie dlatego, żeby swą pokorą pogiębić gniębiciela, lecz przez najzwyczajniejsze wyrachowanie: „przemogę się, poproszę o przebaczenie, to może mnie nie wypędzą i nie pozbawią kawałka chleba...” Cóż może bardziej znieważać godność ludzką? —

— Niech pan przebaczy... — Powtórzył felczer.

— Proszę pana... — Zaczął doktor, usiłując nie patrzeć na niego i wciąż jeszcze nie wiedząc, co powiedzieć. — Proszę pana... Ja pana znieważylem i... i winienem zostać ukarany, to jest winienem panu zadośćuczynienie.... Pojedyneków pan nie uznaje... Zresztą ja sam nie uznaję pojedyneków. Znieważylem pana, więc... pan może podać na mnie skargę do sędziego pokoju, ja zaś zastanę ukarany... lecz pozostać tutaj razem nie możemy... Któryś z nas, ja albo pan, musi odejść! (Boże mój! Cóż ja mówię! — Przeraził się doktor. — Jakież to głupie, jakie głupie!) Słowem, niech pan skarży! Ale pracować razem już nie możemy!... Ja, albo pan... Jutro jeszcze niech pan skarży!

Felczer spojrział na doktora spodełba, zaś w ciemnych zmęczonych oczach jego błysnęła najszersza pogarda. Zawsze uważał doktora za niepoczytalnego, kapryśnego smarkacza, obecnie zaś gardził nim za drzenie, za niezrozumiały pośpiech w mowie...

— Bo i zaskarżę. — Powiedział ponuro i ze złością.

— Tak, niech pan skarży!

— A cóż pan myśli? Nie zaskarżę? Właśnie, że

zaskarżę... Pan nie ma prawa bić. I wstydziłby się pan! Biją się tylko pijani chłopci, pan zaś wykształcony...

W piersi doktora nieoczekiwanie zbudziła się cała nienawiść. Krzyknął zmienionym głosem:

— Precz!

Felczer niechętnie ruszył się z miejsca (chciał zapewne jeszcze coś powiedzieć), wyszedł do przedpokoju i zatrzymał się, ważąc coś w myśli. Powziąwszy jakieś postanowienie, wyszedł stanowczym krokiem.

— Jakież to głupie, jakie głupie! — Mamrotał doktor po jego odejściu. Jakie to wszystko głupie i nikczemne!

Czuł, że zachowywał się teraz przy felczerze, jak smarkacz i rozumiał już, że wszystkie jego pomysły co do sądu nie są mądre, nie rozstrzygają kwestji, tylko komplikują ją.

„Jakie to głupie! — Myślał, siedząc w powoziku i później, grając u komendanta poborowego w winta. — Czyżbym był tak mało wykształcony i tak mało znał życie, że nie jestem w stanie rozstrzygnąć takiej zwyczajnej kwestji? No i co tu robić?”

Następnego dnia rano doktor widział, jak żona felczera wsiadała do bryczki, żeby dokądś pojechać i pomyślał: „Do ciotuni. Niech sobie!”

Szpital pozostawał bez felczera. Trzeba było napisać zawiadomienie do zarządu, ale doktor wciąż jeszcze w żaden sposób nie mógł ustalić formy listu. Obecnie treść listu winna była być taka: „Proszę o zwolnienie felczera, chociaż zawinił nie on, tylko ja.” Wypowiedzenie zaś tej myśli w taki sposób, żeby to nie wyglądało głupio i nie wywoływało uczucia wstydu — dla porządnego człowieka jest prawie niemożliwe.

Po dwóch czy trzech dniach doniesiono doktorowi, że felczer był ze skargą u Lwa Trofimowicza. Prezes nie dał mu powiedzieć ani słowa, zaczął tupać nogami i krzychał, gdy felczer wychodził: „Znam ja ciebie! Precz! Nie życzę sobie słuchać!” Od Lwa Trofimowicza felczer pojechał do zarządu i wniósł tam zażalenie, w którym, nie wspominając o policzku i o nic dla siebie nie prosząc, donosił zarządowi, że doktor kilka razy w jego obecności odzywał się krytycznie o zarządzie oraz prezesie, że doktor leczy nie tak, jak trzeba, wyjeżdża na objazdy nieregularnie i t. d. Dowiedziawszy się o tem, doktor roześmiał się i pomyślał: „To dopiero dureń!” I zrobiło mu się wstyd i żal, że felczer robi głupstwa; im więcej głupstw popełnia ktoś w swojej obronie, tem jest, prawdopodobnie, bezbronniejszy i słabszy.

Akurat w tydzień po opisanym poranku, doktor dostał wezwanie od sędziego pokoju.

„To już jest najzupełniej głupie... — Myślał, kwitując odbiór. — Nic głupszego już wymyślić niepodobna.”

I gdy w pochmurny, cichy poranek jechał do sędziego śledczego, doktor nie wstydził się już, lecz odczuwał niezadowolenie i obrzydzenie. Złościł się i na siebie, i na felczera, i na okoliczności..

— Wezmę i powiem na sądzie: idźcie wszyscy do djabła! — Wściekał się. — Wszyscyście osły i nic nie rozumiecie!”

Podjeżdżając do sądu, spostrzegł na progu trzy swoje posługaczki, zawezwane w charakterze świadków, oraz rusałkę. Na widok posługaczek i pełnej radości życia akuszerki, która ze zniecierpliwienia

przestępowała z nogi na nogę i aż się zaczerwieniła z radości, widząc głównego bohatera mającego się odbyć procesu, wściekły doktor zapragnął spaść na nie, niczem jastrząb i oszołomić je: „Kto wam pozwolił odejść ze szpitala? Proszę natychmiast wynosić się do domu!” Ale powstrzymał się i usiłując nadać sobie spokojny wygląd, przedostał się przez ciżbę chłopów do sądu. Pokój był pusty, łańcuch sędziego wisiał na poręczy fotela. Doktor skierował się do pokoiku referenta. Tutaj zobaczył młodego człowieka o wychudzonej twarzy, w drelichowej marynarce z wypchanymi kieszeniami — był to właśnie sekretarz, oraz felczera, który siedział przy stole i, nie mając nic lepszego do roboty, przerzucał wywiady o karalności. Na widok doktora sekretarz wstał; felczer zmieszał się i wstał również.

— Czy Aleksandr Archipowicz jeszcze nie przyszedł? — Spytał doktor ze zmieszaniem.

— Jeszcze nie. Jest w domu.. — Odpowiedział sekretarz.

Sąd mieścił się w majątku sędziego pokoju, w jednej z oficyn, sam zaś sędzia mieszkał w dużym domu. Doktor wyszedł z sądu i powoli skierował się ku domowi. Aleksandra Archipowicza zastał w jadalni przy samowarze. Sędzia pokoju bez marynarki i kamizelki, w rozchełstanej na piersi koszuli stał przy stole i, trzymając w obu rękach imbryczek, nalewał sobie do szklanki ciemnej, niczem kawa, herbaty; spastrzegłszy gościa, pośpiesznie przysunął sobie drugą szklankę, napełnił ją, i, nie witając się, zapytał:

— Z cukrem, czy bez?

Kiedyś tam, dawno temu, sędzia pokoju służył w

kawalerji; obecnie, wskutek swej długoletniej pracy, miał już tytuł rzeczywistego radcy stanu, jednak jeszcze nie pozbył się ani swego wojskowego munduru, ani wojskowych zwyczajów. Miał długie, na wzór tych, co noszą policmajstrzy, wąsy, spodnie z wypustką, całe zaś jego zachowanie i sposób mówienia był przepojony wojskowym szykiem. Mówił z odrzuconą wtył głową, wtrącając co pewien czas soczyste, generalskie „mne-e-e,” wzruszał ramionami i przewracał oczami; przy powitaniu, lub przy podawaniu komuś ognia do papierosa — szurał podeszwami, idąc zaś, tak ostrożnie i delikatnie dzwonił ostrogami, jakgdyby każdy dźwięk ostróg sprawiał mu nieznośny ból. Posadziwszy doktora przy stole, sędzia pogłaskał się po szerokiej piersi i po brzuchu, westchnął głęboko i rzekł

— T-e-k.. może pan sobie życzy wódeczki i coś przekąsić? Mn-e-e?

— Nie, dziękuję, jestem najedzony.

Obydwaj czuli, że nie unikną rozmowy o skandalu szpitalnym i obydwum było głupio. Doktor milczał. Sędzia pełnem gracji poruszeniem dłoni złapał komara, który go ugryzł w pierś, uważnie przyjrzał mu się ze wszystkich stron i wypuścił. Następnie westchnął, podniósł wzrok na doktora i spytał dobitnie:

— Proszę pana, czemu go pan nie wypędzi?

Doktor uchwycił w głosie sędziego nutę współczucia; nagle zrobiło mu się żal siebie, uczuł, że jest znużony i rozbity szarpaniną, przeżyta w ostatnim tygodniu. Z takim wyglądem, jakby wreszcie cierpliwość jego wyczerpała się, wstał doktor od stołu i krzywiąc się z irytacją, wzruszając ramionami, jał mówić:

— Wypędzić? Co też pan sobie myśli, jak Boga kocham.... To zdumiewające, co wy wszyscy sobie myślicie! Czyż ja mogę wypędzić felczera, skoro jego ciotka jest niańką Lwa Trofimowicza i skoro Lwowi Trofimowiczowi są potrzebni tacy naszeptywacze i lokaje, jak ten Zacharycz? Co ja mogę zrobić, skoro ziemstwo ma nas, lekarzy, za hetkę — pętelkę, skoro na każdym kroku rzuca nam kamienie pod nogi? Bierz ich djabli, nie chcę pracować i już! Nie chcę!

— No, no, no... Pan, duszyczko moja, nadaje zbyt wiele znaczenia, że tak powiem..

— Prezes z całej siły stara się udowodnić, żeśmy wszyscy nihiliści, szpieguje i traktuje nas, niczem swych pisarczyków. Jakie on ma prawo przyjeżdżać do szpitala i wybadywać tam posługaczki i chorych? Czy to nie jest uwłaczające? A ten pański pomysły Siemion Aleksieicz, co sam orze i nie wierzy w medycynę, bo zdrowy i syty jest jak byk, rozgłośnię i prosto w oczy wymyśliła nam od darmożjadów i wypomina każdy kęs chleba! Pal-że go djabli! Ja pracuję od rana do nocy, nie znam odpoczynku, ja tu jestem potrzebniejszy, niż ci wszyscy razem wzięci pomyśleńcy, świętoszkowie, reformatorzy i inne błazny! Straciłem w pracy zdrowie, a zamiast wdzięczności mam wypominanie kęsa chleba! Dzięki najuniżeńsze! I każdy uważa, że ma prawo wtykać swój nos nie do swoich spraw, uczyć, kontrolować! Ten wasz członek zarządu Kamczatskij, na zebraniu ziemstwa czynił wymówki lekarzom zato, że wychodzi za dużo jodku potasu i zalecał nam ostrożność w stosowaniu kokainy! Co on się na tem rozumie, pytam pana? Co mu do tego? Dlaczego on nie uczy pana, jak się sądzi?

— Ależ.. ależ to przecież cham, duszyczko moja, łyk... Nie można na niego zwracać uwagi..

— Cham, łyk, jednakże wybraliście tego świszczypałę na członka i pozwalacie mu wszędzie wsadzać nos! Pan się uśmiecha! Według pana wszystko to drobnostki, błahostki, ale niechże pan zrozumie, że tych błahostek jest tak dużo, że aż się z nich ułożyło całe życie, jak góra z ziarenek piasku! Ja już więcej nie mogę! Brak mi sił, Aleksandrze Archipowiczu! Jeszcze trochę, a zapewniam pana, że nie tylko będę walił po pysku, lecz będę nawet strzelał do ludzi! Niechże pan zrozumie, że mam nie druty, tylko nerwy! Jestem taki sam człowiek, jak pan..

Oczy doktora napełniły się łzami, głos zadrżał; doktor odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno. Zapadło milczenie.

— T-e-k, łaskawco.. — Wymruczał sędzia w zamyśleniu. — Z innej znów strony, o ile się rozumuje na zimno, to... (sędzia złapał komara i zmrużywszy mocno oczy, obejrzał go ze wszystkich stron, zdusił i wrzucił w miseczkę do płukania szklanek).. to, uważa pan, wypędzać go również niema racji. Pan go wypędzi, zaś na jego miejscu siądzie inny takisam, gorszy nawet może. Może pan zmienić stu ludzi, ale porządnego pan nie znajdzie.. Wszystko szubrawcy (sędzia pogłaskał się pod pachami i powolutku zapalił papierosa). Z tem złem należy się godzić. Muszę panu powiedzieć, że-e w czasach obecnych ucziwego, niepijącego pracownika, na którym można polegać, można znaleźć jedynie wśród inteligencji albo wśród chłopów, czyli pośród dwóch przeciwstawień jedynie. Pan, że tak powiem, może znaleźć najuczciwszego

lekarza, najwspanialszego pedagoga, najuczciwszego rolnika czy kowala, ale ludzie pośredni, gdyby się tak można było wyrazić, ci co odeszli od ludu, nie doszli jednak do inteligencji, stanowią element niepewny. Wobec tego, nader jest trudno znaleźć uczciwego i niepijącego felczera, pisarza, subjekta i t. p. Niezwykle trudno! Od czasów króla Ćwieka tkwię w sprawiedliwości i przez cały okres swej służby nie miałem jeszcze ani razu uczciwego i niepijącego pisarza, mimo że nawypędzałem tego bractwa w ciągu swego życia ilości nieprzebrane. Jest to bractwo bez jakiegokolwiek moralnej dyscypliny, nie mówiąc już o-o-o-o zasadach, że tak powiem...

„Poco on to mówi? — Myślał doktor. — Obyd-waj mówimy nie to, co należy.”

— Przecież nie dalej, niż w ubiegły piątek, — ciągnął sędzia — mój Diużyński urządził taką, może pan sobie wyobrazić, heculkę: naspraszał do siebie wieczorem jakichś opojów, djabli wiedzą, co to za jedni, i przez całą noc chlał z nimi w sądzie. Jak się to panu podoba? Ja nic nie mam przeciwko picciu. Bierz cię lichu, pij, ale pocóż wpuszczać do sądu nieznanym ludzi? Niechże pan sobie osądzi, przecież wykraść z pomiędzy aktów jakiś dokument, weksel, czy co innego, to — jedna chwila! I cóż pan myśli? Po tej orgji musiałem w ciągu dwóch dni sprawdzać akty, czy co nie zginęło... No, cóż pan zrobi z draniazkiem? Wypędzić? Zgoda... Ale czem pan zaręczy, że następny nie będzie gorszy?

— Zresztą, czy to łatwo go wypędzić? Wypę-dzić człowieka łatwo tylko na języku... Jakżeż go wy-

pędzić i pozbawić kawałka chleba, skoro wiem, że ma rodzinę i głód cierpi? Dokądże pójdzie ze swoją rodziną?

„Licho wie co takiego, nie to gadam, co trzeba! — Pomyślał doktor, i wydało mu się dziwne, że ani przez chwilę nie może przykuć swej świadomości do jakiejś jednej określonej myśli, czy do jakiegoś jednego uczucia. — To dlatego że nie jestem głęboki i nie umiem myśleć”. — Pomyślał.

— Człowiek „pośredni”, jak go pan nazwał, nie jest pewny, — ciągnął doktor. — Wypędzamy go, wymyślamy mu, bijemy po twarzy, lecz przecież należy też wejść w jego położenie. Nie jest ani chłopem, ani panem, ni pies, ni wydra; przeszłość ma piołunną, w terażniejszości tylko 25 rubli na miesiąc, głodną rodzinę i zależność; w przyszłości zaś te same 25 rubli i zależne stanowisko, chociażby służył jeszcze ze sto lat. Nie posiada ani wykształcenia, ani własności; czytać i chodzić do cerkwi nie ma czasu, nam się nie przygląda, bo go zbyt blisko do siebie nie przypuszczamy. Żyje więc z dnia na dzień, aż do śmierci bez nadziei lepszej przyszłości, nawpół tylko zasycony, w ciągłej obawie, że go wypędzą z urzędowego mieszkania, nie wiedząc o co zaczepić swe dzieci. No, niech pan powie, jak ma taki nie upijać się, nie kraść? Skąd ma brać piękne zasady?

„Zdaje się, że już rozstrzygamy kwestje społeczne — pomyślał. — I jak niezaradnie, Boże! Naco to wszystko zresztą?”

Zawdzięczały dzwoneczki. Ktoś wjechał na dziedziniec i podjechał zrazu pod sąd, potem pod ganek dużego domu.

— „Jegomość” przyjechali — rzekł sędzia, spojrzawszy w okno. — No, będzie pan miał za swoje!

— Niech mnie pan tylko zwolni prędzej.. — Prosił doktor. — Gdyby było można, to niech pan rozpatrzy moją sprawę poza kolejką. Jak Boga kocham, nie mam czasu.

— Dobrze, dobrze.. Tylko jeszcze nie wiem, ojczulku, czy ta sprawa mi podlega. Przecież z felczerem łączą pana, że tak powiem, stosunki służbowe, nadobitek pan go zamalował w czasie pełnienia obowiązków służbowych. Zresztą, nie wiem napewno. Zapytamy zaraz Lwa Trofimowicza.

Dały się słyszeć pośpieszne kroki i sapanie, i w drzwiach ukazał się prezes Lew Trofimowicz, starzec siwy i łysy, z długą brodą i czerwonymi powiekami.

— Moje uszanowanie... — Rzekł, ciężko tchnąc. — Uf, ojcaszkowie moi! Każ-no mi sędzio, podać kwasu! A to ci dopiero..

Padł na fotel, lecz natychmiast zerwał się, podbiegł do doktora i, gniewnie bałuszając na niego oczy, jał mówić piskliwym tonem:

— Bardzo i najmocniej panu jestem wdzięczny, Grigorij Iwanowiczu! Zobowiązał mnie pan, dziękuję uprzejmie! Na wieki - wieków amen będę pamiętał! Tak przyjaciel nie robi! Jak sobie pan chce, ale to nawet niesumiennie z pańskiej strony! Dlaczego mnie pan nie zawiadomił? Kim ja jestem dla pana? Wrogiem, czy obcym człowiekiem? Wrogiem pana jestem? Czyż ja panu kiedy czegoś odmówił? Co?

Bałuszając oczy i przebierając palcami, prezes napił się kwasu, pośpiesznie otarł usta i ciągnął:

— Ogromnie, ogromnie jestem panu wdzięczny!

Czemu pan mnie nie zawiadomił? Gdyby pan żywił dla mnie dobre uczucia, toby pan przyjechał do mnie i po przyjacielsku rzekł: — „Kochany Lwie Trofimowiczu, tak i tak się stało.. Historja tego rodzaju i. t.p.” Jabym to panu w sekundę urządził i nie trzebaby było tego całego skandalu... Ten dureń, jakby się blekotu objadł, włóczy się po powiecie, obgaduje i plotkuje z babami, pan zaś, wstyd powiedzieć, przepraszam za wyrażenie, djabli wiedzą co wymyślił, zmusił pan tego durnia, żeby do sądu skarżył! Wstyd, prawdziwy wstyd! Wszyscy mnie wypytują o co chodzi, co i jak, a ja, prezes, nic nie wiem co się tam u was wyrabia. Moja osoba wcale pana nie interesuje! Bardzo, bardzo dziękuję panu, Grigorij Iwanowiczu!

Prezes skłonił się tak nisko, że aż zaczerwienił się cały, następnie podszedł do okna i krzyknął:

— Żygałow, zawołaj tu Michaiła Zacharycza! Powiedz, żeby w tej chwili tutaj przyszedł! Nieładnie! — powiedział, wracając od okna. — Nawet moja żona obraziła się, chociaż ma do pana taką predykcję. — Zanadto, panowie, rozumujecie! Wciąż wysilacie się, żeby wszystko było mądrze, zgodnie z zasadami i ze wszelkimi wykrętami, a wynika stąd jedno tylko: zawracanie głowy...

— Panowie wysilają się zato, żeby wszystko było niemądrze, a cóż u panów wynika? — Spytał doktor.

— Co u nas? A to, że gdybym teraz tutaj nie przyjechał, toby pan siebie pohańbił i nas... Szczęście pańskie, żem przyjechał!

Wszedł felczer i zatrzymał się przy progu. Prezes stanął bokiem do niego, wpakował ręce do kieszeni, chrząknął i powiedział:

— Natychmiast proś doktora o przebaczenie!

Doktor zaczerwienił się i wybiegł do drugiego pokoju.

— O, widzisz, doktor nie chce przyjmować twych przeprosin! — Ciągnął prezes. — Doktor życzy sobie, żebyś nie słowami, tylko czynem wyraził swoją skruchę. Dajesz słowo, że od dzisiaj będziesz słuchał i będziesz pędził uczciwe życie?

— Daje... — Ponurym basem wyrzekł felczer.

— Uważaj więc! Niech cię Bóg chroni! U mnie, bratku, w ciągu sekundy stracisz miejsce! Jakby się co przydarzyło, to już nie błagaj o łaskę... No, ruszaj do domu...

Dla felczera, który się już był pogodził ze swem nieszczęściem, taki zwrot w sprawie był nieoczekiwaną niespodzianką. Nawet zbladł z radości. Chciał coś powiedzieć i wyciągnął rękę przed siebie, ale nie powiedział nic, uśmiechnął się tępo i wyszedł.

— Oto wszystko! — Rzekł prezes. — Nie potrzeba żadnego sądu.

Odetchnął z ulgą i z takim wyglądem, jakby przed chwilą dokonał bardzo trudnego i ważkiego czynu, przyjrzał się samowarowi i szklankom, zatarł dłonie i powiedział:

— Błogosławieni, którzy pokój czynią... Należ-że mi Saszo, szklaneczkę. A zresztą, każ dać spoczątku coś do przegryzienia... No, i wódzi..

— Proszę panów, to niemożliwe! — Rzekł doktor, wchodząc do jadalni, wciąż jeszcze czerwony, z załamaniem rękami. — To.. to komedia! To wstętno! Ja nie mogę. Lepiej dwadzieścia razy prawować

się, niż tak farsowo rozstrzygnąć kwestję. Nie, ja nie mogę!

— Czegóż pan chce? — Odciał się prezes. — Wypędzić? Proszę bardzo, ja wypędzę...

— Nie, nie wypędzić... Ja nie wiem, czego mi trzeba, ale w ten sposób, panowie, odnosić się do życia... O, mój Boże! To męczące!

Doktor zaczął krzątać się nerwowo, szukając swego kapelusza, nie znalazłszy go, padł wyczerpany na fotel.

— Wstrętne! — powtórzył.

— Duszyczko moja — wyszeptał sędzia. — ja pana poniekąd nie rozumiem, że tak powiem... Przecież pan zawinił w tym incydencie! Prać po pysku w końcu dziewiętnastego stulecia — to do pewnego stopnia, jak sobie pan życzy, ale nie tego... Tamten jest szubrawcem, ale-e-e niech się pan zgodzi, że pan również postąpił nieostrożnie.

— Oczywiście. — Zgodził się prezes.

Podano wódkę i przekąski. Na pożegnanie doktor machinalnie wypił kieliszek i przegryzł rzodkiewką. Gdy powracał do swego szpitala, myśli jego powleczone były mgłą, jak trawa w poranek jesienny.

„Czyżby — myślał — w ciągu ostatniego tygodnia poto tylko tak dużo się wycierpiało, przemyślało, tyle było powiedziane, żeby się wszystko skończyło tak bezczelnie głupio i nikczemnie! Jakież to głupie! Jakie głupie!”

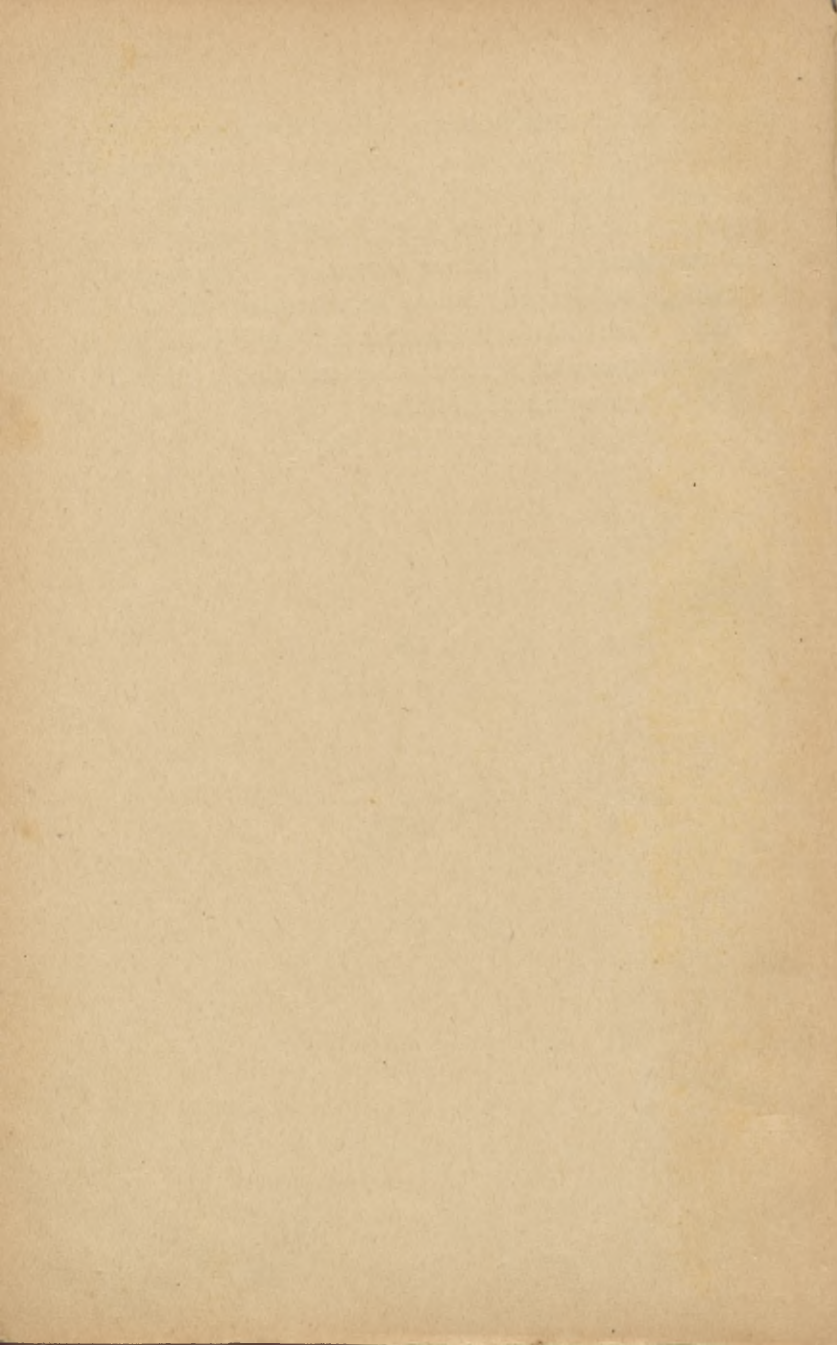
Wstydził się, że w swą prywatną sprawę wmieszał tyle ubocznych osób, wstydził się słów, które wypowiadał wobec tych ludzi, wstydził się wódki, którą wypił z przyzwyczajenia do picia i do niezastanawia-

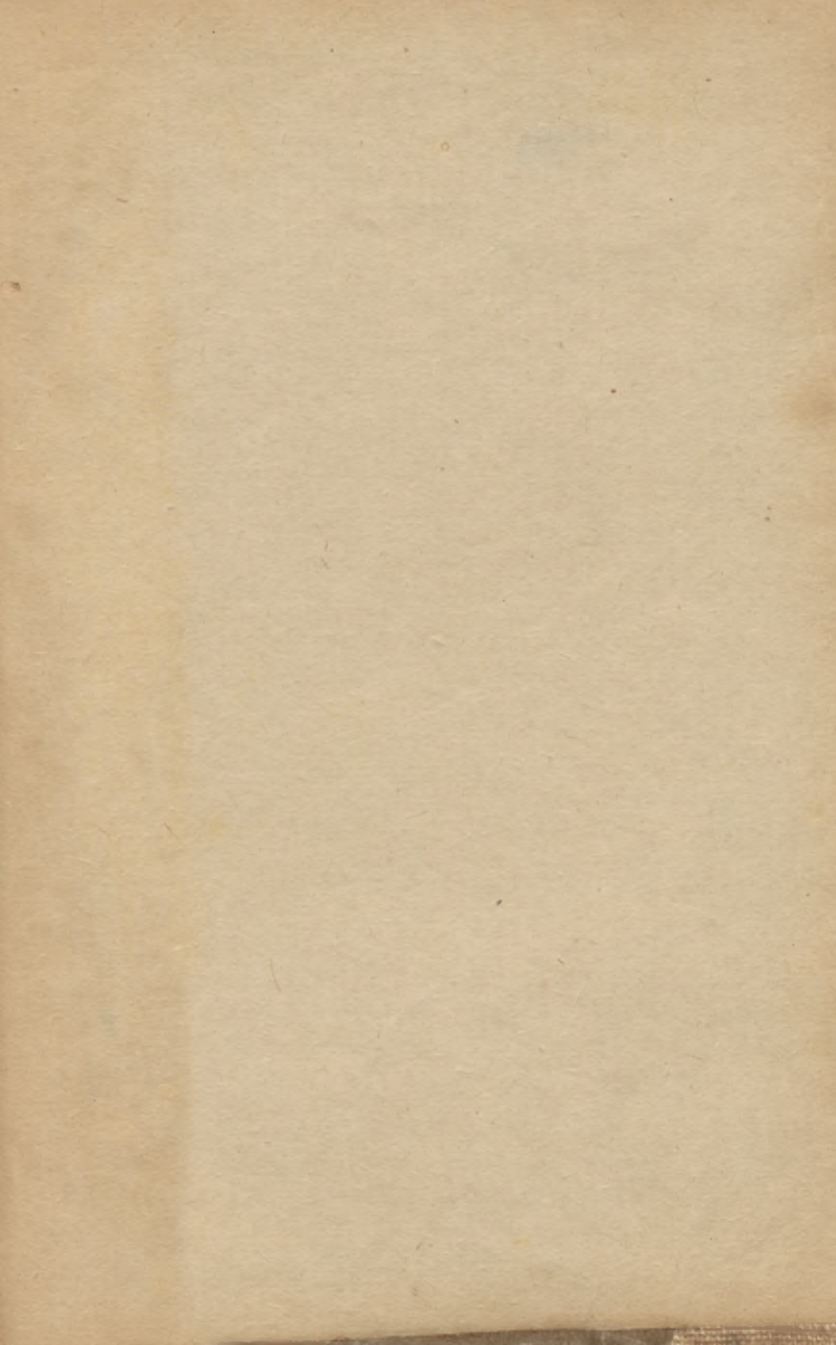
nia się, wstydział się, że ma taki nierozumny, niegłę-
boki mózg.. Po powrocie do szpitala natychmiast
przystąpił do obchodu sal. Felczer szedł obok niego,
stąpając miękko, niczem kot i potulnie odpowia-
dając na pytania... I felczer, i rusałka, i posługaczki
udawały, że nic nie zaszło i że wszystko było w po-
rządku. Sam doktor usiłował mieć wygląd obojętny.
Wydawał zlecenia, gniewał się, żartował z chorymi,
zaś w mózgu wciąż nurtowało:

— Jakie to głupie, głupie, głupie...

K O N I E C .







A24 117

~~60~~

33

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

100663

Biblioteka WSP Kielce



0159434